

JADWIGA COURTHS-MAHLER

# Skradzione życie

AKapit

Katowice 1991

ISBN 83-85397-16-7

Adaptacja tekstu i redakcja merytoryczna Elżbieta KURYŁO

Redakcja techniczna Lech DOBRZAŃSKI

Projekt graficzny okładki i strony tytułowej Marek MOSIŃSKI

Wydanie pierwsze powojenne. P.P.U. AKAPIT sp. z o.o. Katowice 1991.

Wśród wzniosłej ciszy gigantycznego świata południowych Himalajów, po chińskiej stronie wlokło się dwóch mężczyzn. Dyszeli ciężko, wyczerpani do ostateczności. Oczy ich nie widziały już majestatycznego piękna górskich kolosów, piętrzących się po same chmury; błyszcząły gorączkowym blaskiem i spoglądały w górę na strome, nielitościwe skały, wśród których zabłąkali się i które wydawały im się podobne do więziennych

murów. Wiedzieli, że nie ma stąd wyjścia. Już od wielu dni skalny labirynt drwił sobie z ich zmysłu orientacyjnego. Nie mogli odszukać drogi do zamieszkanym okolic, gdzie znaleźliby pożywienie i spoczynek dla strudzonych ciał. Odzież zmięta i poszarpana wisiała na ich wychudłych z głodu postaciach — nie pomyśleli o tym, by zrzucić brudną bieliznę i zastąpić ją czystą, chociaż posiadali jeszcze w plecakach po jednej zmianie. Zaprzętała ich wyłącznie jedna myśl: kiedy będą mogli zaspokoić głód, kiedy będą mogli wyciągnąć się na posłaniu bez obawy, że umrą z wycieńczenia lub zamrzną. Pragnienie gasili śniegiem lub lodem. Było to ich jedyne pożywienie od chwili, gdy skończyły się ich zapasy żywności, obliczone na dwa dni.

Jeden z mężczyzn zachwiał się nagle i osunął bez sił na ziemię.

— Nie mogę iść dalej. Pozwól mi umrzeć, Norbercie! Ratuj się sam, jeżeli możesz... Masz więcej sił ode mnie. Pozdrów ojczyznę, moją matkę... ja już nie mogę...

Norbert Greinsberg, sam blady i wyczerpany, spojrzał na wycieńczonego towarzysza.

### 3

— Raveneck, zbierz siły! Jeśli cię tu zostawię, zginiesz niechybnie. Ja sam ledwie żyję...

Jan Raveneck uczynił apatyczny ruch ręką.

— Wszystko skończone, śmierć się zbliża... Tu... tu jest mój pamiętnik... dla mojej matki... Weź go... ja umieram...

Ostatnim wysiłkiem podniósł rękę, wskazując swój portfel. Potem zamknął oczy.

Towarzysz z wahaniem spoglądał na jego bezwładne ciało. Widząc, że Raveneck nie daje znaku życia, sięgnął ręką do kieszeni i wydobyl kawałek czekolady. Pozostało jeszcze pół tabliczki. Chciwie włożył kawałeczek do ust. Resztę schował znowu do kieszeni. Zdołał poprzednio zabrać ze wspólnych zapasów prowiantu kilka tabliczek czekolady. Krzepił się nimi ukradkiem, gdy towarzysz tego nie widział. Dlatego też nie opadł tak szybko z sił. Nawet w ostatniej chwili nie dał swemu towarzyszowi ani kawałeczka. Niechaj tamten umiera! On chciał wędrować dalej i szukać ratunku.

Ponurym wzrokiem spojrzał na leżącą postać. Pochylił się nad towarzyszem, ujął go za ramiona i mocno nim potrząsnął.

— Raveneck! Wstań! Musimy ruszyć dalej!

Jan leżał jednak bez ruchu. Norbert przyłożył ucho do jego piersi. Nie usłyszał bicia serca.

— Nie żyje! — szepnął ochryple.

Wyjął teraz z kieszeni zmarłego jego portfel, pieniądze i płaski niewielki notes. Był to pamiętnik Jana pisany dla matki. Norbert zabrał również zegarek swego towarzysza. Zmarłemu te przedmioty są już niepotrzebne, jemu natomiast mogą się przydać.

Norbert był zbyt osłabiony, aby wykopać grób dla zmarłego. Trudno, niech tutaj leży! Lęk o własne życie kazał mu iść przed siebie i szukać drogi. Pozostawił przy zmarłym tylko jego plecak, który zawierał trochę bielizny.

Naprzód! Naprzód! Przecież z tego labiryntu musi się znaleźć jakieś wyjście!

Norbert wziął do ust jeszcze jeden okruch czekolady. Resztę schował bohatersko do kieszonki. Potem powlókł się dalej.

Jan Raveneck i Norbert Greinsberg poznali się w Hongkongu. Greinsberg pracował jako korespondent w dużej angielskiej firmie,

#### 4

Jan Raveneck miał posadę sekretarza u pewnego Amerykanina, pana Stenhove'a, dyrektora' wielkiego koncernu. Pan Stenhove mieszkał od wielu lat w Hongkongu. Lubił bardzo Jana Ravenecka, a przede wszystkim cenił jego energię, pracowitość i zdolności.

Podczas urlopu Raveneck i Greinsberg spotkali się w pewnej górskiej miejscowości, położonej w południowych Himalajach. Tutaj jeszcze bardziej zbliżyli się do siebie. Raveneck zauważył wprawdzie, że Greinsberg posiada niewiele sympatycznych cech charakteru, obcował z nim jednak nadal, byli bowiem jedynymi Niemcami w tej małej chińskiej wiosce.

Obydwaj młodzieńcy robili wycieczki w pobliskie góry. Wreszcie pewnego dnia dotarła i tutaj wieść o wielkiej wojnie światowej. Wiedzieli, że muszą się ratować ucieczką, inaczej bowiem zostaną internowani w obozie dla jeńców wojennych.

Przed zamierzoną ucieczką wysłali oficjalnie swój bagaż koleją. Postanowili uciekać drogą wśród gór, aby uniknąć granicy i rewizji paszportów.

Ponieważ oprócz języka francuskiego i angielskiego znali równie dobrze język chiński, więc mogli zataić swoje pochodzenie. Sądzieli, że uda im się przedostać na wybrzeże. Wędrowali już od kilku dni, aż wreszcie zabłądzili w górach. Jan Raveneck był tak wyczerpany, że padł bez życia na drodze. Jego towarzysz powędrował dalej.

Po trzygodzinnej wędrówce Norbert Greinsberg poczuł, że i jego opuszczają siły. Zjadł od dawna ostatni okruch czekolady. Dręczył go straszliwy głód. Nie mógł już postąpić ani kroku dalej. Osłabiony oparł się o jakąś skałę. Błędnym wzrokiem spoglądał przed siebie. Nagle drgnął. Ujrzał nad skałami słup dymu. Gdzie się unosi dym, tam pewno pali się ogień. A gdzie płonie ognisko — tam muszą przebywać ludzie.

Zebrał ostatek sił i powędrował w kierunku dymu. I oto ujrzał wreszcie na wąskim płaskowzgórzu małą chatkę. Z piersi jego wyrwał się okrzyk. Chwała Bogu, to z tej chaty unosi się dym. A więc jest zamieszкана!

Z chaty rozlegał się jakiś dziwny, jednostajny dźwięk. Norbert nie zważał jednak na to. Było mu wszystko jedno. Mniejsza o to,

5

kto mieszka w chacie. Aby tylko mógł tam dostać kawałek chleba i zaspokoić ten okropny głód.

Słaniając się dopadł chaty, otworzył drzwi i na pół omdlały padł na progu. W chacie siedział samotny mnich, który odmawiał modlitwy obracając przy tym specjalny modlitewny młynek.

— Jeść! Jeść! — jęknął Norbert, wyciągając błagalnie ręce.

Mnich, człowiek wysoki, szczupły, lecz silny, podniósł się z zydła.

Wziął Norberta za ręce i ułożył go na swoim własnym pościu. Potem podszedł w milczeniu do komina. Na płycie stała miska, napełniona jakąś papką. Mnich nakarmił zgłodniałego gorącą strawą, którą Norbert łapczywie połknął. Potem napełnił kieliszek jakimś płynem. Był to napój pachnący aromatycznie ziołami. Po wypiciu tego trunku Norbert poczuł, że wstępują weń nowe siły. Jednocześnie ogarnęło go znużenie. Zapadł w ciężki, głęboki sen.

Z tego pokrzepiającego snu zbudził się dopiero następnego ranka. Jego gospodarz siedział znowu na zydle i odmawiał modlitwy. W milczeniu podał Norbertowi jadło i kieliszek tego samego napoju. Norbert poczuł się jak nowo narodzony. Zaczął dziękować w gorących słowach swemu dobroczyńcy, mnich jednak machnął tylko ręką, po czym rzekł z powagą:

— Taka była wola bogów!

Norbert opowiedział mnichowi, że zablądził, w górach i że jego towarzysz umarł z wyczerpania. Mnich znowu rzekł spokojnie:

— Taka była wola bogów!

Norbert zaczął teraz wypytywać mnicha o drogę do następnej miejscowości. Mnich wskazał mu ją. Zanim Norbert wyruszył w dalszą wędrówkę, mnich nakarmił go i napił raz jeszcze. Pieniędzy nie chciał przyjąć.

— Oddaj je jakiemuś biedakowi! — powiedział.

Przed odejściem Norbert określił jeszcze mnichowi miejsce, gdzie leży jego martwy towarzysz. Poprosił mnicha, aby mu wykopał grób. Mnich zgodził się natychmiast:

— Pójdę tam zaraz i pogrzebię twego przyjaciela. Idź w pokoju, cudzoziemcze! Taka była wola bogów!  
Norbert Greinsberg wyruszył w dalszą drogę. Noc spędził w cha-

## 6

cie pewnego chińskiego małżeństwa. Powiedział, że przysłał go tutaj mnich; został bardzo gościnnie przyjęty. Nie wypytywano go, skąd przybywa i dokąd się udaje. Chińczycy przyglądali się ciekawie, jak Norbert goli się i zmienia bieliznę. Po chwili już mógł odpocząć na przygotowanym naprędce pośłaniu. Tej nocy nie mógł jakoś zasnąć. Myślał o swoim położeniu. Myślał też bardzo dużo o swoim towarzyszu. Jan Raveneck opowiadał mu niejedno ze swego życia. Resztę wyczytał z jego pamiętnika. Znał więc mniej więcej dokładnie jego życiorys.

Jan Raveneck ukończył gimnazjum i po otrzymaniu matury uciekł z domu, gdyż ojciec jego chciał go zmusić do obrania zawodu oficera. Twierdził, że w jego rodzinie wszyscy młodzieńcy poświęcają się karierze wojskowej. Jan Raveneck poznał jednak dostatecznie żywot niezamożnej oficerskiej rodziny. Odstraszała go surowa dyscyplina i monotonne życie tej sfery. Pragnął poznać szeroki świat, podróżować i mieć jakieś zajęcia, które dawałoby mu zadowolenie.

Ojciec nie chciał o tym słyszeć. Wobec tego Jan napisał czuły list pożegnalny do matki, którą bardzo kochał, i uciekł z domu.

Odbył długą i mozolną wędrowkę. Wszędzie starał się zarobić trochę pieniędzy na dalszą podróż. Przez Hiszpanię przybył do Afryki, poznał Egipt i Indie. Następnie pojechał przez Sumatrę i Borneo do Hongkongu, gdzie wreszcie otrzymał dobrze płatną posadę jako sekretarz pana Stenhove'a.

Pisywał kilka razy do domu, lecz wszystkie listy otrzymał z powrotem, opatrzone uwagą: „Adresat odmawia przyjęcia”.

Wtedy zrezygnował z korespondencji. Tylko w swoim pamiętniku napisał:

*Droga moja Mamo, jestem przekonany, że ojciec nie wspomniał Ci nawet o moich listach. Ty na pewno nie odesłałabyś ich. Wiesz dobrze, że nie lekkomyślność lub zwykła żądza przygód wygnały mnie z domu. Pragnąłem po prostu pozostać wierny moim zasadom. Biedna moja Mateczko! Pewno niepokoisz i martwisz się o mnie! O, gdybym już mógł być przy Tobie i otoczyć Cię czułością i opieką!*

## 7

Z pamiętnika Jana dowiedział się Norbert, że jego towarzysz posiadał tylko nielicznych krewnych. Właściwie tylko kuzyna ojca, pana Jerzego Ravenecka i jego syna Alfreda. Ten Jerzy Raveneck był bogatym obywatelem ziemskim. Posiadłość jego nazywała się Lindenhof. W majątku tym Jan Raveneck spędzał zawsze wakacje. Chętnie wspominał te czasy. Raz napisał w pamiętniku:

*Gdyby ojciec był dla mnie tak dobry, jak stryj Jerzy dla Alfreda — to i ja stałbym się inny. Ojciec jednak był oschły i despotyczny, a Ty moja biedna Mamo najbardziej nad tym cierpiałaś!*

Jan Raveneck wspominał o tym niekiedy Norbertowi, że nie mógł wytrzymać w domu, gdyż nie znosił tyranii ojca. Ta bezwzględność, ten despotyzm zmusiły go do opuszczenia domu rodzinnego.

Po tym wyznaniu Norbert Greinsberg opowiedział Janowi historię swego życia. Była to bardzo romantyczna opowieść, która przedstawiała go w nader korzystnym świetle. Niestety była od początku do końca zmyślona. W rzeczywistości biografia Norberta Greinsberga wyglądała zgoła inaczej.

Stracił wczesnie ojca. Już jako uczeń okazał się skończonym nicponiem. Miał na sumieniu rozmaite sprawki, świadczące o złych skłonnościach i przyczynił wiele zmartwień i kłopotów swojej biednej matce.

Miał wielkie zdolności, lecz mimo to uczył się kiepsko. Interesował się jedynie nauką języków obcych, które opanowywał z ogromną łatwością. Brutalny i cyniczny wyrostek zawarł rozmaite podejrzane znajomości. Przyłączył się wreszcie do bandy młodocianych przestępców i brał udział w kilku ciężkich włamaniach.

Oddano go wówczas do zakładu poprawczego. Jego biedna matka nie zniosła tej hańby i umarła ze zgryzoty.

W zakładzie poprawczym Norbert zachowywał się bez zarzutu. Udawał przygnębienie, skruchę i chęć poprawy. Potrafił wszystkim zamydląć oczy, toteż przełożony zakładu nie tylko że dał mu doskonałe świadectwo, ale polecił go nawet właścicielowi pewnego domu handlowego. Dzięki znajomości języków otrzymał tam dobrą posadę.

## 8

Wkrótce jednak poszedł znowu za popędem wrodzonych złych skłonności. Nie uznawał regularnej, spokojnej pracy, nudził go ten jednostajny tryb życia. Opętała go niezdrowa żądza przygód. Przy pierwszej sposobności ukradł swemu szefowi sporą sumkę, po czym zbiegł przez francuską granicę.

Wysłano za nim list gończy, lecz nie pochwycono go, gdyż z góry uplanował i przygotował swoją ucieczkę.

Rozpoczął teraz bujne, awanturnicze życie. Wędrował po całym świecie i wszędzie potrafił sobie dać radę. Znał dobrze języki, miał miłe obejście, to właśnie torowało mu zawsze drogę. Od czasu do czasu zaczynał pracować, nie potrafił jednak wytrwać długo na żadnym stanowisku. Niekiedy posługiwał się fałszowanymi dokumentami. Umiał w niezwykle zręczny sposób zacierać za sobą wszelkie ślady.

W Hongkongu otrzymał ostatnio znowu posadę. Przedstawił jakieś sfałszowane świadectwa, gdyż potrafił po mistrzowsku podrabiać cudzy charakter pisma. Posada była dobrze płatna i odpowiadała Norbertowi. Szef był z niego bardzo zadowolony. Po pewnym czasie udzielono mu nawet urlopu. Udał się więc do górskiego uzdrowiska, gdzie spotkał się z Janem Raveneckiem.

Tutaj Norbert zaczął używać życia. Raveneck dziwił się nieraz tej rozrzutności, Greinsberg jednak odpowiadał:

— Ach, co tam! Raz przynajmniej pragnę żyć, jak mi się podoba. Gdy się pieniądze wyczerpią, powrócę do Hongkongu i znowu zacznę pracować!

Obydwu doszła wieść o wybuchu wojny światowej. Jan Raveneck pragnął uciec i dostać się do kraju, aby spełnić swoją powinność. Norbert udawał, że także marzy o tym. Nie miał jednak zamiaru powracać do Niemiec, a w każdym razie nie jako Norbert Greinsberg.

Jan Raveneck nie zdołał już wykonać swoich planów.

Norbert kręcił się niespokojnie na posłaniu. Posiadał pieniądze Jana, jego dokumenty i jego doskonale świadectwa. W głowie jego powstał natychmiast pewien plan.

Rysopis Jana Ravenecka zgadzał się z jego własnym. Norbert był tego samego wzrostu co Jan, miał podobnie jak on ciemne włosy

## 9

i szare oczy. Jan nie posiadał żadnych znaków szczególnych. On sam posiadał pewien znak: przez grzbiet prawej ręki przebiegała szeroka blizna, pamiątka pewnej bójki na noże — ale było przecież możliwe, że nie zapisano tego w dowodzie osobistym. Blizna mogła pochodzić z późniejszych czasów.

Wystarczyło wkleić do paszportu Jana własną fotografię.

Mógł nawet spokojnie powrócić do kraju. Nikt przecież nie będzie go szukał pod nazwiskiem „Raveneck”.

Tak, można będzie spokojnie zmienić się w Jana Ravenecka, w człowieka uczciwego, o nieposzlakowanej przeszłości. Nic nie stoi na przeszkodzie tej przemianie — wystarczy tylko chcieć...

A Norbert Greinsberg pragnął tego bardzo.

Zadowolony ze swego pomysłu zasnął wreszcie. Przestał już myśleć o swoim zmarłym towarzyszku. Nie potrafił bawić się w sentymenty. Nazajutrz wyruszył w dalszą drogę.

Wędrówka była trudna i uciążliwa. Norbertowi nie udało się przedostać do żadnego neutralnego państwa. Powrócił tedy do Hongkongu.

Wieczorem udał się po kryjomu do mieszkania swego dawnego chlebodawcy. Był on Anglikiem, miał jednak żonę Niemkę. Greinsberg spodziewał się, że szef dopomoże mu w ucieczce.

Pan Brown przyjął go z wielkim zakłopotaniem.

- Ach, więc pan jednak powrócił do Hongkongu? Urlop pański skończył się już dawno, a ponieważ pan tak długo nie wracał, więc przyjąłem już kogo innego na pańskie miejsce.
- Trudno, stało się, panie Brown. Nie mógł pan postąpić inaczej. Przyszedłem do pana, ponieważ pańska żona jest moją rodaczką. Wiem, że mógłby mnie pan przemycić na jednym z pańskich statków, odpływających do Meksyku lub do Chile. Wystarczy, jeżeli pan da odpowiednie wskazówki kapitanowi. Nikt nie dowie się, że jestem Niemcem. Sądzę, że pan mi dopomoże. Przecież nie zechce pan, aby mnie tutaj internowano w obozie dla jeńców?
- Dobrze, urządzę to. W porcie stoi właśnie jeden z moich statków. Ale potem ucieknie pan z Chile do Niemiec, aby walczyć przeciw moim ziomkom... Sumienie nie pozwala mi na to... Chyba,

**10**

że pan mi da słowo honoru, iż podczas wojny nie będzie się pan starał uciec do kraju...?

Norbert Greinsberg zaczął udawać, że toczy ze sobą ciężką walkę. Wreszcie odparł z głębokim westchnieniem:

— Trudno, dam panu słowo honoru. Ostatecznie gdyby mnie tutaj internowano, to także nie mógłbym służyć ojczyźnie. Pozostanę w krajach neutralnych, dopóki wojna się nie skończy.

Pan Brown dopomógł więc Norbertowi w ucieczce. Zaledwie Greinsberg znalazł się w Chile, przeobraził się natychmias w Jana Ravenecka. Dzięki jego dobrym świadectwom otrzymywał wszędzie doskonale płatne posady.

Nigdzie jednak nie potrafił długo zagrześć miejsca. Przenosił się z kraju do kraju, z miasta do miasta.

Wreszcie pod koniec wojny pojechał do Buenos Aires, do tej stolicy zbytku i zabawy. Tutaj czuł się w swoim żywiole. Podobało mu się bardzo, żałował jedynie, że nie posiada dość dużych dochodów, aby móc spełniać wszystkie swoje zachcianki. Pobierał wysokie uposażenie, lecz mimo to nie starczało mu na wszystkie przyjemności, toteż wpadł w długi.

\* \*

\*



Pani pułkownikowa Raveneck, matka Jana, owdowiała. Mąż jej poległ w ostatnim roku wojny światowej. Byłaby się znalazła w bardzo trudnym położeniu, gdyby nie Jerzy Raveneck, kuzyn męża. On hojną ręką wspomagał biedną kobietę.

Jerzy Raveneck żył w ciągłej obawie o swego jedyne syna. Alfred Raveneck zaciągnął się do wojska w drugim roku wojny, w randze porucznika.

Pani Raveneck była słabą, wątłą istotą. Po śmierci męża ciężko zapadła na zdrowiu. Lekarz doradzał zmianę powietrza i wysłał ją w góry. Dzięki pomocy pana Jerzego mogła sobie pozwolić na tę kurację.

Pojechała do małej miejscowości, położonej w Alpach Bawarskich. Nie chciała na stałe mieszkać w „Gospodzie pod Bawarską Koroną”, lecz postanowiła znaleźć sobie pokoik w jakimś małym

## 11

zaczynnym domku. Nazajutrz po przyjeździe wyruszyła na poszukiwanie odpowiedniego mieszkania.

Wreszcie ujrzała na małym wzgórzu prześliczny domek, otoczony dużym, pięknie utrzymanym ogrodem. Może tutaj będzie mogła wynająć pokój?

Otworzyła furtkę i weszła do ogrodu. Po chwili podeszła do niej jakaś starsza kobieta i zapytała:

- Czego pani sobie życzy?
- Chciałabym mówić z właścicielem tego domku.
- Zaraz poproszę panią.

Pani Raveneck usiadła na małej drewnianej ławeczce. Po upływie kilku minut wyszła z domu jakaś starsza osoba w szarej sukni i czarnym jedwabnym fartuszk. Gęste, siwe warkocze otaczały koroną jej głowę. Musiała być niegdyś piękna, gdyż i dziś jeszcze zachowała niezmiernie regularne rysy. W jej brązowych oczach odzwierciedlała się mądrość i wielka dobroć.

- Czym mogę pani służyć? — zapytała uprzejmie. Potem spojrzała raz jeszcze na pułkownikową i zawołała:
- Czy być może? Nie, ja- się chyba nie mylę... Lena? Lena Raveneck?
- Tak, to ja... Ale... ja nie poznaję pani, chociaż te wielkie brązowe oczy przypominają mi kogoś...
- Musiałam się bardziej zmienić od ciebie, Leno. Więc naprawdę nie poznajesz twej dawnej przyjaciółki Marii von Schlettau?
- Maria! Mój Boże! Że też nie poznałam cię od razu? Byłaś jednak dawniej szczupłą, wysmukłą dziewczyną, a teraz jesteś tak okazałą niewiastą...
- Tak, człowiek z wiekiem tyje. Nie każdy potrafi zachować dziewczęcą smukłość jak ty.

- Mimo to jesteś i dziś jeszcze piękną kobietą, tak jak niegdyś byłaś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałam.

— To już minęło. A teraz, droga Leno, wejdźmy do domu. Weszły do małego, ładnie urządzonego przedpokoju. Na ścianach wisiały liczne rogi jelenie.

— Zaraz widać, że twój mąż jest nadleśniczym — rzekła pani Lena.

## 12

— Mówisz o nim, jak o żyjącym człowieku. A ja przecież już od ośmiu lat jestem wdową...

Pułkownikowa uścisnęła rękę przyjaciółki.

- Ja owdowiałam dopiero kilka miesięcy temu...
- Biedna Leno...

Obydwie panie weszły do pokoju i usiadły przy stole. Stara gospodyni, Basia przyniosła po chwili śniadanie.

- Pięknie tutaj mieszkasz, Mario — rzekła pułkownikowa — ten widok na góry jest wspaniały.
- Tak, można tu wytrzymać, nieprawdaż? Tam za wsią, na stoku góry widać też nadleśnictwo... Spędziłam tam osiemnaście szczęśliwych lat z moim ukochanym mężem. Po śmierci męża musiałam się stamtąd wyprowadzić. Nie mogłam jednak opuścić tej okolicy. Miałam niewielkie oszczędności, kazałam sobie za to wybudować ten domeczek...

— Rozumiem cię, Mario.

- Wiem, Leno. Gdyśmy się pobrali, było nam z początku bardzo ciężko. Moja rodzina nie chciała mi przebaczyć tego małżeństwa... Ale ja kochałam mego męża i wiedziałam, że składam mój los w dobre ręce. Raz jeden tylko sprawił mi ból... swoją śmiercią... Kłusownicy zabili go... To było okropne... Po cóż jednak mówić z tobą o tym? Przeszłaś to samo...
- Nie, Mario. Ja nie zaznałam szczęścia w małżeństwie. Mój mąż tyranizował mnie, a ja nie umiałam sprzeciwić się jego woli. Nie rozumieliśmy się wcale. Dopiero macierzyństwo dało mi szczęście.
- Ach, prawda! Pamiętam, że miałaś synka. Czy miałaś jeszcze więcej dzieci?

— Nie, Janek pozostał jedynakiem.

- W takim razie jesteś mimo wszystko godną zazdrości. My nie mieliśmy dzieci.

- Nie narzekaj, Mario. Może dzięki temu właśnie zaoszczędziłaś sobie wiele trosk. Kochałam mego syna ponad wszystko w świecie. Mój mąż jednak tyranizował biednego chłopca, miał swoją „metodę wychowawczą”. Gdy jednak Janek podrósł, doszło między nimi do poważnych starć. Mój syn był uparty i energiczny jak jego ojciec, lecz przy tym posiadał miękkie, gorące serce. Dla mnie był bardzo

### 13

dobry i czuły. Mój mąż chciał, aby Janek został oficerem. Ten zawód nie odpowiadał Jankowi. I oto pewnego dnia mój syn, nie chcąc poddać się despotycznej woli ojca, uciekł z domu. Od tego czasu wszelki ślad po nim zaginął. Mój mąż nie pozwalał nawet wymieniać jego imienia... Ach, a najgorsze było to... dowiedziałam się tego dopiero po śmierci męża... tego mu nie mogę przebaczyć... to wpędziło mnie w chorobę...

— Biedna Leno! Cóż to było takiego?

- Z dnia na dzień wyczekiwałam jakiegoś znaku życia od Janka. Na próżno! Umierałam z niepokoju... Mój mąż widział, w jakim stanie się znajduję, chociaż nie wolno mi było wspominać o Janku. Jednak nie powiedział mi o tych listach... A tymczasem okazało się, że Janek pisał kilka razy do domu, a ojciec odesłał wszystkie listy nie czytane... Mój mąż nazywał to „hartem duszy”. Przechwalał się tym przed swoim kuzynem, Jerzym. I dopiero od Jerzego dowiedziałam się prawdy... O, Mario! Kochałam niegdyś tego człowieka, ale wówczas walczyłam ciężko ze sobą, aby go nie znienawidzić... Czy pojmujesz? Mój syn pisał do mnie, a mnie nie wolno było wiedzieć, gdzie on przebywa, co się z nim dzieje... To mnie powaliło...
- Biedna, biedna Leno! I od tego czasu nie miałaś wiadomości od twego syna?
- Nie.. Na pewno przebywa za granicą. Może dostał się do niewoli? Teraz listy tak nieregularnie nadchodzą... Był dobrym, kochającym dzieckiem. Pokażę ci jego fotografię, noszę ją zawsze przy sobie...

Pani Maria spojrzała na fotografię, którą podała jej przyjaciółka. Ujrzała młodzieńczą twarz o wysokim inteligentnym czole i pięknych, jasnych oczach. Brwi młodego Ravenecka były bardzo oryginalnie zarysowane. Z lekka tylko wygięte, tworzyły u nasady nosa ostry kąt. Ten niezwykły rysunek brwi stanowił cechę rodzinną wszystkich Ravenecków.

— Wspaniała głowa! — rzekła Maria.

Oczy Leny zwilgotniały. Schowała podobiznę syna. Po chwili wyjęła z torebki list i podała go Marii:

— Ten list napisał na pożegnanie. Znalazłam go w szufladzie mojej toaletki w kilka dni po jego wyjeździe.

Maria zaczęła czytać.

*Najdroższa Mateczko, nie gniewaj się na mnie. Tak mi przykro, że muszę Ci sprawić ból. Jestem wolnym człowiekiem i jako taki mam prawo obrać sobie zawód, odpowiadający moim zdolnościom i upodobaniom. Nie zostanę oficerem tylko dlatego, że taka jest wola ojca. Dam sobie radę bez jego pomocy. Powrócę do domu dopiero wtedy, gdy dojdę do czegoś. Muszę zasłużyć na szacunek ojca. Nie martw się o mnie, Mamo, mam jeszcze trochę pieniędzy, a poza tym jestem miody, silny i potrafię zarobić na siebie. Będę do Ciebie pisywał, będę Ci donosił o moim życiu. A gdy wrócę, wówczas i dla Ciebie nastąpią lepsze czasy. Skończą się Twoje troski i kłopoty. Mamo, żegnaj i kochaj mnie nadal. Ja także nigdy nie przestanę Cię kochać. Niechaj Cię Bóg ma w Swojej Opiece... Całuję Twoje drogie ręce*

*Twój syn Janek*

- Leno — rzekła pani Maria — człowiek, który napisał ten list, ma dobre serce i szlachetny charakter. Możesz być dumna z twojego syna.
- Ach, Mario, Janek był moją jedyną pociechą, moją dumą. Martwię się bardzo, że nie mam od niego wiadomości. Sądzę, że przebywa gdzieś za granicą i nie może pisać.

— Kiedyż on właściwie wyjechał?

- Prawie dziesięć lat temu. I przez cały czas nie miałam znaku życia... O, Mario, nie żałuj, że nie masz dzieci...
- Dawniej rzeczywiście nie odczuwałam braku dziecka. Dopiero po śmierci mego męża, poczułam się bardzo samotna i żalowałam, że nie mam dzieci. Ale trudno, taka była widać wola boża. Rozumiem jednak twój niepokój o syna. Nie martw się, nie rozpaczaj. Twój syn powróci...
- Obawiam się, że nie dożyję tej chwili. Jestem taka osłabiona i wycieńczona.
- Powinnaś przybrać na wadze. Zjedz jeszcze jedno jajko i wypij szklanekę mleka. Wyglądasz bardzo mizernie.

— Lekarz twierdzi, że jestem niedożywiona. Przepisał mi dużo mleka, nabiału i pobyt na świeżym powietrzu. Dlatego tu przyjechałam.

- Trafiłaś bardzo dobrze. Kiedy przyjechałaś?
- Wczoraj.
- A gdzie mieszkasz?

- Na razie w gospodzie. Tam jednak jest za gwaro. Dlatego właśnie wyszłam dziś rano z domu, aby poszukać sobie innego mieszkania.
- Ja cię już stąd nie puszczę. Poślę mego parobka po twoje rzeczy do gospody. Będzie mógł tam zaraz zapłacić rachunek. A ty zamieszkasz u mnie. Mam tu na górze śliczny pokój z widokiem na góry, uprzątnę go dla ciebie. Spędzimy razem kilka tygodni. Już ja cię odkarmię, zobaczysz. Za kilka dni zaczniesz inaczej wyglądać.
- Jakaś ty dobra, Mario. Zawsze byłaś taka. Dobra, energiczna, gotowa do niesienia pomocy innym...
- Nie roztkliwiaj się Leno, to źle wpływa na apetyt. Chodź, wyjdziemy do ogrodu, usiądziemy sobie pod lipą. Opowiesz mi trochę o mojej rodzinie.

Po chwili obydwie panie zasiadły na ławeczce pod rozłożystą lipą.

- Jak to się stało, Mario, że twoi krewni nic o tobie nie wiedzieli? Zdawało się, że zginęłaś bez wieści. Pytałam o ciebie nieraz twego kuzyna Ernesta. Dawniej spotykałam się z nim niekiedy. Obecnie jest na wojnie, tak jak i jego dwaj synowie, którzy również zostali oficerami — mówiła pani Lena.
- Oj, ci ojcowie. Znają sami całą nędzę takiego oficerskiego żywota, a mimo to każą synom obierać ten sam zawód.
- W tym wypadku, droga Mario, nie starczyło po prostu środków na inny zawód. Umieszczono chłopców w Szkole Kadetów, to było najtańsze.

— Niestety! Czy Ernest von Schlettau miał tylko dwoje dzieci?

— Nie, ma jeszcze córkę. Mario, ta córka to czarujące stworze nie. Na imię jej Magdalena, lecz nazywają ją Madzią. Podobna jest do ciebie, wygląda tak jak ty za dawnych czasów. Prześliczna dziewczyna, a przy tym dzielna i pełna otuchy, zupełnie jak ty. Matka nie docenia jej zalet, kocha bardziej synów.

## 16

Pani Maria uśmiechnęła się gorzko.

- Jak moja matka. Ona także nie kochała mnie, tylko mego jedyne go brata.
- Tak, tutaj sprawa przedstawia się podobnie. Za to inni ludzie bardzo lubią Madzię Schlettau. Bywa ona często w Lindenhofie. Alfred Raveneck kocha Madzię. Zanim wyruszył na front, zwierzył się swemu ojcu: „Jeżeli powrócę zdrow i cały, to poproszę Madzię, by została moją żoną.” Jerzy zgodził się na to, bo lubi i ceni Madzię. Uważa ją już dziś za przyszłą panią Lindenhofu.

— A co sądzi o tym Madzia?

— Ona wcale nie wie o tym. Alfred na razie nie poruszył z nią tej sprawy. Co do mnie, to uważam, że Alfred jest dla niej za młody. Madzia przewyższa go znacznie pod względem umysłowym. Dziewczyna ma dziewiętnaście lat, a on zaledwie dwadzieścia dwa...

— Na wojnie dojrzeje.

- To prawda. Mimo to nie sędzę, że Madzia myśli o małżeństwie z Alfredem. Jest on co prawda zamożnym chłopcem, a ona ubogą panienką, nie przypuszczam jednak, aby ta okoliczność miała wpływ na Madzię. Bywa jednak w Lindenhofie, aby pogawędzić trochę z Jerzym. Czyta mu gazety, stara się go rozerwać. Majorowa Schlettau popiera to bardzo. Uważa Alfreda za doskonałą partię dla córki.
- Niechaj Bóg ma w swojej opiece tę biedną Madzię. Znam ja dobrze takie matczyne plany. Nie życzę Madzi małżeństwa bez miłości.

— Myślisz o sobie?

— Tak, Leno. Przy tej sposobności powiem ci także, czemu zniknęłam bez wieści dla moich krewnych. Widzisz, cała rodzina zerwała ze mną stosunki, bo nie chciałam poślubić mego bogatego kuzyna, Karola von Schlettau. Karol był dobrym, szlachetnym czło-  
wiekiem, szanowałam go bardzo, lecz kochałam całym sercem Fryderyka Hartau'a. Rodzice chcieli mnie zmusić do małżeństwa. W do-  
mu panowała bieda, a poza tym mój brat narobił długów kar-  
ciany. Miałam ponieść tę ofiarę dla brata, który prowadził życie  
w wielkim stylu za cudze pieniądze, grał i hulał; mimo to rodzice  
ubóstwiali go...

## 17

### 2 — Skradzione życie

— Wiem, Mario, słyszałam niejedno...

— Kochałam mego męża. Nie obawiałam się ubóstwa przy jego  
boku. Moja matka zachęciła Karola do oświadczyn. Gdy zwrócił się  
do mnie, powiedziałam mu, że go zbyt szanuję i cenię, abym go  
miała oszukiwać. Serce moje należy do innego. Moi rodzice chcą  
mnie zmusić do małżeństwa z nim, ja jednak nie zgodzę się na to.  
Prosiłam, by Karol nie gniewał się na mnie. To przecież nie moja  
wina, że sam Bóg rozpałił, w moim sercu płomień miłości dla Fryde-  
ryka. Karol był dla mnie wtedy bardzo dobry, chociaż moje wy-  
znanie sprawiło mu wielki ból...

— Tak, podobno dlatego nie ożenił się wcale.

- Biedny Karol! Bolało mnie bardzo, że musiałam mu odmówić. Jak mu się  
powodzi?
- Mieszka osamotniony w swojej wspaniałej posiadłości, Krum-pendorfie.  
Naturalnie wszyscy krewni przypuszczają do niego szturm, bo pragnęliby zostać

jego spadkobiercami. On jednak bardzo rzadko ich przyjmuje, unika ich jak może. Chcąc mu się przypodobać, opowiadają jak najgorsze rzeczy o tobie...

- Domyślałam się... Och, oni mi przecież nigdy nie oszczędzili żadnej przykrości. Pamiętam, jak to było po śmierci mego brata. Mój brat pożyczył znaczną kwotę na słowo honoru, a gdy nie mógł jej zapłacić, odebrał sobie życie. Nawet moi rodzice traktowali mnie jak jakąś zbrodniarkę. Ach, Leno, przeżyłam wtedy straszne chwile. Moja matka mówiła, że zabiłam brata. Ojciec groził, że wyrzuci mnie z domu. No, nie mówmy już o tym... Przyjechał mój Fryderyk i zabrał mnie z sobą. Pobraliśmy się w pewnym cichym kościółku, bez świadków, bez błogosławieństwa rodziców. Mój Fryderyk przyjął pierwszą lepszą posadę w małym leśnictwie w Turynгии, aby mi móc przynajmniej zabezpieczyć dach nad głową. Cała rodzina okazywała mi jawnie swoją pogardę, dlatego że nie chciałam się sprzedać...

— Tak, tak, Mario... Tacy już są nasi kochani bliźni...

— Nie przejmowałam się tym zbyt. Byłam pod opieką u niego Fryderyka. Później dowiedziałam się o śmierci mojej matki. Na pisałam do ojca, aby mi pozwolił przyjechać na pogrzeb. On jednak odpisał: „Nie przyjeżdżaj. Przez twój brak serca straciłem syna i żo-

**18**

nę!" Memu bratu nikt nigdy nie robił wyrzutów, chociaż on wpędził nas w ruinę. Całą winę zwalono na mnie...

— Biedna Mario! Wyobrażam sobie, jak bardzo cierpiełaś!

- Tak, Leno, lecz Fryderyk potrafił mnie zawsze pocieszyć. W kilka miesięcy później umarł także mój ojciec. Pojechałam na pogrzeb, chciałam mu oddać ostatnią posługę i pomodlić się zarazem na grobie matki. Ale kochana rodzinka traktowała mnie jak trędowatą. Jeden Karol von Schlettau napisał do mnie kilka serdecznych słów, chociaż nie przybył na pogrzeb. Inni krewni okazywali mi zawzięcie urazę. Nie wiedzieli nic o liście Karola. Zdawało im się, że zaskarbią sobie w ten sposób jego względy. Od tej pory zerwałam wszelkie stosunki z rodziną. Nie czułam bynajmniej żalu ani skruchy, uważałam, że miałam prawo tak postąpić. Oni jednak potępili mnie za to, że dochowałam wiary ukochanemu człowiekowi i nie wyszłam za Karola.
- Nie wszyscy cię potępiają. Madzia von Schlettau stanowi wyjątek. Ona uwielbia swoją nieznaną ciocię Marię. Kiedyś powiedziała do mnie: „W całej naszej rodzinie nie ma ani krzty poezji, wszyscy żyją szarym dniem powszednim. Jedyne wyjątkiem — to owa legendarna ciocia Marynia. Zachwyca mnie jej odwagą i siłą woli, chociaż cała rodzina wyraża się o niej tak źle...”

Pani Maria uśmiechnęła się.

- Taki zapał i entuzjazm — to przywilej młodzieży. A co się stało z resztą rodziny? Ze starszego pokolenia pewno już nikt nie żyje?
- Zdaje się, że ojciec Madzi jest obecnie seniorem waszej rodziny.
- Ernest był o dziesięć lat starszy ode mnie. Muszę przyznać, że Ernest zachowywał się zawsze neutralnie. Mam wrażenie, że to porządny człowiek.
- Tak. Niestety, jako oficer nie odznacza się wielkimi uzdolnieniami. Doszedł zaledwie do rangi majora. Mój mąż był od niego młodszy, a przeskoczył go. No, może teraz jeszcze dostanie awans. Jego starszy syn został niedawno kapitanem.
- Ach, to są wieczne troski w ubogich rodzinach! Zapewne i twój mąż nie pozostawił wielkiego majątku?

2\*

19

- Nie, Leno, żyję z emerytury, a prócz tego Jerzy Raveneck wypłaca mi miesięczną pensję. To dobry człowiek i bardzo, bardzo bogaty. Żona jego była córką holenderskiego armatora i większa część jego majątku została ulokowana w Holandii. To podobno najpewniejsze. A jak się tobie powodzi, Mario?
- Żyję z emerytury. Całe moje oszczędności pochłonęła budowa tego domku. Mnie to jednak wystarcza, bo mam skromne wymagania.

Długo, długo gawędziły obie przyjaciółki.

Pani pułkownikowa pozostała u swojej przyjaciółki. Podobało się jej tutaj tak bardzo, że zapragnęła przenieść się na stałe do Ober-griesbach. Maria Hartau byłaby z tego bardzo rada, miałyby bowiem zawsze miłe towarzystwo. Postanowiły obydwie zastanowić się poważnie nad tym projektem. Lena Raveneck miała napisać w tej sprawie do swojej przyjaciółki.

\*

Plany te nie miały jednak dojść do skutku. Pani pułkownikowa poprawiła się wprawdzie znacznie po swoim pobycie w Obergriesbach, później jednak powróciły dawne niedomagania. Cierpiała od dawna na serce. Czuła się źle, była osłabiona i nie mogła wychodzić z domu.

Byłaby bardzo samotna, gdyby jej od czasu do czasu nie odwiedzała Madzia von Schlettau. Pani pułkownikowa polubiła serdecznie młodą pannę. Pokazała jej fotografię i list syna, opowiadała jej o nim bardzo wiele. W oczach Madzi Jan Raveneck stał się jakąś idealną postacią bohatera. Nieraz wpatrywała się w jego podobiznę, myśląc sobie:

— Jak też obecnie może wyglądać ten Janek Raveneck? Czy bardzo się zmienił?



Pani Lena opowiadała też dziewczynie o Marii Hartau. Opisała jej swoje przypadkowe spotkanie z przyjaciółką, jej mały domek w górach i całe otoczenie.

— Była uroczą i piękną dziewczyną, panno Madziu, a obecnie jest kobietą zasługującą na najwyższy podziw. Chciałabym, aby pani ją kiedyś poznała. Obie zyskałybyście na tym.

## 20

Oczy Madzi zabłysły.

- Ach, ja tak bardzo pragnę poznać tę moją ciotkę Marynię! Cieszę się, że się jej dobrze powodzi!
- Ułożyłyśmy sobie, że zamieszkamy razem. Mam zamiar przenieść się do niej. Spodziewam się, że wkrótce wyzdrowieję i będę miała dosyć sił, aby zlikwidować tutaj wszystko i wyjechać... Na razie czuję się bardzo kiepsko...
- O, to na pewno wkrótce minie. To tylko wpływ nadchodzącej jesieni, która źle działa na pani zdrowie.
  
- Moje pocziwe dziecko! Kiedy pani będzie w Lindenhofie?
- Jutro po południu. Ale przed południem wstąpię do pani.
  
- Ach, jaka pani miła! Niech pani przy sposobności zapyta Jerzego, czy miał wiadomości od syna? Alfred od dawna nie pisał, a ja się tak lękam o niego. Rzecz dziwna, gdy patrzę na Alfreda, przypominam sobie zawsze mego Janka.
- Mam wrażenie, że są podobni. To takie rodzinne podobieństwo. Mają takie same czoła i ten sam oryginalny rysunek brwi. Tylko że twarz pani syna jest bardziej interesująca. Rysy Alfreda nie są takie wyraziste.

Pułkownikowa spojrzała badawczo na Madzię.

— Alfred jest bardzo dobry.

— O, bez wątplenia. Lubię go też bardzo, potrafi być dosko-  
nałym kolegą — potwierdziła Madzia.

To ostatnie zdanie utwierdziło panią Lenę w jej domysłach. Pojęła, że Magdalena nie darzy Alfreda głębszym uczuciem.

Młoda dziewczyna pożegnała bardzo serdecznie panią Lenę. Po jej odejściu pułkownikowa zamyśliła się.

— Chciałabym, aby mój syn ożenił się kiedyś z taką kobietą jak Madzia. Ciekawe, czy też on się już zakochał... Może się

nawet ożeń...? Ej, chyba nie, nie potrafię sobie tego wyobrazić...

Myślała wciąż o synu. Wyobrażała sobie jego powrót. Ach, gdy-byż tylko dożyć tej chwili... Biedne matczyne serce pękało z bólu i tęsknoty...

Nazajutrz pani Lena otrzymała wiadomość, że Alfred Raveneck poległ na polu chwały. Padł jako jedna z ostatnich ofiar Wielkiej

## 21

Wojny. Ta straszna wieść wstrząsnęła do głębi słabą i chorą istotą. Dostała ataku sercowego i umarła.

Jerzy Raveneck rozpacział okropnie po stracie jedyne go syna. Dowiedziawszy się o zgonie pułkownikowej, zawołał:

— O, czemu i mnie śmierć nie przyniosła wyzwolenia?  
Wzruszyła go jednak do głębi śmierć Leny Raveneck. Przekonał

się, jak bardzo kochała jego syna, skoro wiadomość o jego zgonie zabiła ją. Jednocześnie przypomniał sobie o Janie Ravenecku. Uświadomił sobie, że syn Leny jest jego jedynym krewnym i spadkobiercą. Postanowił go odszukać.

Nastąpił wreszcie koniec wojny. Jerzy Raveneck, usłyszawszy o zawieszeniu broni, jęknął boleśnie:

— Za późno!

Znajomi nie odwiedzali wcale pana Jerzego. Szanowali jego wielki smutek. Mimo to po kilku tygodniach zjawiła się w Lindenhofie Magdalena von Schlettau.

— Nie pozwolę się wyrzucić — rzekła serdecznie. — Wiem, że pan zasklepił się w swoim bólu i samotności, ale myśl o tym nie daje mi spokoju. Alfred był moim najlepszym przyjacielem. Powinam się postarać, aby choć trochę pocieszyć jego ojca.

Pan Jerzy ogarnął wzrokiem pełnym bólu smukłą postać uroczej dziewczyny. Bił od niej przedziwny czar świeżości i niewinności. Grube kasztanowate warkoczki o złocistym połysku oplatały wieńcem kształtną główkę. Wielkie brązowe, aksamitne oczy spoglądały ze szczerym współczuciem na pana Ravenecka. Największym jednak urokiem Magdaleny była jej świeża, jasna cera.

- Jak to miło z pani strony, że pani mnie odwiedziła, panno Madziu! Niestety, jestem ostatnio złym kompanem — rzekł pan Jerzy.
- Nie szkodzi. Pogadamy sobie, aby pan choć na chwilę zapomniał o swoim żmartwieniu. Moi rodzice są w Krumpendorfie u wuja Karola. Skorzystałam z okazji i przybiegłam do pana.

— Ten kawał drogi przebyła pani pieszo? — spytał wzruszony.

- O, to wcale nie tak daleko. Mam zdrowe nogi. Poszłam zresztą lasem — to krótsza droga.
- Niechże pani spocznie, droga panno Madziu! Napijemy się herbaty.

## 22

— Bardzo chętnie. Mam pół godzinki czasu.

Po chwili kamerdyner wsunął do pokoju wózek z przyborami do herbaty. Madzia napełniła filiżankę gospodarza. Gawędzili z ożywieniem.

- Mam tu coś dla pana — rzekła Madzia. — Fotografię Alfreda. Mój brat Eryk zrobił to zdjęcie, a my wcale nie wiedzieliśmy o tym. Bo i mnie także sfotografował, ale pan może odciąć moją podobiznę.
- Nie posiadam rzeczywiście tego zdjęcia, panno Madziu. Dziękuję pani!
- Nie ma za co. Eryk robi dla mnie inną odbitkę, bo ma jeszcze tę kliszę. A może panu teraz poczytać?
- Dobrze, kochane dziecko! Nie, nie chcę, aby pani traciła czas dla starego, zgorzkniałego człowieka.
- Przecież to nie strata czasu. Wszakże i ja korzystam, czytając panu te piękne książki. A czasu mam dosyć. Teraz już i pani pułkownikowa nie potrzebuje mnie.
- Wiem, że i dla niej była pani bardzo dobra. Umiała pani zawsze rozproszyć jej troski.
- Biedaczka! Tak, cieszyła się zawsze, gdy ją odwiedzałam. Chętnie bywałam u pani Leny. A więc jak to będzie z nami? Czy wolno mi będzie niekiedy zajrzeć do pana?
- Będę pani zawsze rad. Postaram się też jakoś odwdzińczyć za tyle dobroci.

— Nie mówmy o wdzięczności!

Gawędzili jeszcze przez kilka chwil. Wreszcie Madzia pożegnała się. Pan Raveneck odprowadził ją na ganek. Długo śledził wzrokiem smukłą postać w skromnej szarej sukience. Madzia należała do tej kategorii kobiet, które w każdym, najprostszym nawet stroju wyglądają ładnie i wytwornie.

Gdy Madzia znikła na zakręcie drogi, pan Raveneck zawrócił. Wszedł do domu. Po chwili posłał do miasta jednego ze swoich służących. Poleciał mu, aby poprosił do niego na dzień następny radcę Berna. Pan Bern był przyjacielem i doradcą prawnym pana Ravenecka. Pan Jerzy postanowił omówić z nim kilka spraw i napisać swoją ostatnią wolę.

## 23

\* \*

\*

Nazajutrz radca Bern przybył do Lindenhofu.

— Wypadki powtarzają się, drogi panie Jerzy — powiedział na powitanie. — Nie jest pan jedynym moim klientem, który pragnie spisać testament.

- A któż jeszcze ma ten zamiar, kochany radco?
  - Pan von Schlettau z Krumpendorfu.
- 
- A więc on także? Pewno i on uświadomił sobie, że człowiek nie jest pewny godziny swojej śmierci.
  - Tak, zwłaszcza, że się nieszczególnie czuje. Lekarz polecił mu dziś, aby położył się do łóżka.

— Cóż mu dolega?

— Zdaje się, że grypa. Już od kilku dni miał gorączkę, lecz nie chciał się poddać chorobie. Lekarz po zmierzeniu temperatury miał bardzo poważną minę.

- A ja mu zawsze zazdrościłem żelaznego zdrowia.
  - No, przecież pan nie ma powodu do narzekania.
- 
- Tak, na ogół jestem zdrow. W ostatnich czasach dolega mi jednak serce.
  - Nic dziwnego. Przecież przeżył pan tak wiele... Stracił pan tyle drogich osób. Najpierw pułkownik Raveneck, później pański syn, a wreszcie pani Lena... Tego i najzdrowsze serce nie może przetrzymać bez szwanku. No, ale miejmy nadzieję, że to wszystko minie.
  - Nie mam po co żyć i nie mam dla kogo. Pragnę więc zadysponować moim majątkiem. Ponieważ mój syn zmarł, muszę spisać ostatnią wolę. Więc i Karol ma ten zamiar?

— Tak!

— Ciekaw jestem, kto zostanie jego spadkobiercą. Wszyscy krewni starali się o jego względy. Mówił mi niegdyś, że cała rodzina czyha na jego majątek. Trudno mi osądzić, ile w tym prawdy. Cóż, on jeden w rodzinie jest zamożnym człowiekiem... Ręczę jednak za jedną osobę i wiem na pewno, że ona nie ubiega się o łaski Karola, aby po nim cośkolwiek odziedziczyć. Ta osoba — to panna Magdalena von Schlettau.

- Tak, nawet pan Karol nie podejrzewa jej o to. Wiem o tym z jego ust. Posiada on jednakże jeszcze jedną krewną, której nie można posądzić o chciwość. Co do mnie, to byłbym rad, gdyby śliczna panna Madzia została spadkobierczynią swego wuja.
- Ach, więc Karol pominął Madzię w swoim testamencie? Dobrze, że wiem o tym. Bo widzi pan, drogi radco, mam zamiar zabezpieczyć przyszłość tej panienki.

— Panny Magdaleny?

- Tak, kochany radco. Mój syn chciał ją poślubić — byłby więc rad, że pomyślałem o jej losie. Lubię ją bardzo, to szlachetny charakter, zacne serce. Jest uboga, a teraz jej rodzicom zacznie się jeszcze gorzej powodzić, ponieważ ojciec i bracia powrócili z wojny i musieli zrezygnować z dalszej służby. Pragnę, aby Madzia została panią Lindenhofu, lecz nie chcę pomijać mego bratanka Jana Rave-necka. Spodziewam się, że Janek żyje. Im obojgu pragnę zapisać Lindenhof. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł...
- Rozumiem. Pragnie pan zapewne, aby się pańscy spadkobiercy pobrali?
- Słusznie! proszę sobie zanotować poszczególne punkty testamentu: Moim uniwersalnym spadkobiercą ma zostać Jan Rave-neck, syn pułkownika Aleksandra Rave-necka i jego małżonki Heleny z domu Sartorius. Do niego ma należeć Lindenhof i cały majątek w gotówce. Stawiam mu tylko jeden warunek: Jan musi poślubić Magdalenę von Schlettau, córkę Ernesta von Schlettau i jego żony Marty urodzonej von Thun. Ślub powinien się odbyć w sześć miesięcy po okazaniu Janowi mego testamentu. Możliwe jednak, że Jan jest już zaręczony albo żonaty. Otóż gdyby z jakiegoś powodu nie mógł poślubić Madzi, wówczas musi jej wypłacić połowę gotowizny i wręczyć jej biżuterię mojej zmarłej żony. Spis tych klejnotów leży w kasie. Czy pan go zna, drogi radco?

— Naturalnie! Biżuteria ta ma ogromną wartość.

— Tak, ale cieszę się bardzo, że te klejnoty dostaną się Madzi. Przecież mój syn kochał ją. A teraz dalej. Otóż gdyby Jan nie zgłosił się w ciągu pięciu lat po ukazaniu się odpowiedniego inseratu w pi smach, albo też gdybyśmy się dowiedzieli, że już nie żyje — w takim

## 25

razie cały majątek przechodzi na własność Madzi. Czy pan to wszystko zanotował?

— Ma się rozumieć.

- Teraz jeszcze jedna sprawa. Nie wiem, gdzie przebywa Jan. Być może, iż minie dużo czasu, zanim Jan zgłosi się do pana. Ja jednak nie chcę, aby Madzia cierpiała niedostatek. Jeżeli więc Madzia zgodzi się przyjąć warunki zawarte w moim testamencie, wówczas proszę jej zaraz wypłacić sto tysięcy marek. Po zawarciu małżeństwa dostanie dalsze sto tysięcy. Odsetki z tego kapitału mają

stanowić jej „kieszonkowe”. Nie chcę, aby była zależna od męża. Czy pan rozumie?

- Doskonale! O ile panna Magdalena wyrazi zgodę na poślubienie Jana Ravenecka, może otrzymać zaraz sto tysięcy marek.
- Tak, właśnie. Pragnę także, aby mój kamerdyner Jan Strantz dokonał swego żywota w Lindenhofie, nawet gdyby już nie mógł pracować. Aha i jeszcze jedno: może zechce pan zamieścić odpowiednie ogłoszenia w pismach krajowych i zagranicznych. Wiem, że Jan przed rozpoczęciem wojny przebywał w Hongkongu. Później zaginął po nim wszelki ślad.

- A kiedyż ten młodzieniec wyjechał?
- W maju 1910 roku.
- W jakim był wówczas wieku?

— Miał ponad dwadzieścia lat. Urodził się w roku 1890, a na Wielkanoc w roku 1910 zdawał maturę. Zdał ją zresztą z najwyższym odznaczeniem.

— Czy pisywał z Hongkongu?

— Pisał kilka razy do rodziców, ale ojciec odsyłał mu wszystkie listy, nie czytając ich. Przecież i pan znał pułkownika. Był to czło-  
wiek przyzwoity, bardzo honorowy, ale wielki despota. Nie mógł  
darować synowi, że sprzeciwił się jego woli. Niełatwe życie miała  
jego żona. Biedna kobieta! Tęsknota za synem podkopała jej zdro-  
wie.

— Mam wrażenie, że ten syn odziedziczył nieugiętą wolę ojca.

— Tak, ale zarazem wziął czułe serce po matce. Przypuszczam,  
że Janek wyrósł na porządnego człowieka. Chciałbym go zobaczyć,  
to jeszcze jedyna rzecz, która sprawiłaby mi trochę radości. Cieszę

## 26

się także, że po mojej śmierci będzie mieszkał w Lindenhofie razem z Madzią.

Panowie przeszli do jadalni na śniadanie. Gospodarz polecił podać do stołu ciężkie  
wino burgundzkie.

- Pańskie zdrowie, panie radco!
- I za pańskie, panie Jerzy!

Panowie trącili się kieliszkami. Pili dużo, rozmawiając z ożywieniem. Nagle Jerzy  
Raveneck przechylił się na krześle. Poczuł silny zawrót głowy, nie mógł złapać tchu,  
poblądł. Kieliszek wypadł mu z bezwładnej ręki.

Radca zerwał się z miejsca.

— Panie Jerzy! Co panu jest? Czy pan się źle czuje? — spytał przerażony.

Jerzy Raveneck przychodził powoli do siebie. Wreszcie odparł:

— Widzi pan, drogi radco, to było takie drobne przypomnienie o tym, że ludzie są śmiertelni. Mam osłabione serce. Wiem o tym już dawno, lecz nie zwracałem uwagi na moją chorobę. Proszę pana bardzo, niech pan nie zwleka długo z tym moim testamentem. Chciałbym, aby ta sprawa została jak najprędzej załatwiona.

— Jutro po południu będzie pan mógł podpisać ten testament.

— Doskonale! A teraz wypijmy jeszcze kieliszeczek za pańskie zdrowie.

- Nie powinien pan więcej pić tego ciężkiego wina.
- A dla kogo mam się właściwie szanować? Wypijmy!

I pan Raveneck duszkiem opróżnił swój kieliszek. Po chwili jednak znowu opadły go duszności. Wstał i otworzył okno. Później powrócił do stołu i uśmiechnął się do radcy.

Po pewnym czasie radca Bern pożegnał swego starego przyjaciela i klienta. Był bardzo zaniepokojony jego stanem zdrowia. Wychodząc polecił starymu Janowi, aby wszedł do swego pana.

\* \*

\*

Nazajutrz przy obiedzie Jerzy Raveneck podpisał swój testament. Potem zapytał:

— Czy pan był także w Krumpendorfie?

— Tak, miałem jeszcze załatwić kilka spraw dla pana von Schlettau.

— Jakże on się czuje?

— Bardzo źle. Do grypy przyłączyło się silne zapalenie płuc. Na wieść o chorobie zjechali się wszyscy krewni. Dwór jest po prostu w stanie obłąkania. Ale pan Karol nie wpuszcza nikogo. Powiada, że chce umrzeć w spokoju i twierdzi, iż rodzina czeka tylko na jego śmierć.

— Nie lubi nikogo, wiem o tym.

- Ma rozmaite powody ku temu. W każdym razie nie chce się z nikim zobaczyć.

- Hm! Mimo to pojedę do niego, może mnie wpuści. Byliśmy zawsze bardzo zaprzyjaźnieni. Szkoda, że Karol się nie ożenił.
- Kochał jedną, a gdy ta nie chciała zostać jego żoną, zrezygnował z małżeństwa.
- Wiem, wiem! Moja kuzynka, pułkownikowa spędziła u tej pani kilka tygodni podczas lata. Opowiadała mi o niej wiele, były przyjaciółkami.

— Czy pan ma na myśli Marię Hartau?

— Tak! Znałem ją mało, sądzę jednak, że musi to być bardzo szlachetna kobieta. Pułkownikowa wyrażała się o niej z najwyższym uznaniem. Madzia von Schlettau ma być do niej bardzo podobna.

— A czy pan zna adres pani Hartau?

— Ma się rozumieć, przecież zawiadomiłem ją o śmierci Leny. Mieszka w Bawarii, w Obergriesbach. Tam właśnie jej zmarły mąż miał posadę nadleśniczego.

— Więc owdowiała?

- Tak, już przed ośmiu laty. Widzę, że pana ta sprawa zaciekawia?
  - Owszem, ponieważ polecono mi odszukać Marię Hartau. Okazuje się, że najlepiej pomaga ludziom przypadek. Oszczędziłem sobie wiele czasu i trudu.
  - Zdaje się, że to Karol von Schlettau udzielił panu tego zlecenia?
- 
- Nie wolno mi mówić o tym.
  - Dobrze, dobrze, nie pytam! Pojedziemy tedy razem do Kram-

**28**

pendorfu. A niech pan nie zapomni o ogłoszeniu do gazet. Muszę odnaleźć mego bratanka.

— Naturalnie, naturalnie...

Panowie pojechali do Krumpendorfu. Po drodze spotkali Madzię.

— Dzień dobry, panno Magdaleno!

— Dzień dobry! Szłam właśnie do Lindenhofu, chciałam panu poczytać.

— Czy rodzice są w Krumpendorfie?

— Nie tylko rodzice, ale cała rodzina. Razem siedemnaście osób. Ja byłam osiemnasta. Nie wiadomo po co... Przecież wujowi Karolowi jest potrzebny spokój. Biedny człowiek...

— A ja właśnie wybieram się do niego.



— To co innego, pan jest jego przyjacielem, pańskie odwiedziny sprawią mu przyjemność.

— Sądzę, że cieszyłby się także, gdyby go pani odwiedziła.

— Być może, ale ja nie chcę się narzucać. Nie chcę, aby pomyślał, że staram się wkraść w jego łaski po to by mi coś zapisał. Wolę uchodzić za osobę bez serca, niż za nieuczciwą.

— Słusznie! Zuch z pani, panno Madziu! — rzekł radca.

- Ale mnie odwiedzi pani znowu? Dobrze? Przyślę powóz po panią — powiedział pan Raveneck.
- Dziękuję panu bardzo. Pana odwiedzę bardzo chętnie, ale to zupełnie co innego. Pan przecież nie posądzi mnie, że ubiegam się o spadek.

Panowie zamienili znaczące spojrzenia.

— Nie, na pewno nie posądzę pani o to. A więc do jutra!

Radca Bern i pan Raveneck przybyli do Krumpendorfu, gdzie

zastali całą rodzinę pana Karola. Krewni siedzieli w dużym salonie. Zdawali się być bardzo zaniepokojeni stanem chorego. Radca Bern wszedł do sypialni Karola von Schlettau.

- Przyjechałem raz jeszcze, drogi panie Karolu, ponieważ przypadkiem dowiedziałem się, jaki jest adres pani Hartau. Mieszka ona w Bawarii. Od ośmiu lat jest wdową...
- Tak? No, ale to nie zmienia postaci rzeczy. Niech pan otworzy ten list, który przedtem panu wręczyłem. Pragnę dopisać jeszcze kilka słów...

## 29

Radca spełnił życzenie chorego. Pan von Schlettau dopisał jeszcze parę wierszy do listu, potem wyczerpany osunął się na poduszki.

— Proszę zakleić kopertę... List wyśle pan po mojej śmierci...

— Dobrze, dobrze! Mam nadzieję, że pan jeszcze długo pożyje. Jak się pan czuje?

— Bez zmiany.

— Czy chciałby pan przyjąć Jerzego Ravenecka? Czy pan czuje się na siłach?

- A czy Jerzy tu jest?
- Tak!
- Niech wejdzie.

- Dla porządku muszę panu jeszcze zakomunikować, że wszyscy krewni pragną wejść do pana.
- Niech mi dadzą święty spokój! Więc wszyscy mnie chcą odwiedzić?
- Wyjątek stanowi Madzia von Schlettau i jej kuzyn, Henryk Stagemann.
- Tak, to porządny chłopiec. A Madzia ma szlachetne, prawe serce. Podobna jest do Marii... Maria pozna się na niej, ona jest taka mądra... Dziękuję panu, drogi radco... Proszę poprosić do mnie Jerzego.

W kilka chwil później pan Raveneck wszedł do chorego. Ze wzruszeniem spojrzął na starego przyjaciela.

- Dzień dobry, drogi Karolu! Co też ty wyprawiasz? Leżysz w łóżku? — powiedział, siłąc się na żartobliwy ton.
- Tak, mój kochany, na każdego przychodzi kolej. Teraz wybiła moja godzina.

— Nie myśl o tym, wyzdrowiejesz na pewno.

- Nie pocieszaj mnie, mój stary druhu! Jestem ci bardzo wdzięczny, że przyszedłeś do mnie, choć dotknęła cię tak ciężka żałoba. Czy uspokoileś się już trochę?
- Ach, Karolu, dziwię się nieraz, ile człowiek potrafi wytrzymać! Nie chcę jednak zakłócać twego spokoju. Przeszedłem tylko, żeby ci uścisnąć rękę.

Dłonie ich splotły się w długim i mocnym uścisku. Bez słowa patrzyli sobie w oczy. Obydwaj zdawali sobie sprawę, że to ich

### 30

ostatnie pożegnanie, że nie zobaczą się nigdy w życiu. Oczy obydwu zwilgotniały.

Uścisnęli się serdecznie, po czym Jerzy Raveneck w milczeniu opuścił pokój. Nie wstąpił po raz drugi do salonu, lecz wyszedł na dziedziniec. Wsiadł do powozu i odjechał do domu.

\* \*

\*

Gdy Madzia przybyła nazajutrz do swego starego przyjaciela, zastała go siedzącego przy biurku.

— Przepraszam, że przyjmuję panią w gabinecie — rzekł pan von Raveneck — ale porządkuję właśnie spuściznę po mojej kuzynce, pułkownikowej. Zaraz skończę tę pracę. Znalazłem wśród jej papierów fotografię mego bratanka. Jak się pani podoba Janek?

Podał jej fotografię, którą Madzia już знаła. Mimo to spojrzała z niezwykle zainteresowaniem na podobiznę młodzieńca.

- Znam ją, pani Lena pokazała mi kiedyś ten portrecik. Bardzo ciekawa twarz. Pański bratanek ma piękne czoło, a usta jego zdradzają silną wolę. Oczy a zwłaszcza rysunek brwi przypominają mi bardzo Alfreda.
- Czy i pani to zauważyła? Janek ma na tej fotografii niespełna dwadzieścia lat.
- Wygląda jednak znacznie poważniej, niż wyglądał Alfred, będąc w tym samym wieku. Ciekawe, czy bardzo się zmienił?

- Musi być na pewno interesującym i przystojnym mężczyzną.
- I ja tak sądzę. W każdym razie, bardzo sympatyczna twarz.
- Więc podoba się pani?

- O tak! Biedna pani pułkownikowa, umarła nie doczekawszy się powrotu syna. A on także nic nie wie o jej śmierci! Jakże się zmartwi! Musiał być dobrym, kochającym synem. Czytałam list, który napisał do matki przed wyjazdem.
- Tak, panno Madziu! Znalazłem ten pożegnalny list i przeczytałem go właśnie. Byłem bardzo wzruszony.

— Szkoda, że zginął bez wieści...

Jerzy Raveneck spojrzał badawczo na Madzię. Uśmiechnął się do

**31**

swoich myśli. Madzia na pewno będzie zadowolona z męża, jakiego jej wybrał...

— Spodziewam się, że wkrótce powróci, o ile żyje. On właśnie ma zostać moim spadkobiercą.

— To chyba pański jedyny krewny?

— Tak, i mam nadzieję, że pozostał przyzwoitym i prawym człowiekiem. Tacy ludzie jak on dojrzewają w walce życiowej. Chciałbym doczekać jego powrotu. Może nie dożyję tej chwili, pani jednak dożyje na pewno... A wtedy... niech pani wspomni wtedy tę naszą rozmowę...

— Dobrze, ale dlaczego?

— Proszę na mnie nie patrzeć z takim zdumieniem, mała panienko. Starzy ludzie bywają niekiedy dziwaczeni. Mam ja swój sekret,

dowie się pani o nim po mojej śmierci... A wówczas niech pani pomyśli o tym, że pokochałem panią serdecznie, prawie jak rodzone dziecko i że miałem na względzie dobro pani...

— Jestem z tego szczęśliwa i dumna!

Pan Raveneck włożył fotografię swego bratanka do szkatułki i zamknął wieko.

— Schowam to wszystko dla Janka. Gdy powróci, ucieszy się tymi pamiątkami po matce. Odnajdzie tu zapewne niejedno drogie wspomnienie. A teraz, droga panno Madziu, napijemy się herbaty. Kazałem upiec ulubione ciasteczka pani.

— Ach, jaki pan dobry!

Stary Jan podał herbatę i ciastka. Pan Raveneck wypytywał Madzię o rodziców i braci. Dziewczyna szczerze zwierzała mu się ze swoich trosk.

- Niech pani się nie martwi, panno Madziu. Może Karol zapisze coś rodzicom pani — pocieszał ją Raveneck.
- Wątpię. Nie widzę zresztą powodu, aby to uczynił. Nigdy nie żył w przyjaźni z moimi rodzicami, nie lubił przecież całej swojej rodziny...
- Właśnie dlatego rodzice pani mają takie same szanse jak inni krewni.
- Ale to wyczekiwanie na cudzą śmierć jest okropne i napęlnia mnie odrazą. Tak samo jak ja myśli mój kuzyn, Henio Stagemann.

## 32

Byłabym szczęśliwa, gdybym nie potrzebowała jeździć do Krumpen-dorfu. Biedny wuj Karol. Miał takie smutne życie! Podziwiałam zawsze jego wierność. Nie ożenił się, chociaż kobieta, którą pokochał, odtrąciła jego miłość...

— Widzę, że pani lubi romantyczne historie.

— Tak, zwłaszcza, że obecnie znajdujemy w życiu tak mało poezji. Podziwiam stałość uczuć wuja Karola, podziwiam też ciocię Marynię, która nie wyrzekła się miłości dla majątku. Wolą ubóstwo z ukochanym człowiekiem, niż dobrobyt z niekochanym...

— Pani pewno postąpiłaby tak samo?

- Ma się rozumieć! Przecież gdybym kochała jednego mężczyznę, nie mogłabym zostać żoną drugiego!
- Zdarza się jednak, że człowiek postępuje pod wpływem nieubłaganej konieczności, że po prostu musi ulec. Maria von Schlettau także stoczyła ciężką walkę ze sobą, zanim wyrzekła się związku z bogatym konkurentem, którego zresztą bardzo lubiła i szanowała. Ta odmowa przyczyniła się do śmierci jej brata...

Madzia zbladła i z przestrawieniem spojrzała na pana Jerzego.

— O, jakie to okropne! Nie daj Boże, abym kiedykolwiek znalazła się w takiej sytuacji.

Pan Raveneck patrzył na nią w zamyśleniu. I nagle ogarnął go niepokój. Przecież zapomniał w swoim testamencie zabezpieczyć przyszłość Madzi na wypadek, gdyby ona nie chciała poślubić Janka Ravenecka. Był przekonany, że dziewczyna zgodzi się z radością poślubić jego bratanka i zostać panią Lindenhofu. Teraz zaskoczyły go jej słowa. Widocznie serce młodej dziewczyny rozumuje inaczej, niż głowa starego człowieka...

— Muszę to zmienić — myślał — muszę dodać kodycył. Trzeba coś uczynić, aby i Madzia miała prawo odmówić Jankowi. W tym wypadku ma otrzymać biżuterię mojej żony i połowę kapitału...

Postanowił zavezwać na dzień jutrzejszy radcę Berna, aby sporządził jednośny kodycył.

Po pewnym czasie Madzia wstała. Pan Raveneck długo trzymał jej dłoń w swoich rękach.

— A więc do jutra! Jutro powóz zajedzie po panią o tej samej porze.

P — Skradzione życie 33

— Dziękuję bardzo, tak się cieszę, że pan pozwala mi bywać u siebie.

— Do widzenia, kochane dziecko. Proszę pozdrowić rodziców!

— Do widzenia! Nie, niech pan mnie nie odprowadza, na dwo rze jest chłodno, mógłby się pan przeziębnić.

Dziewczyna wyszła. Pan Raveneck podszedł do okna. Patrzył jak Madzia wsiada do powozu i odjeżdża. Madzia spostrzegła go i ręką przesłała mu pozdrowienie.

— Śliczna, dobra istota! — pomyślał pan Raveneck.

\* \*

\*

Nie było jednak Madzi sądzone zobaczyć następnego dnia pana Ravenecka. Na próżno oczekiwała o oznaczonej porze przybycia powozu z Lindenhofu. Ogarnął ją wielki niepokój. Czyżby pan Ra-veneck zapomniał o swej obietnicy?

Dopiero wieczorem, gdy rodzice jej powrócili z Krumpendorfu, dowiedziała się dlaczego nie przysłano po nią powozu. Oto pan Raveneck ubiegłej nocy nagle zakończył życie. Jego kamerdyner znalazł go rano w łóżku, martwego.

Madzia rozplakała się głośno na wieść o śmierci swego przyjaciela.

- Czego tak płaczesz? — zapytała matka — Przecież pan Rave-neck nie był naszym krewnym. Gdyby to jeszcze chodziło o wuja Karola...
- Był dla mnie taki dobry... I był ojcem Alfreda... Eryk i Adalbert powinni byli także choć raz zajrzeć do niego... Dawniej, za życia Alfreda bywaliśmy przecież często w Lindenhofie, a pan Rave-neck przyjmował nas zawsze tak serdecznie...
- Twoi bracia mają teraz inne obowiązki. Muszą razem z nami być w Krumpendorfie, w pobliżu wuja Karola. Niestety, nie rozumiesz tego. Nasi krewni już także zauważyli, że bywasz tam bardzo rzadko.
- Mało mnie obchodzi, co mówią o mnie nasi krewni. Nie mogę patrzeć na tę komedię. Przykro mi tylko, że wy także bierzecie w niej udział...

### 34

- Nie bądź taka przemądrzała — rzekł ojciec. — Zrozum nasze ciężkie położenie. Otrzymałem dymisję, twoi bracia nie mogą także służyć w wojsku, a tak trudno stworzyć sobie dziś nową egzystencję. Zjedliśmy nasze całe oszczędności. Nie wiem, co będzie dalej...
- Ach, wy biedni, biedni staruszkowie! Tak mi was żal. Nie powinniście jednak martwić się o chłopców i o mnie. Jesteśmy młodzi, zdrowi i na pewno znajdzie się dla nas jakaś praca.
- Ciekaw jestem, w jaki sposób zamierzacie zarabiać na chleb. No, mniejsza o to. Przestań płakać. Chodźmy spać, jutro rano musimy być w Krumpendorfie.

Madzia powiedziała rodzicom dobranoc. W swoim maleńkim pokoiku zaczęła znowu płakać. Nie mogła przeboleć śmierci pana Jerzego. Przypominała sobie każde słowo z ich wczorajszej rozmowy. Myślała wiele o tym wszystkim, co zmarły opowiadał o Janie Rave-necku. Janek jest teraz panem Lindenhofu, spadkobiercą stryja. Ciekawe czy powróci i kiedy powróci...?

Poczuła mocne bicie serca. Dlaczego? Czemu właściwie interesuje ją powrót tego nieznanego człowieka? Czemu wciąż myśli o nim?

Dziewczyna zasnęła wreszcie, lecz nawet we śnie prześladował ją obraz Janka Ravenecka.

\* \*

\*

W dwa dni po śmierci Jerzego Ravenecka umarł także Karol von Schlettau. Przy zgonie jego obecni byli tylko: lekarz, pielęgniarka i radca Bern.

W ostatniej chwili przytomności chory poprosił lekarza:

— Nie wpuszczać do mnie nikogo z rodziny, pragnę mieć spokój.

Lekarz oznajmił zebranych krewnym, że Karol von Schlettau nie żyje. Wszyscy ostentacyjnie i bardzo głośno okazywali swoją rozpacz. Kobiety szlochały, mężczyźni udawali, że są wstrząśnięci do głębi.

Madzia nie płakała. Stała przy oknie, obok swego kuzyna Henia. Oboje w milczeniu spoglądali na zaśnieżony park.

— Wierzyłbym bardziej w tę rozpacz, gdyby jej nie okazywali tak głośno — rzekł młody student do kuzynki.

### 35

Do salonu wszedł radca Bern. Obrzucił wzrokiem zgromadzonych. Oczy jego spoczęły na Madzi. Uśmiechnął się do niej. Tak, ta młoda istota nie potrafiła i nie chciała udawać smutku, skoro go nie odczuwała. Nie deptała własnej dumy i godności, jak to czynili jej krewni.

Wszyscy otoczyli kołem radcę Berna.

- Drogi panie radco, przecież pan prowadził wszystkie interesy naszego drogiego zmarłego. Pan będzie mógł powiedzieć nam, czy nieboszczyk pozostawił ostatnią wolę — odezwał się profesor Stage-mann, ojciec Henia.
- Tak, panie profesorze. Zmarły spisał testament. Według jego woli otwarcie testamentu ma nastąpić zaraz po pogrzebie. Odczytam testament w tym domu, w wielkiej sali. Kto z państwa pragnie być obecnym przy tym, zechce się po pogrzebie pofatygować do sali. Otrzymałem również zlecenie, aby zająć się formalnościami pogrzebu. Pozostanę na razie w Krumpendorfie, zamieszkać w domu administratora. Jeżeli ktoś z państwa ma jakieś życzenia, lub zapytania, to chętnie służę. Tymczasem pozwolę sobie pożegnać państwa.

Rodzina postanowiła wyjechać na razie z Krumpendorfu i powrócić dopiero w dniu pogrzebu. Radca Bern widział przez okno, jak wsiadali do powozów. Odetchnął z ulgą. Cieszył się, że Madzia von Schlettau była inna. Szkoda, że pan Karol nie pozostawił dla niej jakiegoś legatu. No, ale za to Jerzy Raveneck pomyślał o jej przyszłości. Czy też naprawdę zabezpieczył przyszłość Madzi?

Radca odczytał jeszcze raz list, jaki otrzymał od Jerzego Rave-necka w przeddzień jego śmierci.

*Drogi Radco! Rozmawiałem dziś z panną Magdaleną von Schlettau i ogarnęły mnie pewne wątpliwości. Postanowiłem więc dodać do mego testamentu kodycył. Może się przecież zdarzyć, że panna Madzia z jakiego bądź powodu nie zechce poślubić mego bratanka. Nam, starym zdawało się, że panna Madzia na pewno skorzysta z takiej świetnej sposobności, by zabezpieczyć sobie byt. Mam jednak wrażenie, że młode*

*dziewczęta zapatrują się na te sprawy trochę inaczej, niż my. Pragnę, by Madzia miała zupełną swobodę działania, a jednocześnie muszę zabez-*

**36**

*pieczyć jej los na wypadek, gdyby nie została żoną Jana Ravenecka. Niech Pan jutro przyjedzie do Lindenhofu, mam takie przecucie, że pozostało mi już bardzo mało czasu. Oczekuję Pana jak najprędzej.*

*Szczerze życzliwy*

*Jerzy Raveneck*

Pan Jerzy nie zdążył już wykonać swego zamierzenia. Umarł następnej nocy. Szkoda! Radcę ogarnęły teraz także wątpliwości. A może serce Madzi nie jest wolne? Może kocha innego? A jeżeli nawet jeszcze nie kocha, to także nie wiadomo, czy pokocha Jana Ravenecka? Jerzy Raveneck miał słuszość. Trudno, stało się. Nie trzeba tracić nadziei, że Jan wkrótce powróci i że spodoba się Madzi von Schlettau.

Radca von Bern przestał się zastanawiać nad tą sprawą, miał teraz na głowie inne rzeczy. Usiadł przy biurku administratora i zaczął pisać:

*Szanowna Pani! Z polecenia pana Karola von Schlettau, który zmarł dziś w Krumpendorfie o jedenastej rano, przesyłam Pani załączony list nieboszczyka. Życzył on sobie, by otrzymała Pani to pismo przed otwarciem testamentu, które ma nastąpić natychmiast po pogrzebie. Przesyłam zatem to pismo ekspressem, aby Pani mogła przyjechać w porę. Nie wątpię, że przyjedzie Pani na pogrzeb i proszę o telegraficzne zawiadomienie mnie o dniu i godzinie przyjazdu, abym mógł wysłać po Panią powóz na dworzec.*

*Z poważaniem*

*Radca Bern*

Włożył list do koperty i napisał adres pani Marii Hartau. Posłał (go natychmiast przez gońca na kolej.

**37**

Wydał jeszcze kilka poleceń, po czym pojechał do Lindenhofu. W drodze myślał wiele o swoich starych przyjaciółach, których tak nagle i szybko utracił. Pogrzeb Jerzego Ravenecka miał się odbyć nazajutrz. Testament jego miano otworzyć w cztery tygodnie po śmierci.

\* \*



Zwłoki Jerzego Ravenecka złożono w grobowcu rodzinnym w Lindenhofie. Trumnie towarzyszył liczny orszak żałobny, gdyż zmarły miał wielu przyjaciół i cieszył się powszechną sympatią i szacunkiem. Brakło tylko wśród grona żałobnych gości jego jedyne krewniaka i spadkobiercy.

Madzia von Schlettau wraz z rodzicami i braćmi przyjechała na pogrzeb pana Ravenecka. Po skończonej uroczystości podszedł do niej radca Bern, a widząc jej zapłakane oczy, odezwał się:

- Straciła pani w zmarłym wielkiego, prawdziwego przyjaciela. Zasługuje on w zupełności na łzy pani.
- Ach, pan Jerzy był dla mnie zawsze taki dobry! Nie chce mi się wprost wierzyć, że już nie żyje. W ostatnich czasach wymarła cała prawie rodzina Ravenecków. Najpierw pan pułkownik, potem Alfred, potem pani Lena, a teraz mój dobry, kochany przyjaciel. Jakie to smutne, że spadkobierca nie był na pogrzebie.

— Czy pani ma na myśli Jana Ravenecka?

- Tak. Gdy byłam ostatni raz w Lindenhofie, pan Raveneck wspominał, że bratanek zostanie jego spadkobiercą. Nic w tym dziwnego, to przecież jego jedyny krewny. Czy też powróci? Biedny pan Jerzy nie doczekał tego powrotu, chociaż marzył o nim... Ani on, ani nieszczęśliwa matka...
- Poczyniłam wszelkie kroki w celu odszukania zaginionego. Zapewne powróci... Czekam go tutaj wielki spadek i... być może wielkie szczęście.
- Nie wiadomo, czy majątek to szczęście! W każdym razie łatwiej jest znosić rozmaite przeciwności, gdy się jest bogatym.
- Skąd pani wie o tym?
- O, panie radco! Gdy się tak widzi swoich najbliższych... gdy

**38**

się patrzy, jak dręczy ich troska o chleb powszedni, gdy zatracają powoli swoją godność, swoją dumę... Wtedy dochodzi się właśnie do takiego wniosku...

— Przykro mi, że pani się smuci. Przepowiadam jednak, że pani już wkrótce pozbędzie się wszystkich trosk, jeżeli pani tylko zechce...

— Ach, pan chyba żartuje...

— Nie, nie... Nie powiem już ani słowa, nie mogę powiedzieć więcej. Proszę nie tracić otuchy. Zobaczymy się w Krumpendorfie. Do widzenia!

— Do widzenia, panie radco!

Madzia zamyśliła się głęboko. Co też miała znaczyć ta przepowiednia radcy? Czyżby wuj Karol zapisał jej cośkolwiek? Byłaby z tego bardzo rada, już choćby ze względu na rodziców. Nie, nie trzeba się łudzić płonną nadzieją. Należy zawsze liczyć tylko na siebie i nie tracić odwagi. Może kiedyś znowu zaświeci słońce...

Po powrocie do domu udała się do swego pokoiku. Na etażerce stała duża fotografia gabinetowego formatu. Była to podobizna pułkownikowej Raveneck. Dziewczyna spojrzała na wypisaną dedykację: „Mojej drogiej, ukochanej pielęgniarce i przyjaciółce, panie Magdalenie von Schlettau — Lena von Raveneck”. Madzia wzięła fotografię do ręki i uśmiechnęła się smętnie.

— Nikomu nie jestem już potrzebna. Pani Lena nazywała mnie swoim promykiem słońca... Jerzy Raveneck cieszył się, gdy go od wiedzałam... Wszyscy pomarli...

Z ciężkim westchnieniem odstawiła fotografię.

\* \*

\*

Na pogrzeb Karola von Schlettau zjechała się cała rodzina. Pogrzeb odbył się bardzo uroczyście.

Radca Bern dopytywał się kilka razy przed pogrzebem, czy nie nadeszła dla niego depeza. Podczas żałobnych obrzędów obrzucał niespokojnym spojrzeniem zebranych; zdawało się, że szuka kogoś w orszaku. Na próżno! Maria Hartau nie przybyła na pogrzeb człowieka, który ją kochał wiernie i niezmiennie aż do śmierci.

### 39

Złożono go do mogiły, a Maria nie pomodliła się nad otwartym grobem... nie rzuciła grudki ziemi na jego trumnę...

Nikt oprócz radcy Berna nie odczuwał braku obecności Marii Hartau. Krewni nie spodziewali się jej przybycia. Dla nich zginęła bez wieści. Przecież przez dwadzieścia pięć lat nie dawała znaku życia! A poza tym wszystkich tych ludzi — z wyjątkiem jednej Madzi Schlettau — nurtowało pytanie:

— Czy nieboszczyk zapisał mi coś? He też mógł mi zapisać?

Po pogrzebie znajomi i przyjaciele zmarłego rozjechali się.

W Krumpendorfie pozostała tylko rodzina. Po obiedzie wszyscy krewni przeszli do wielkiej sali, gdzie ustawiono kilka rzędów krzesel. W głębi sali stał stół nakryty czarnym sukniem. Za tym stołem zasiadł radca Bern.

— Szanowni państwo — odezwał się do zebranych — pozwolę sobie po kolei wywoływać wszystkich po nazwisku, aby w ten sposób sprawdzić czy wszyscy są obecni. Poproszę, aby każdy, którego nazwisko wywołam, wstał na chwilę z miejsca.

Zaczął odczytywać jedno nazwisko za drugim. Wszyscy podnosili się. Wreszcie radca zawołał:

— Pani Maria Hartau z domu Schlettau.

Nastąpiła chwila głębokiej ciszy. Potem zapanowało wśród krewnych ogromne wzburzenie.

— Nie ma jej!

- Naturalnie, że jej nie ma. Nie miałyby chyba odwagi zakłócać swoją obecnością spokoju w tym domu żałoby.
- Przecież to tylko jej wina, że nasz drogi zmarły miał takie smutne życie.
- Och, ona ma cięższe grzechy na sumieniu. Doprowadziła swego brata do samobójstwa!

- Rodziców wpędziła do grobu!
- Bóg wie, gdzie się taka osoba podziewa!
- Może już od dawna nie żyje!

- Nie mamy z nią nic wspólnego, zerwaliśmy z nią stosunki. Przecież uciekła w świat ze swoim kochankiem!
- Nie powinien pan być wymieniać nazwiska tej osoby, panie radco. To profanacja tego uroczystego aktu.

## 40

Radca Bern ani na chwilę nie utracił spokoju. I nagle rozległ się młody, dźwięczny głos:

— Nikt nie ma prawa jej potępiać. Poszła za głosem serca i dotrzymała wiary człowiekowi, którego kochała. To przecież nie grzech!

Oczy radcy zabłysły.

— Dzielna, odważna dziewczyna! — szepnął do siebie.

Oburzenie całej rodziny zwróciło się przeciwko Madzi. Tylko

Henio Stagemann stanął obok kuzynki i odezwał się głośno:

— Madzia ma słuszość!

Radca Bern zastukał ręką w stół i rzekł energicznie:

— Proszę o spokój!

Natychmiast nastąpiła cisza. Radca Bern ciągnął dalej:

— Wymieniłem to nazwisko z obowiązku, gdyż zmarły polecił mi specjalnie wezwać na swój pogrzeb panią Marię Hartau.

Wszyscy spojrzeli bardzo zaskoczeni na mówiącego.

- Więc ona żyje, panie radco? A gdzie mieszka?
  - Czy nasz drogi zmarły znał jej adres?
  - Czy korespondowali ze sobą?
- 
- Moi państwo — odpowiedział spokojnym tonem radca — pani Maria Hartau żyje i mieszka w Obergiesbach, w Bawarii. Jej mąż, nadleśniczy Hartau, umarł przed kilku laty. Dowiedziałem się o tym parę dni temu. Stosownie do życzenia zmarłego wezwałem ją na pogrzeb i na otwarcie testamentu. Nie przybyła jednak.
  - O, to kobieta bez serca! — pisnęła radczyni Halm, kuzynka Marii Hartau.

W tej chwili do pokoju wszedł jeden ze służących. Podał on radcy depezę. Bern przeczytał ją najpierw po cichu, później na głos: *Byłam kilka dni w Monachium. Po powrocie otrzymałam pański Ust. Jestem wstrząśnięta do głębi. Skaleczona noga uniemożliwia podróż. Przybyłam za późno. List w drodze. Maria Hartau.* Znowu zapanowała chwila milczenia. Wreszcie radca konstytucyjny Halm oświadczył z głębokim namaszczeniem:

— Sam Bóg nie dopuścił, aby znieważyla swoim przybyciem dom żałoby.

## 41

Radca Bern uśmiechnął się dziwnie. Potem rzekł spokojnie: — A zatem otworzę testament w nieobecności pani Hartau. Wszyscy natychmiast zamilkli. Radca Bern zaczął czytać:

*Moja Ostatnia Wola.*

*Oznajmiam wszystkim krewnym, że wszyscy bez wyjątku byli mi obojętni i obcy. Kochałem i szanowałem tylko Marię Hartau, aż do ostatniego tchnienia nie przestałem jej kochać. Każde słowo wyrzeczone przeciw niej bołało mnie jak osobista zniewaga. Nienawidziłem krewnych, którzy wyrażali się źle o Marii. Nikt nie potrafił docenić jej szlachetności. Nikt nie potrafił zrozumieć, że za ten jej hart duszy, za niezłomną moc charakteru pokochałem ją jeszcze goręcej. Pozostałem wierny moim uczuciom, ona też*

*pozostała wierna swej miłości. Spędziłem życie w smutku i samotności, gdyż Maria nie mogła odwzajemnić mych uczuć, lecz szanowałem ją za jej szczerą, uczciwą postępowanie. Odmówiła bogatemu konkurentowi, wołała dzielić ubóstwo z człowiekiem, którego ukochała. I dlatego oświadczam, co następuje:*

*Cały mój majątek, posiadłość Krumpendorf z inwentarzem żywym i martwym, cały majątek w gotówce, moje papiery wartościowe, moje zbiory, słowem wszystko, co pozostawiam — ma należeć po mojej śmierci do Anny—Zofii—Marii Hartau urodzonej von Schlettau. Wyjątek stanowią drobne legaty, które będą wymienione poniżej.*

*Jestem przekonany, że moja spadkobierczyni będzie zarówno kapitałem jak i majątkiem zarządzała w moim duchu. Ci spośród moich krewnych, którzy naprawdę znajdują się w ciężkim położeniu, mogą zwrócić się o pomoc do Marii Hartau. Sądzę, że zawiodła ich treść mego testamentu, ale to ich własna wina. Gdyby tylko któryś z nich powiedział o niej jedno dobre słowo, nie zapomniałbym o tym.*

*Pan radca Bern ma czuwać nad dokładnym wypełnieniem warunków zawartych w niniejszym testamencie. On również ma zarządzać majątkiem, dopóki pani Hartau nie obejmie spadku.*

## **42**

*Memu administratorowi Henrykowi Brandesowi zapisuję trzydzieści tysięcy marek.*

*Memu służącemu Juliuszowi Kieferowi zapisuję dziesięć tysięcy marek.*

*Ponadto każdy służący i oficjalista ma otrzymać kwotę w wysokości trzymiesięcznej pensji.*

*Taką jest moja ostatnia wola.*

*Karol von Schlettau*

Po odczytaniu testamentu zapanowała śmiertelna cisza. Radca Bern spoglądał wokoło. Widział pobladłe twarze, na których malował się wyraz głębokiego zawodu. Niektórzy z trudem panowali nad wybuchem gniewu. Radca Halm chwycił ustami powietrze jak ryba wyrzucona na piasek. Profesor Stagemann zzieleniał. Major von Schlettau i jego żona siedzieli jak dwoje skazanych na śmierć. Ich synowie starali się zachować zimną krew i zaciskali zęby. Madzia patrzyła ze smutkiem na swoich najbliższych.

— Omyliłam się, pewno radca Bern żartował. Jego przepowiednia nie sprawdziła się wcale...

W sercu Madzi nie było miejsca na zawiść. Właściwie cieszyła się nawet, że Maria Hartau została spadkobierczynią pana Karola. Martwiła się tylko o rodziców. Co się też z nimi stanie?

— Co to? Czy pani straciła otuchę? — spytał nagle jakiś głos.  
Dziewczyna odwróciła się.

- Ach, panie radco, doprawdy, że mi bardzo przykro. Pan sam zbudził we mnie ostatnio cień nadziei, myślałam więc, że wuj Karol zapisał moim rodzicom kilka tysięcy marek... Było to bardzo niemądre przypuszczenie... To ciężko, gdy się widzi swoich najbliższych w położeniu bez wyjścia i gdy nie można im pomóc...
- Pani będzie mogła im pomóc, jeżeli pani tylko zechce. Proszę mi zaufać! Najpóźniej za cztery tygodnie pozbędzie się pani wszelkich trosk. Może pani zerwać ze mną stosunki, jeżeli okażę się kłamcą...
- O, jak chętnie uwierzyłabym panu, ale to wszystko wydaje mi się nieprawdopodobne...

### 43

- Rozumiem panią, wiem, że te słowa wydają się pani zagadkowe. Niestety, nie mogę na razie wyjawić prawdy... Natomiast chętnie służę pani pożyczką. Jeżeli trzeba pani pieniędzy, to może pani dostać kilka tysięcy marek.
- O nie! Nie mogłabym przecież zwrócić tej pożyczki. Obawiam się, że rodzice mają już około tysiąca marek długów...
- Już wkrótce będzie się pani z tego śmiała. Proponuję pani pożyczkę, bo wiem, że pani na pewno będzie mogła zwrócić te pieniądze.

— Nie wyobrażam sobie tego.  
Radca Bern roześmiał się.

- A może pani Maria Hartau podzieli się z panią swoim spadkiem. Dajmy na to, że opieram na tym swoje przypuszczenia i dlatego pragnę udzielić pani pożyczki. Przecież to byłoby zupełnie możliwe.
- Panie radco, to byłaby jałmużna. Niech mnie Bóg strzeże, abym była zmuszona do przyjęcia wsparcia.
- Nie, to nie to, panno Madziu, to inna sprawa. Powinienem był milczeć, ale chciałem panią pocieszyć. Nie mogę patrzeć, jak się pani męczy. Niech pani nie traci ufności w boską opiekę. Pan Bóg ześle pani pomoc. Za cztery tygodnie skończą się wszystkie kłopoty, proszę mi wierzyć!
- Pan jest taki dobry dla mnie! Dziękuję panu całym sercem. Ufam panu i postaram się nie tracić otuchy.
- No, to już dobrze! Bóg pomaga odważnym ludziom. A teraz niech pani zajrzy do rodziców i braci, zdaje się, że potrzeba im pociechy. Karol von Schlettau postąpił ze swoją rodziną zbyt surowo. Był zawsze bogaty i nie rozumiał, co to znaczą troski o chleb powszedni. Być może, iż wśród jego krewnych są tacy, którzy zasłużyli na tę karę, rodzice pani jednak nie należą do nich.
- Dziękuję panu za te słowa. Moi rodzice bardzo cierpieli nad tym wszystkim, ale była to konieczność. Uważali wujka Karola za ostatnie zbawienie.

- Rozumiem to doskonale. A więc, głowa do góry! Po deszczu zaświeci słońce. Do widzenia, panno Madziu.

#### 44

Madzia chciała właśnie powrócić do sali, gdy zastąpił jej drogę Henio Stagemann:

— Szukałem cię właśnie, Madziu. Nie masz pojęcia co się tam dzieje. Testament wuja Karola wywołał istną burzę. My przynajmniej nie mamy zawodu, bo nie spodziewaliśmy się zapisu, chociaż nigdy nie wyrażaliśmy się źle o Marii Hartau.

- Nie, Heniu, wprost przeciwnie.
  - Ty nawet często występowałaś w jej obronie.
- 
- Ty także. Właściwie, to cieszę się, że ona odziedziczyła majątek wuja.
  - Masz słuszość. Niestety, jestem teraz w bardzo ciężkim położeniu. Nie będę mógł skończyć uniwersytetu, ojciec nie da mi ani grosza na studia. W domu jest bardzo źle. No, ale nie trzeba się przejmować, jakoś to będzie...

— Masz słuszość, Heniu. U nas zresztą także jest źle.

— Wiem o tym, Madziu. Całej naszej rodzinie powodzi się nie szczególnie. No, ale mniejsza o to. Patrz, stoi tutaj cały półmisek zakąsek. Zabierzmy się do nich. Bardzo smaczne tartinki, ale ze schną się, jeżeli ich nie zjemy.

I Henio z wielkim apetytem zaczął zajadać. Madzia natomiast udała się do rodziców i braci. Starła się pocieszyć ich, ale na próżno. Mieli zbyt wielkie kłopoty i troski.

\* \*

\*

Pani Maria Hartau spędziła kilka dni w Monachium, gdzie miała do załatwienia rozmaite sprawy. Po powrocie do domu potknęła się o żelazny, zamarznięty próg i skaleczyła dotkliwie nogę. Przez kilka dni nie mogła wkładać obuwia.

Basia, stara wierna służąca pani Marii wręczyła jej list od radcy Berna. Pani Maria dowiedziała się z wielkim smutkiem o śmierci człowieka, którego miłość przetrwała aż do grobu. Później pani Maria przeczytała także list, napisany przez Karola.

*Najdroższa Mario! Pozwól, że nazwę Cię tym imieniem — nie potrafię znaleźć dla Ciebie innego miana. Gdy otrzymasz ten*

#### 45

*list, nie będzie mnie już na świecie, a sędzę, że do zmarłego Twój mąż nie będzie miał żalu.*

*Mario, Twoja odmowa sprawiła mi wielki ból, lecz mimo to nie zachorzałem w sercu żadnej urazy. Wiem, że nie mogłaś postąpić inaczej. Rozumiem to tym lepiej, że i ja nie mogłem pokochać innej kobiety. Kochałem Ciebie, tylko Ciebie, za to właśnie, że postąpiłaś, jak Ci dyktowało serce.*

*Spodziewam się, że mężczyzna, którego pokochałaś, okazał się godnym Ciebie, że dał Ci szczęście, na jakie zasługiwałaś.*

*Najdroższa Mario! Zapisalem Ci cały mój majątek, ponieważ byłaś jedyną istotą, którą kochałem. Szczegółów dowiesz się z mego testamentu. Nie chcę jednak ukarać moich krewnych tak surowo, jakby się z pozoru wydawało. Pragnę tylko, by otrzymywali każde dobrodziejstwo z Twój ej ręki. Rozejrzyj się wśród nich, zbadaj dokładnie warunki. Pomagaj, gdzie możesz, staraj się ulżyć w niedoli. Nie daję Ci żadnych rad ani wskazówek. Wiem, że znajdziesz właściwą drogę. Chcę, żeby Cię dobrze poznali i nauczyli się cenić Twój zacny charakter. Wiem, że Twoja zemsta będzie szlachetna. Polecam Ci szczególnie Madzię von Schlettau, córkę Twego kuzyna Ernesta. To dobre, poczciwe dziecko — podobna jest z powierzchowności i charakteru do Ciebie. Daj Madzi w moim imieniu złoty łańcuszek i medalion, wysadzany perłami i brylantami. Należał do mojej matki, a Madzi pragnę pozostawić jakąś pamiątkę po sobie.*

*Zajmij się Madzią. Matka jej nie rozumie wcale córki, nie docenia tego skarbu, jaki w niej posiada. Jest to kobieta oschła i małoduszna. Ty na pewno pokochasz Madzię. Uwielbia ona ciocię Marynię, chociaż nie zna jej zupełnie. Nieraz stawiała w Twojej obronie. Podśluchałem kiedyś jak odważnie wstawiała się za Tobą i od tej chwili była mi droga i bliska. Ona nigdy nie starała się o łaski bogatego wuja. Jest na to za dumna i za uczciwa. Miej również na oku młodego studenta, Henryka Stdge-manna. Zdaje się, że to porządny chłopiec.*

*A poza tym możesz pomagać komu zechcesz. Masz do dyspozycji wielkie środki, będziesz więc mogła nieść pomoc i ulgę. Niech zwracają się do Ciebie, niech zwierzają się ze swoich trosk*

**46**

*i zmartwień, niech przekonają się jak zacne, wspaniałomyślne masz serce.*

*Radzę Ci zatrzymać mego administratora, Henryka Brandesa. Jest to człowiek dzielny, pracowity i wierny. Radca Bern będzie zawsze na Twoje usługi jako Twój rzecznik i doradca prawny.*

*Żegnaj mi, Mario! Kocham Cię aż do śmierci!*

*Twój Karol von Schlettau*



## *Post scriptum*

*Dowiedziałem się przed chwilą, że jesteś wdową. Wdową — od ośmiu lat! O, gdybym był wiedział... Mogłem sobie uratować jeszcze kilka lat późnego szczęścia... Ale nie! Ludzie naszego pokroju kochają tylko raz w życiu, oddają całe serce. Nie dla nas są surogaty miłości! Lepiej, że nie wiedziałem o tym... Mimo to jestem spokojniejszy. Nie masz męża — będziesz sama panowała w moim domu!*

*Pozdrawiam cię ukochana moja Mario!*

*Twój Karol*

Po przeczytaniu tego listu pani Hartau głośno załkała.

— O, mój dobry, szlachetny, wierny Karolu! Spoczywaj w Bogu! Jakież to smutne, że nie mogłam odwzajemnić twej miłości.

Raz jeszcze przeczytała list Karola. Potem przejrzała powtórnie list radcy Berna i spostrzegła dopiero teraz, że nie zdąży na pogrzeb. Po wysłaniu depechy do radcy, zasiadła natychmiast do pijania.

*Szanowny Panie Radco!*

*Żałuję niezmiernie, że nie mogę przybyć na pogrzeb mego kuzyna. Po powrocie z Monachium, gdzie spędziłam kilka dni, skaleczyłam się w nogę i nie mogę ruszyć się z domu. Spodziewam się jednak, że na początku przyszłego tygodnia przyjadę do Krumpendorfu i pomodłę się na grobie drogiego zmarłego.*

*Z listu mego kuzyna dowiedziałam się, że zapisał mi cały majątek. Ponieważ znałam dobrze Karola, więc nie zdziwiła mnie*

## **47**

*zbytnio ta wspaniałomyślność. Był to człowiek wyjątkowo dobry i szlachetny. Zeszłego roku latem, mówiłam o nim wiele z moją przyjaciółką, pułkownikową Raveneck. Od niej dowiedziałam się, że Karol pozostał kawalerem. Żałowałam bardzo, że nie znalazł szczęścia z inną kobietą, a jednak rozumiem go dobrze...*

*Trudno mi będzie przywyknąć do nowego otoczenia, zwłaszcza, że Lena Raveneck także już nie żyje. Krewni moi na pewno nienawidzą mnie, ja jednak nie mam zamiaru odpłacać złem za złe. Będę zarządzać majątkiem w ten sposób, jak tego pragnął Karol. Spodziewam się, że Pan nie odmówi mi rady i pomocy. Ponieważ nie mam dzieci, więc uważam się jedynie za zarządzającą tym majątkiem. Na gospodarstwie wiejskim znam się dobrze i lubię tę pracę. Chętnie pójdę w ślady mego zmarłego kuzyna i doprowadzę jego dziedzictwo do stanu rozkwitu. W ten sposób najlepiej uczczę jego pamięć.*

*Zawiadomię pana telegraficznie, kiedy będę mogła przyjechać. Byłabym bardzo rada, gdybym zastała Pana w Krumpen-dorfie.*

*Z wysokim poważaniem*

*Maria Hartau*

Powyższy list kazała pani Maria także od razu posłać do urzędu pocztowego we wsi. Później raz jeszcze odczytała ostatnie słowa Karola von Schlettau. Spojrzenie jej pobiegło w dal. Tam, na wzgórzu widać było budynek nadleśnictwa, gdzie spędziła najszcześniejsze chwile życia. Pani Maria westchnęła. Wkrótce już trzeba będzie pożegnać ten ukochany, cichy zakątek.

\* \*

\*

Norbert Greinsberg od dłuższego czasu przebywał w Buenos Aires. Od owego dnia, gdy jako Jan Raveneck wylądował w Chile, prowadził się stosunkowo przyzwoicie i nie miał żadnych grzeszków na sumieniu. Pracował ostatnio jako korespondent w dużym banku

**48**

w Buenos Aires i pobierał wysokie wynagrodzenie. Buenos Aires było jednak miastem zabawy, zbytku i użycia, a Norbert lubił kosztowne rozrywki i nie umiał odmówić sobie żadnej przyjemności. Zarabiał dużo, lecz zawsze jakoś brakło mu pieniędzy. Wreszcie wpadł w długi. Jego wierzyciele coraz głośniejsze i natarczywiej upominali się o swoje należności.

Sytuacja stawała się stanowczo niewygodna i przykra. Szef Norberta także w ostatnich czasach był niezadowolony ze swego pracownika. Kilka razy już zwrócił mu ostro uwagę, że zaniedbuje swoje obowiązki. Była to prawda. Norbert nieraz do rana wałęsał się po rozmaitych lokalach rozrywkowych i skutkiem tego spóźniał się do biura i wykonywał opieszale swoją pracę.

Toteż Norbert znajdował się właśnie w takim nastroju, że gotów był znowu popełnić coś, co prowadziło z gładkich torów na bezdroża. Na razie brakło mu tylko sposobności.

Nie przejął się wcale wojną ani przewrotem, jaki dokonał się w jego ojczyźnie. Obojętnie przyjął wiadomość o końcu wojny. Nigdy nie interesował się sprawami, które nie dotyczyły bezpośrednio jego osoby. Niekiedy przychodziło mu na myśl, że może spokojnie powrócić do kraju, mając papiery Ravenecka. Powrót do Niemiec nie nęcił go jednak wcale.

Pewnego wieczoru Norbert udał się do małej restauracji, gdzie zazwyczaj stołował się. Był w bardzo złym humorze. Poprosił kelnera, aby mu podał pisma.

Zaczął przerzucać gazety. Uważnie czytał zwykle tylko dział ogłoszeń. I teraz zaczął od tego. Nagle podniósł oczy znad gazety. Serce mu mocno zabiło. Otworzył szeroko oczy i wlepił je w swoje nazwisko — to znaczy w nazwisko, jakie obecnie przybrał. Jan Raveneck!

W pierwszej chwili przeląkł się, bo miał nieczyste sumienie. Co to miało znaczyć? Czy Jan Raveneck uczynił coś złego? Po co go wzywają?

Nagle Norbert zauważył napis wydrukowany grubymi czcionkami nad tym nazwiskiem:

POSZUKIWANY SPADKOBIERCA!

**49**

4 — Skradzione życie

Norbert odetchnął z ulgą. Z wielkim zainteresowaniem przeczytał teraz całą treść ogłoszenia.

POSZUKIWANY SPADKOBIERCA!

*Jan Raveneck, syn poległego na wojnie pułkownika Aleksandra Ravenecka i jego — nie żyjącej także — małżonki, Heleny Sartorius, ma się zgłosić do radcy Berna zamieszkałego w G...*

*Jan Raveneck został mianowany spadkobiercą swego stryja Jerzego Ravenecka. Uprasza się Jana Ravenecka o natychmiastowe zgłoszenie, w przeciwnym bowiem razie spadek przejdzie w inne ręce.*

— Tam do licha!

Okrzyk ten wyrwał mu się mimo woli. Niby zahipnotyzowany wpatrywał się w ogłoszenie. Przeczytał je kilkakrotnie, a umysł jego pracował gorączkowo. Zbudziły się w nim uśpione, złe instynkty przestępcy. Jan Raveneck — tak, to mógł być tylko on, jego dawny kolega i towarzysz. Ten, który od dawna śpi nieprzespanym snem w Himalajach. Nie ma już Ravenecka. A właściwie jest — przecież to on sam jest obecnie Janem Raveneckiem. Posiada jego dowód osobisty, jego wszystkie dokumenty. Będzie się mógł wylegitymować... Poległy pułkownik to jego ojciec... Matką jego była owa Helena z Sartoriusow Raveneck. Któż udowodni, że Norbert nie jest Janem Raveneckiem? Papiery są w porządku, bez zarzutu...

Jan Raveneck przed wieloma laty wyjechał z kraju. W ciągu tylu lat zmienia się powierzchowność człowieka. Obcy ludzie na pewno nie poznają go, a bliskich krewnych nie posiada. Śmierć zabrała wszystkich. Rysopis zgadza się w zupełności — Norbert ma oczy i włosy tej samej barwy co tamten, jest, podobnie jak zmarły, wysokiego wzrostu,

szczupły. Słowem warunki układają się pomyślnie. Norbert Greinsberg postanowił objąć spadek Jana Rave-necka.

— Do licha!

Znowu wykrzyknął to prawie bezwiednie, zapominając o swoim otoczeniu. Zrobiło mu się gorąco, potem znowu zimno. Ze zdenerwowania zaschło mu w gardle. Wypił duszkiem kieliszek wina. Po

**50**

chwili przeczytał znowu ogłoszenie, czytał je powoli, uważnie, słowo za słowem.

Później wyjął ze swego portfela płaski notes, zawierający zapiski Jana Rave-necka. Przerzucał kartki, zatrzymując się przy ustępach, które go bardziej interesowały. Nieraz już zaglądał do tego pamiętnika, nigdy jednak nie studiował go z taką uwagą, z takim natężeniem jak w tej chwili. Znał wszystkie szczegóły z życia Jana Rave-necka. Wiedział, że jego matka, wychodząc za mąż była samotną sierotą. A więc Jan Rave-neck nie ma żadnych krewnych, nawet i ze strony matki. Świetnie się wszystko składa! Z innymi ludźmi, którzy mogliby stanąć na przeszkodzie, postara się nie stykać. Trzeba przecież unikać wszelkich podejrzeń.

Oto nareszcie zjawilo się szczęście, wielki los, na który czekał całe życie. Tak, i nawet nie było przy tym wielkiego ryzyka. Phii! Udawały mu się znacznie trudniejsze rzeczy!

Trzeba mieć trochę tupetu i z rozmachem odgrywać nową rolę! Byłby wariatem, idiotą gdyby nie sięgnął po takie szczęście. Przecież ten spadek — to bezpańskie dobro, nie należy do nikogo.

Ach, nareszcie znalazło się coś takiego, co przypadalo mu do gustu! Będzie bogatym obywatelem ziemskim! Wspaniale! Nareszcie będzie mógł prowadzić życie w wielkim stylu. Nareszcie!

Zerwał się z miejsca i zapłacił rachunek. Gazetę zabrał ze sobą. Kelner próbował się temu sprzeciwić, lecz został ugłaskany królewskim napiwkim. Norbert wybiegł z restauracji...

W Buenos Aires pomimo późnej pory wrzało życie nocne. Lokale były przepelnione. Norbert postanowił spędzić wesoły wieczór...

Wszędzie jarzyły się światła. Wszędzie, gdzie spojrzal, widzial zbytek, przepych, piękne eleganckie kobiety o płomiennych, kuszących oczach. Muzyka, samochody, kwiaty, taniec, blask, radość życia... Ach, jakże to wszystko nęcilo, jak pociągal!

Dla bogatego dziedzica dostępne są te wszystkie rozkosze. Za pieniądze można przecież mieć wszystko, nawet w zubożalym kraju! Tylko wyciągnąć rękę, tylko chcieć...

**POSZUKIWANY SPADKOBIERCA!**

Znowu zamigotały mu przed oczyma litery ogłoszenia.

Oszołomiony, na pół pijany udał się do swego skromnego kawalerskiego mieszkania. Odurzyły go własne myśli, własne plany... Stał przed lustrem i uważnie przyglądał się swemu odbiciu. W duchu ujrzał obok siebie inną twarz: oblicze Jana Ravenecka. Widział go dokładnie przed sobą, tę twarz energiczną o ostrych rysach, stanowcze, pięknie wykrojone usta i szare oczy o spojrzeniu pełnym dobroci. Szare oczy... On także ma szare oczy, ale wyraz ich jest zgoła odmienny. Są złe i zimne, niekiedy pojawiają się w nich błyski okrucieństwa.

Ma także inne rysy niż zmarły Jan Raveneck. Bardziej regularne, lecz mniej delikatne. No, ale to nie ma znaczenia. Włosy są ciemne, oczy szare, owal twarzy podłużny. To wystarcza! Kto znał Jana Ravenecka za młodu, ten nie będzie go tak dokładnie pamiętać. Po prostu zmienił się bardzo w ciągu tylu długich lat. Można będzie jeszcze zapuścić wąsy. Zarost zawsze ogromnie zmienia i zacierza ślady dawnego podobieństwa. Niech się wtedy ktokolwiek odważy twierdzić, że Norbert nie jest Janem, synem pułkownika Ravenecka! Tylko się nie bać! Kto nie ryzykuje, ten nic nie ma. Należy tylko zachować spokój, występować pewnie i nie tracić równowagi. To najważniejsze! Świat należy do śmiałków! Nie dać się niczym zbić z tropu, a gra będzie wygrana!

Norbert usiadł przy biurku i napisał treść depeszy do radcy Berna.

*Czytałem ogłoszenie. Proszę telegraficznie przekazać pieniądze na podróż. Przyjadę natychmiast. Jan Raveneck.*

Tak, teraz jeszcze trzeba podać adres. Wyśle się tę depeszę jeszcze dziś wieczorem.

Przeciągnął się z zadowoleniem. W oczach jego zapłonęły niesamowite ognie.

A więc powróci do Niemiec! Norbert Greinsberg, dawny wychowanek zakładu poprawczego, przestępca, za którym wysłano listy gończe — nie żyje. Spoczywa w dalekich Himalajach. Jan Raveneck powróci do kraju, aby objąć w posiadanie swoje dziedzictwo i stać się panem Lindenhofu.

Norbert zacisnął zęby. Wyszedł z domu. Najpierw nadał na pocztę depeszę, później rozpoczął wędrowkę po rozmaitych nocnych lokalach.

Hulał tej nocy, jak jeszcze nigdy. Garściami rozrzucał pieniądze. Przecież jest bogaczem, wielkim panem! Hej! Teraz rozpocznie się nowe życie!

Nazajutrz spóźnił się bardzo do biura. Szef zamierzał udzielić mu ostrego napomnienia, lecz Norbert roześmiał się głośno i pokazał mu ogłoszenie w gazecie.

— Musiałem wczoraj „oblać” to radosne wydarzenie, dlatego spóźniłem się, panie szefie. Przy sposobności poproszę pana o zwolnienie mnie z posady, gdyż muszę powrócić jak najprędzej do kraju, aby objąć spadek.

— Winszuję panu. Mogę pana zwolnić choćby zaraz.

Norbert zgodził się na to z wielką chęcią. Po co ma pracować, przecież jest bogaty! Wypłacono mu w banku pensję za cały miesiąc. Ta kwota powinna być wystarczająca, dopóki nie nadejdzie przekaz na podróż. Spodziewał się, że prześlą mu wysoką sumę na kosztą przejazdu. Nie ulega wątpliwości, że tak będzie. Przecież bogaci ludzie podróżują zawsze wygodnie, komfortowo, pierwszą klasą. Popłynie na holenderskim okręcie, bo z Niemcami nie ma na razie stałej i regularnej komunikacji. Wyląduje w Amsterdamie, a stamtąd uda się koleją do G... Niewielkie to miasto leży w północnych Niemczech i — chwała Bogu — jest bardzo oddalone od Freiburga, jego rodzinnego miasta. To bardzo dobrze — na wszelki wypadek!

I Norbert Greinsberg rozpoczął wystawne życie, bawił się i hulał, dopóki nie nadeszły pieniądze na podróż.

\*

Pani Maria Hartau przybyła do Krumpendorfu. Radca Bern sam pojechał po nią samochodem na stację. Z podziwem spoglądał na tę wysoką, wciąż jeszcze piękną kobietę, której lata nie pozbawiły wrodzonego wdzięku.

Po przybyciu do Krumpendorfu radca przedstawił jej admini-

## 53

stratora i wszystkich oficjalistów. Następnie wręczył jej klucze do domu.

Na obiad zaproszono administratora. Po obiedzie, gdy administrator pożegnał się, pani Maria zwróciła się do radcy Berna:

— Czy pan ma jeszcze chwilkę czasu? Chciałabym omówić z panem różne sprawy.

— Jestem całkowicie do usług pani — odparł radca.

- Dziękuję. Jak już wspomniałam w moim liście, pragnę zarządzać odziedziczonym majątkiem w duchu mego zmarłego kuzyna.
- Zmarły był przekonany, że pani to uczyni. Znał panią bardzo dobrze.
  
- Mam zamiar zatrzymać administratora Brandesa.
- Bardzo słusznie.

— Ja sama chcę mieć jednak nadzór nad całym gospodarstwem. Cieszę się, że będę miała zajęcie, które wypełni mi dzień. Moja posiadłość w Bawarii jest mała, toteż wiele czasu spędzałam bezczynnie. Energia moja była uśpiona. Spojrzał z podziwem na jej wysoką imponującą postać.

— A co zamierza pani zrobić teraz z tym domkiem?

- Moja stara gospodyni Basia i parobek będą doglądać wszystkiego. Co roku będę przyjeżdżała do Obergriesbach, gdyż pozostawiłam tam część mego serca. Tam zresztą znajduje się mogiła człowieka, którego najbardziej w życiu ukochałam. Tutaj będę się musiała dopiero przyzwycząić do nowego otoczenia. Mam najlepsze chęci, sądzę więc, że wszystko pójdzie gładko. Na razie chciałam się pana poradzić w pewnej sprawie. Otóż Karol prosił mnie, abym pomogła moim krewnym. Zdaje się, że wszyscy są niezamożni?
- Wszyscy. Niektórzy są nawet w bardzo złych warunkach. To poniekąd usprawiedliwia ich zachowanie wobec zmarłego, którego zresztą to zachowanie irytowało.
- Mój kuzyn prosił mnie, abym się szczególnie zajęła Madzią von Schlettau, córką Ernesta. Rodzice jej nigdy nie byli bogaci. Moja przyjaciółka Lena Raveneck opowiadała mi, że Ernest dochrapał się zaledwie rangi majora...
- Tak jest. Jeden z jego synów jest porucznikiem, drugi kapitanem. Po ukończeniu wojny wystąpili z armii i zostali bez środków.

## 54

ków. Pragną sobie stworzyć nową egzystencję, ale to nie taka łatwa sprawa. Panna Madzia jest bardzo szlachetną, wartościową dziewczyną. Ma do mnie zaufanie i zwierzyła mi się ze swoich trosk. Podobno rodzice zjedli już wszystkie oszczędności, a ostatnio zadłużyli się nawet...

— W takim razie oni będą pierwsi, którym zaofiaruję pomoc.

- Zgodziłbym się bez zastrzeżeń, ale mam pewne powody, które skłaniają mnie, aby pani odradzić ten krok. Uczyniłem podobną aluzję, a wtedy panna Madzia oświadczyła, że nie przyjmie jałmużny. Czułaby się bardzo upokorzona, gdyby rodzice przyjęli tę pomoc od pani. Mimo to musiałaby się w takim wypadku pogodzić z losem, a to mogłoby niekorzystnie wpłynąć na jej stosunek do pani. Panu Karolowi zależało jednak, aby pani zaprzyjaźniła się właśnie z panną Madzią.
- Tak, to wynika z jego listu. Ale jakże mam jej pomóc? Karol prosił, bym wręczyła Madzi złoty medalion, jako pamiątkę po nim. Nie chcę więc, by sprzedała tę pamiątkę. Niech pan mi poradzi, co mam robić?

- Na razie nic. Niech pani wręczy jej ten klejnot. Zdaje mi się, że obejdzie się ze strony pani bez pomocy materialnej. Powiem pani w zaufaniu, że już wkrótce panna Madzia będzie sama mogła pomóc swoim rodzicom, o ile tylko zechce.

— Ach, zapewne ma bogatego konkurenta?

— Nie wolno mi mówić o tym, lecz za dwa tygodnie wszystko się wyjaśni. Jeżeli panna Madzia nie skorzysta z nadarzającej się sposobności, wtedy pani będzie mogła pomóc jej rodzinie. Może też do tego czasu pozna ją pani lepiej, a ona panią. Wszystko się jakoś ułoży. Spodziewam się, że pomoc pani nie będzie potrzebna. Sądzę natomiast, że jeżeli zyska pani przyjaciółkę w pannie Madzi, a ona w pani, będzie to bardzo korzystne dla obu stron.

— Dobrze, zastosuję się do pańskiej rady. A jak tam inni krewni?

- Inni? Im może pani bez zastrzeżeń świadczyć dobrodziejstwa, nie są oni tak subtelni i szlachetni jak Madzia. Niech pani jednak sama zbada dokładnie warunki. Oto moja rada.
- Mój kuzyn wspominał jeszcze o Henryku Stagemannie. Jedna z moich kuzynek wyszła za mąż za jakiegoś pana Stagemanna...

## 55

— Profesor Stagemann, ojciec Henryka. Henio, jego syn, jest studentem, wesołym i dzielnym chłopcem. Znosi spokojnie swoje ubóstwo i wierzy, że kiedyś własną pracą dojdzie do czegoś. Na razie jest uzależniony od ojca, któremu powodzi się kiepsko. Jemu warto pomóc. Poza tym polecam pani pannę Halm i jej narzeczonego. Ojciec tej panienki jest radcą konsystorza. Zaręczyła się z pewnym młodym pastorem, ale nie mogą się pobrać, bo brak im pieniędzy na najniezbędniejsze potrzeby.

— O, im warto pomóc. Tu można zdziałać wiele dobrego.

- Tak! Znajdzie pani więcej takich, którzy potrzebują pomocy. Widzę, że pani jest wspaniałomyślna i że nie zamierza pani odplacać złym za złe.
- Nie jestem z natury małostkowa. Spodziewam się, że pan nigdy nie powie tego o mnie.
- Jestem już dziś przekonany o tym. I dlatego pragnę zwrócić jeszcze uwagę pani na dwie panny von Schlettau. Żyją ze skromnej emeryturki i przez całe chyba życie nie zaznały ani odrobiny dobroci, radości i ciepła. Nic więc dziwnego, że na starość stały się zgorzkniałe, zjadliwe i małostkowe i że nie pozostawiają na nikim suchej nitki.

Pani Maria uśmiechnęła się dobrotliwie.



- Wyobrażam sobie! Zapewne i na mnie nie pozostawiły suchej nitki, biedne stare babuleńki. No, trudno, postaram się im pomóc. Moi krewni nienawidzą mnie teraz jeszcze więcej niż dawniej, ponieważ Karol mianował mnie swoją spadkobierczynią. Ja jednak uczynię wszystko, aby pojednać się z nimi i zmiękczyć ich serca.
- Zobaczymy, jak się to uda! Jestem prawie pewny, że pani dobre serce odniesie zwycięstwo na całej linii.
- Zobaczymy, panie radco. Przede wszystkim muszę sobie raz to całe towarzystwo zaprosić do Krumpendorfu. Najpierw pragnę jednak poznać Madzię von Schlettau. Słyszałam o niej wiele i bardzo mnie interesuje.

— Będzie pani z niej miała wiele pociechy.

— Mam nadzieję. Aha, przypominam sobie, że czytałam w gazecie nekrolog Jerzego Ravenecka. Nie mogłam po prostu uwierzyć, że nie żyje. Po śmierci Leny zawiadomił mnie o jej zgonie i napisał

## 56

bardzo uprzejmy list. Lena wspominała, że trzyma się krzepko, chociaż liczy już sześćdziesiąt lat.

- On także umarł nagle na serce. Trzymał się rzeczywiście dobrze, ale po śmierci syna miewał ataki sercowe. Ja sam na kilka dni przed jego śmiercią byłem świadkiem takiego ataku.
- Jakie to dziwne, że obydwaj sąsiedzi i przyjaciele tak szybko umarli po sobie. Szkoda, że Lena nie żyje. Byłaby także moją sąsiadką. Tak, życie się nieraz dziwnie układa... Czy też teraz jej syn odziedziczy Lindenhof?
- Tak, proszę pani. Jako jedyny krewny, tylko on jeden wchodzi w rachubę.

— Czy pan miał o nim jakieś wiadomości?

- Dotychczas nie miałem. Zapewne przebywa za granicą, liczę więc na to, że upłyną długie tygodnie, zanim da znak życia. Na zlecenie jego stryja dałem ogłoszenia do wszystkich poczytniejszych pism krajowych i zagranicznych. Mam nadzieję, że w jednym z nich przeczyta to ogłoszenie.
- Jeżeli tylko żyje. Biedna matka! Czekala na próżno na powrót syna!
- Gdyby umarł, to może otrzymalibyśmy wiadomość o jego śmierci.
- Spodziewajmy się, że powróci i że okaże się szlachetnym, prawym człowiekiem, z którego matka miałaby pociechę.

— Mam nadzieję, że tak będzie. Czym mogę pani jeszcze służyć?

— Niech mi pan poda adresy wszystkich moich krewnych. Napisać do nich, że mam zamiar nawiązać z nimi stosunki i zaproszę ich do siebie.

Radca roześmiał się głośno.

- Ciekaw jestem tych odpowiedzi. Niech pani będzie przygotowana na kilka przykrych listów.
- O nie, drogi panie radco. Znam dobrze moją rodzinę. Wszyscy odpiszą mi uprzejmie i wszyscy przyjmą zaproszenie. Czyżby pan zapomniał, że jestem teraz bogata, a przy tym bezdzietna? Zająłam miejsce mego zmarłego kuzyna. On był bogatym wujem, po którym można było spodziewać się spadku. Teraz ja jestem bogatą cicią, która także może zapisać coś swoim krewnym...

57

- Pani ma słuszość, że też nie pomyślałem o tym! Pani jednak będzie na pewno znosiła swój los z większą pogodą, niż pan Karol.
- Tak, panie radco. Ja przecież mam inną przeszłość, niż mój kuzyn, byłam niegdyś bardzo szczęśliwa. Dlatego też na stare lata zachowam poczucie humoru — to mój pas ratunkowy na falach żywota. Postanowiłam być filozofką i rolę bogatej cici odegram na wesoło.

Radca spojrział na nią z podziwem, po czym pocałował ją w rękę.

- Będzie pani czarującą bogatą cicią! Pani we właściwy sposób zapatruje się na te sprawy. Karolowi von Schlettau brakło tej równowagi, tej wyższości ducha, jaką posiadają tylko szczęśliwi ludzie.
- Biedny człowiek! Boli mnie tak bardzo, że nie zaznał nigdy radości ani spokoju. Nie poddam się jednak tej myśli, bo cóż pomoże taki smutek po czasie. Trzeba z żywymi naprzód iść, trzeba działać. Bo ja kocham życie, kocham je jeszcze dziś, jako wdowa po moim najdroższym mężu.
- Brawo! Podobają mi się pani zasady. Jestem wprawdzie samotnym kawalerem, ale i ja lubię wesołość, śmiech, radość. Nie zgorzkniałem na stare lata.

Pani Maria uśmiechnęła się do radcy i podała mu rękę.

— Proszę mnie jak najczęściej odwiedzać. Może uda mi się także rozweselić moją rodzinę. Wiem, że wywołam zgorszenie. Krewni uważają, że po śmierci Karola powinnam wylewać potoki łez. No, ale ponieważ od dwudziestu pięciu lat uchodzę za osobę bez serca, więc się nie zdziwią pewnie.

- Droga, kochana pani! Jakże się cieszę, że poznałem panią!
- Ta radość jest wzajemna.

Uścisnęli sobie serdecznie dłonie. Zawiązała się między nimi szczerą i prawdziwą przyjaźń, która miała trwać całe życie.

\*

Wielki parowiec odpływał właśnie z Tsingtao. Przy balustradzie stał wśród innych pasażerów wysoki, młody mężczyzna i spoglądał na znikające sprzed oczu miasto. Spędził tu cztery lata w obozie dla jeńców wojennych.

**58**

Myśląc o tych czterech zmarnowanych latach młodości, zmarszczył gniewnie czoło. W jego pięknych, szarych oczach zapalił się płomień. Prosto nakreślone brwi zbiegły się u nasady nosa, tworząc ostry kąt. Zaciśnął mocno wargi.

Twarz miał opaloną, ogorzałą od słońca, rysy męskie, energiczne, zdradzające wielki hart ducha i niezłomną wolę. Mógł liczyć lat trzydzieści kilka.

Okręt płynął... Po jakimś czasie zarysy chińskiego wybrzeża znikły we mgle. Młody człowiek westchnął i odwrócił się. Ujrzał wtedy starszego mężczyznę, który już od pewnego czasu stał za nim i obserwował go.

- No i co? Czy pan przebolewał już pożegnanie z tym miastem, panie Raveneck?
- O, panie Stenhove, nie było to bolesne pożegnanie. Żal mi tylko tych straconych lat, spędzonych w obozie. Nie mogłem walczyć za ojczyznę, to chyba najcięższe ze wszystkiego, co mnie spotkało.
- Weel, wierzę panu. Ale teraz niech pan zapomni o tych smutnych sprawach. Ma pan przed sobą jeszcze całe życie. A poza tym czeka pana piękny cel, ciekawa praca. Czy to pana nie nęci?
- O tak! Panu mam tylko do zawdzięczenia, że nie powracam do kraju jak rozbitek, że mimo wszystko osiągnąłem mój cel.
- Za cóż ta wdzięczność? Uczyniłem dla pana niewiele, ale na to nie było niestety sposobu. Jedyne szczęście, że mogłem stwierdzić pańską tożsamość, gdy strażnicy chińscy sprowadzili pana do Hongkongu.

Jan Raveneck uśmiechnął się smutno.

— Tak, panie Stenhove, wtedy udało mi się, to prawda. Mogli mnie przecież osadzić w więzieniu jako bezimiennego włóczęgę. Ciężkie miałem życie, bardzo ciężkie. To, co przeszedłem przedtem, zanim przybyłem do Hongkongu, było właściwie najgorsze. A później te cztery lata w obozie... Najbardziej dręczyła mnie bezczynność. A jednak, gdyby mnie pan wtedy nie był poznał mimo moich łachmanów i wynędzniałego wyglądu, gdyby pan nie potwierdził moich zeznań, kto wie, co spotkałoby mnie wówczas...

Pan Stenhofe roześmiał się.

**59**

- Muszę przyznać, że z trudem poznałem pana. Wyjechał pan na urlop jako elegancki, przystojny młodzieniec, a powrócił pan po wielu tygodniach jako nędzaryz w łachmanach.
- Uważam to za cud, że w ogóle powróciłem żywy. Pobożny mnich, który przybył na miejsce wypadku, aby wykopać grób, zbadał mnie najpierw dokładnie i stwierdził, że nie umarłem. Gdyby tego nie uczynił, zostałbym zakopany żywcem. On jednak przyłożył ucho do mego serca i przekonał się, że jestem pół martwy z zimna i głodu, ale jeszcze tli się we mnie słaby promyczek życia. Zaniósł mnie do swojej chaty i ocalił mi życie. Zaczynał człowieka niósł mnie przez kilka godzin na rękach. Potem nakarmił mnie i napoił jakimś nadzwyczajnym wywarem z ziół. Ten napój przywrócił mi zdrowie.

— Tak, dokazał nie byle jakiej sztuki.

- A pielęgnował mnie jak rodzona matka. Temu mnichowi zawdzięczam życie i zdrowie. Jego lekarstwo było cudowne. Co prawda, to poza życiem zdołałem niewiele uratować. Właściwie tylko mój plecak, w którym było trochę bielizny. Mój towarzysz, ów Norbert Greinsberg zabrał mi wszystko, bo myślał, że nie żyję.
- Przecież mógł powrócić z mnichem na to miejsce, gdzie zostawił pana i spróbować, czy nie ma ratunku.
- Był przekonany o mojej śmierci. Jeżeli on sam żyje, to zdziwi się na pewno dowiedziawszy się o moim ocaleniu. Minęło dużo czasu, zanim pocziwy mnich postawił mnie na nogi. A gdy rozstawałem się z nim, nie mógł mi także nic dać, oprócz zapasów na drogę...

— Miał pan wielkie szczęście, że pan przetrwał jakoś tę chorobę.

— Pewnie. Przeleżałem cztery tygodnie. Później, po upływie dalszych trzech tygodni dotarłem do Hongkongu, dokąd eskortowano mnie pod strażą jako włóczęgę. W panu była moja jedyna nadzieja. I nie zawiodłem się na panu. Pan nie odmówił mi pomocy, chociaż w tym czasie byliśmy już właściwie wrogami, bo nasze państwa walczyły ze sobą. Tego panu nie zapomnę.

Pan Stenhove machnął ręką.

— Przecież to nie miało nic wspólnego z naszą przyjaźnią. Za wsze szanowałem pana, był pan doskonałym pracownikiem i jako sekretarz oddawał mi pan nieocenione usługi. Zawsze też uważałem

**60**

pana za dżentelmena. Już wtedy miałem rozmaite plany, ale wojna stanęła mi na przeszkodzie. W każdym razie starałem się o to, by nie stracić pana z oczu. No i teraz moje plany staną się rzeczywistością.

- Tak, dzięki pańskim staraniom mogę już teraz powrócić do kraju.
- Weil! Po co mieliby pana zatrzymać dłużej, niż trzeba? Wojna skończyła się. Mój koncern otwiera wszędzie nowe filie. W Niemczech także. Potrzeba mi dzielnych, wykwalifikowanych ludzi. Obejmie pan więc kierownictwo jednej z tych filii. Zawiadomiłem już centralę w Berlinie, wiedzą, że pan się zgłosi. Okaże pan list polecający ode mnie. Jestem pewny, że i w Niemczech można będzie obecnie zawierać liczne, korzystne transakcje. W każdym razie dobrze się złożyło, że przyjechałem teraz do Tsingtao i mogłem zwolnić pana przed terminem. W Hongkongu omówimy sobie szczegółowo nasze sprawy. Czy pan ma swój paszport?

— Mam, panie Stenhove, ale to moja jedyna legitymacja.

- To wystarczy. Niech go pan dobrze schowa. W Niemczech będzie pan mógł wyrobić sobie wszystkie dokumenty. A może ten Norbert Greinsberg oddał je pańskiej rodzinie? Czy pan nic o nim nie słyszał?
- Nie! Przypuszczałem, że spotkam go w Tsingtao. Może udało mu się wówczas zbiec i nie dostał się do obozu dla jeńców. A może zginął? Kto to może wiedzieć? O ile przedostał się do Niemiec, to na pewno zawiadomił biedną matkę o mojej śmierci i wręczył wszystkie papiery. Napisałem później do matki, aby zawiadomić ją, że żyję. Może te listy nie doszły. W tych wojennych czasach trudno było przesłać wiadomość. Gdyby matka otrzymała jeden z moich listów, to dałaby mi znak życia. W każdym razie pisałem do niej jeszcze raz, kilka tygodni temu. Wiedziałem już wtedy, że nas wkrótce zwolnią z obozu i prosiłem, aby matka odpisała mi do Port Saiduna poste restante. Na kopercie wypisałem dokładnie adres nadawcy, aby mi odesłano list w razie, gdyby nie można było posłać go do Niemiec. Chciałbym jak najprędzej mieć wiadomość od matki, zwłaszcza że mój ojciec nie żyje. Wyczytałem w biuletynie niemieckich strat wojennych jego nazwisko. Poległ na wojnie.

— Ach, w takim razie matka jeszcze bardziej ucieszy się z pań-

**ci**

skiego powrotu! Wyobrażam sobie jej radość na widok zdrowego, przystojnego, dzielnego syna!

Oczy Jana zwilgotniały ze wzruszenia.

- Moja maleńka, droga mateczka! Ileż musiała się nacierpieć w tych okropnych czasach! Postaram się, aby miała przynajmniej dobrą, pogodną starość. Dręczyła mnie wciąż ta myśl, że właśnie podczas wojny nie było mnie w kraju.
- Tak, ale z drugiej strony mógł pan także stać się jedną z ofiar wojny.
- I to byłoby możliwe. Ciekawym, jakie zmiany zastanę w domu...

- Trudno, panie Raveneck, to właśnie są skutki wojny.
- Niegdyś marzyłem o innym powrocie.

— Niech pan się nie skarży. Powraca pan jako człowiek dojrzały, wykwalifikowany w swoim zawodzie. Osiągnął pan cel, o którym pan niegdyś marzył. Będzie pan pracował w kraju i przyczyni się pan z pewnością do podniesienia dobrobytu. Pańska matka będzie dumna ze swego syna.

- Dziękuję panu za te słowa.
- Weil! A teraz chodźmy na śniadanie.

Obydwaj panowie przeszli się powoli po pokładzie. Panował tu ruch i gwar. Widać było Chińczyków o długich warkoczach i zagadkowych Japończyków, z których twarzy nie schodził uprzejmy uśmiech. Oprócz Jana Ravenecka znajdowało się na okręcie jeszcze tylko dwóch Niemców, lecz jechali oni trzecią klasą. Nie mogli sobie pozwolić na zbytek podróżowania pierwszą. Za Jana zapłacił podróż pan Stenhove. Wyplacił mu także pokątną sumę, którą Jan Raveneck miał zaksięgować jako „koszta podróży” dla koncernu.

Jan Raveneck cudem uszedł śmierci. Pan Stenhove stwierdził jego tożsamość wobec władz. Nawet podczas wojny zachował dla Jana dawną życzliwość. Znał go dobrze i wiedział, że jest dzielnym, prawym człowiekiem i doskonałym pracownikiem. Ofiarował mu więc stanowisko kierownika w jednej z niemieckich filii koncernu.

Obecnie rzekomo zmarły jechał do Niemiec. Nie miał pojęcia, że Norbert Greinsberg przywłaszczył sobie jego papiery, aby korzystać

## 62

z nich dla nieczystych celów. Obawiał się jedynie, że Norbert zawiadomi matkę o jego śmierci.

Jana Ravenecka dręczyła okrutna tęsknota za matką. Z gorączkową niecierpliwością czekał chwili przybycia do Port Saidu. Spodziewał się, że zastanie tam list od matki.

Podróż na okręcie upływała bardzo przyjemnie. Jan czuł się doskonale, odżył jakby po czterech ciężkich latach niewoli. Uspokoił się i z większą niż poprzednio otuchą spoglądał w przyszłość.

W Hongkongu pan Stenhove wysiadł na ląd. Pożegnał Jana bardzo serdecznie. Warunki pracy i wszelkie sprawy handlowe zostały dokładnie omówione. Młody człowiek otrzymał szczegółowe wskazówki. Mógł być spokojny o swoją przyszłość.

Centrala w Berlinie została poinformowana i miała mu wyznaczyć odpowiednią placówkę. Kontrakt zawarto na kilka lat. Z biegiem czasu czekała go podwyżka pensji. Miał duże widoki na przyszłość i mógł być zadowolony.

Smutna i ciężka była jego młodość, przeszedł bardzo wiele. Przetrwiał jednak zwycięsko wszelkie przeciwności, pozostając uczciwym, prawym i solidnym człowiekiem. Teraz osiągnął cel, o którym zawsze marzył. Ta świadomość pozwalała mu zapomnieć o dawnych ciężkich chwilach.

Pogoda sprzyjała. Okręt płynął bez przeszkód, wioząc Jana do dalekiej, ukochanej ojczyzny. Jan Ravenek odzyskał pogodę ducha. W serce jego wstąpiła na nowo otucha i nadzieja. Zaczął znowu kochać życie.

W Port Saidzie czekał go jednak bolesny cios.

Udał się na pocztę po oczekiwany list z domu. Zamiast niego jednak doręczono mu jego własny list, zaopatrzony w adnotację: „Adresat zmarł”.

Płonącymi oczyma spoglądał na te słowa. Stał przygnębiony, przybity, obezwładniony bólem. Postacią jego wstrząsnęło suche łkanie. Przestał się cieszyć z powrotu do kraju.

Wiedział już, że ojciec poległ na wojnie. Wiadomość ta w swoim czasie wstrząsnęła nim do głębi. Zapomniał o wszystkim, co ich niegdyś dzieliło i szczerze ubolewał nad zgonem ojca. Czymże jednak był w porównaniu z tym uczuciem ból, jaki ogarnął go w tej chwili!

## 63

Jan kochał matkę ponad wszystko w świecie. Za nią jedną tęsknił w ciągu tych długich lat samotności i zmagania się z losem. Była jedyną istotą bliską jego sercu.

Biedna, droga mateczka! Zawsze cicha, pokorna, zahukana przez ojca! Zawsze pełna trwogi! Po śmierci ojca straciła jedyną podporę. Zapewne miała troski, kłopoty... Nie umiała sobie sama dać rady... Umarła samotnie. Delikatna, wątła istota, która nigdy nie potrafiła stawić czoła życiowym burzom!

Biedna matka! Nie będzie jej mógł otoczyć tkliwym staraniem, jak o tym niegdyś marzył. Nie stworzy jej promiennej, pogodnej starości...

Jan przestał się nagle cieszyć z osiągniętego swego celu. Dawniej dążył do czegoś, walczył, znosił mężnie swój los, bo jak gwiazda przewodnia przyświecała mu myśl o matce. A teraz...? Nie, nie może się już z niczego cieszyć...

Po co powraca? To właściwie nie ma sensu. Przecież matka nie czeka na niego. Czuję, że nie będzie w stanie powrócić do rodzinnego miasta. Wszystko będzie mu tam przypominało matkę!

Zbolały, znękany powrócił na pokład okrętu. Nie przestawał myśleć o zmarłej matce.

Ogłoszenie w gazetach ukazało się właśnie w tym czasie, gdy Jan Ravenek wyjeżdżał z Tsingtao. Na statek nie zabłąkało się żadne z tych pism, w których

wydrukowano ogłoszenie. Jan nie dowiedział się zatem, że został spadkobiercą stryja, że w kraju czeka nań bogate dziedzictwo. Nie wiedział też nic o śmierci stryja i kuzyna.

W smutnym nastroju upłynęła mu podróż. Długo trwało, zanim oswoił się z tym bolesnym ciosem, zanim odzyskał równowagę ducha.

Wylądował w Amsterdamie. Stamtąd udał się koleją do Berlina.

Postanowił szukać zapomnienia w wytężonej pracy. Wszystkie jego myśli zaprzętała obecnie posada i związane z nią czynności.

\* \*

\*

Madzia von Schlettau nakryła stół do śniadania i przyniosła kawę. Rodzice siedzieli już przy stole. W chwilę później nadeszli

## 64

bracia, którzy odnajmowali w sąsiedztwie skromny pokój. Dla uniknięcia większych kosztów stołowali się u rodziców. Należało się urządzać jak najoszczędniej. Państwo von Schlettau od dawna już nie mieli służącej. Madzia i jej matka same zajmowały się gospodarstwem.

Rodzice i dzieci siedzieli w milczeniu, przygnębieni i znużeni życiem. Madzia próbowała kilka razy nawiązać rozmowę, ale nikt jej nie odpowiadał. Ludzi tych prześladowało widmo bliskiej nędzy. Myśl o przyszłości nie dawała im chwili spokoju. Nie ochłonęli jeszcze po okropnym zawodzie, jaki sprawił im testament Karola von Schlettau.

Major i jego synowie starali się wszędzie o pracę. Nigdzie jednak nie mogli znaleźć zajęcia. Byliby chętnie założyli jakieś przedsiębiorstwo, lecz na to brakło im środków.

Nagle wśród ponurej ciszy zabrzmiał dzwonek. Madzia wyszła do przedpokoju. Po chwili powróciła do jadalni, niosąc w ręku list. Wszyscy spojrzeli wyczekująco na kopertę. Rzadko bardzo otrzymywali listy. Każdy z nich budził w sercach jakieś nieokreślone bliżej nadzieje.

- Dla kogo? — zapytał major.
- Dla ciebie, tatusiu.

Madzia podała ojcu kopertę, po czym znowu usiadła przy stole. Major po przeczytaniu listu spojrział zaskoczony na swoich najbliższych.

— Co się stało, Erneście? Od kogo jest ten list? — spytała zaniepokojona pani majorowa.

— Od Marii Hartau!

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem.



— Od niej? — zapytała mojejowa na pół z oburzeniem, na pół z ciekawością.

— Tak. Posłuchajcie, co mi pisze.  
I major zaczął na głos czytać list.

*Drogi Kuzynie!*

*Spieszę zawiadomić Ciebie i wszystkich naszych krewnych, że przybyłam już do Krumpendorfu, gdzie się staram oswoić z moimi nowymi obowiązkami. Jeżeli chcecie, to możemy zapomnieć o przeszłości i nawiązać stosunki, aby od tej chwili żyć w zgo-*

5 — Skradzione życie

*dzie, jak to nam nakazuje bliskie pokrewieństwo. Na to nigdy nie jest za późno! Zaproponowałam to całej rodzinie. Rozumiem, że obecnie macie do mnie jeszcze większy żal niż poprzednio, ponieważ zostałam spadkobierczynią Karola. Musicie jednak przyznać, że nigdy nie starałam się o to. Objęłam tedy ten spadek i proszę was, byście nie mieli do mnie o to pretensji. Możecie mi wiele zarzucić, ale wiecie dobrze, iż to nie moja wina, że Karol sprawił wam zawód swoim testamentem.*

*Będę bardzo rada, jeżeli zechcecie bywać u mnie. Będziecie zawsze mile widziani. Drzwi Krumpendorfu stoją zawsze otworem dla całej rodziny. Możecie traktować Krumpendorf jako miejsce odpoczynku i wytchnienia. Pragnę tedy podać wam rękę i pogrzebać dawne wzajemne urazy i dlatego proszę was, abyście przybyli do mnie na obiad w niedzielę o pierwszej po południu. Zaprosiłam także innych krewnych.*

*Do Ciebie, drogi kuzynie, mam jeszcze jedną prośbę. Przyślij mi jutro na kilka godzin Twoją córkę, Madzię. Karol von Schlettau polecił mi oddać Madzi złoty medalion, który należał do jego matki. Prosił, aby go nosiła jako pamiątkę po nim. Gdy będziecie w niedzielę u mnie, pozwolę, aby każde z was wybrało sobie jakąś pamiątkę po Karolu. Karol wprawdzie nie wspominał o tym, lecz wiem, że byłoby to zgodne z jego życzeniem. Mam nadzieję, że nie odtrącicie wyciągniętej do zgody ręki i nie sprawicie mi zawodu odmową. i*

*Jutro o jedenastej przed południem przyślę samochód dla Madzi. Mój szofer odwiezie ją do domu, o ile nie zechce pozostać dłużej. Pragnę bardzo poznać ją, bo Karol von Schlettau napisał mi o niej wiele dobrego, a i radca Bern chwali ją ogromnie. Spodziewam się, że wytrzyma u mnie kilka godzin, abyśmy mogły się dobrze poznać. Raz jeszcze proszę was o zgodę.*

*Maria Hartau*

Przez długą chwilę panowała cisza. Pięć osób zebranych w małej jadalni spoglądało w milczeniu po sobie. Proste a serdeczne słowa Marii Hartau nie pozostały bez wrażenia. Madzię zachwycił ten list.

## 66

Jej młode serduszko od dawna już przepelniało uwielbienie dla tej nieznannej krewnej. Jednakże i pozostali członkowie rodziny byli wzruszeni. Nie, nie mogli mieć żalu do Marii Hartau za to, że jej przypadł spadek, na który czekali. Trzeba było przyznać, że zachowała się bardzo przyzwoicie.

Poza tym list Marii zawierał nęcące propozycje. Krumpendorf był bardzo przyjemnym miejscem wypoczynku. A cóż dopiero te doskonałe i obfite obiady niedzielne!... Zwłaszcza w dzisiejszych ciężkich czasach. Nie, nie można było oprzeć się tym licznym pokusom...

Major zmieszany i trochę bezradny, zwrócił się do żony:

- Co sądzisz o tym, Marto? Majorowa wzruszyła ramionami.
- Sama nie wiem, co mam powiedzieć...

Teraz ona z kolei spojrzała bezradnie na córkę. Dziwiła się w duchu, że pani Maria wyrażała się tak pochlebnie o Madzi.

— No, Madziu — zapytał major — a ty co powiesz? Przecież zwykle okazujesz tak wielki entuzjizm, gdy jest mowa o cioci Maryni! Czemu milczysz?

Madzia odparła bez namysłu.

- List cioci Maryni jest czarujący. Milczałam, bo jestem ogromnie zdumiona, że wuj Karol właśnie mnie pozostawił pamiątkę.
- Tak, to naprawdę zdumiewające. Właśnie ty najmniej troszczyłaś się o wuja. A więc uważasz, że to miły list?
- Tak, tatusiu! Według mego zdania ciocia Marynia nie miała wcale potrzeby prosić nas o pojednanie. Mimo to pierwsza wyciągnęła rękę do rodziny, która ją potępiała i oskarżała. Uważam, że nie powinniśmy obrażać cioci odmową, skoro tak wielkodusznie chce się pogodzić z nami. Jest ona naszą krewną, jest samotna, nie ma nikogo bliskiego. Bogactwo nie zdoła jej zastąpić rodziny.

Ku wielkiemu i radosnemu zdumieniu Madzi bracia stanęli po jej stronie. Przyznać należy, że ich pobudki nie były tak bezinteresowne jak argumenty Madzi. Rodzice również myśleli przede wszystkim o korzyściach materialnych. Tak dawno nie jedli już obfitego obiadu. Majorowi przypomniał się wspaiały burgund, przechowywany w piwnicy w Krumpendorfie.

Majorowa zastanawiała się już w duchu nad tym, co sobie wybierze na pamiątkę. Musi to być, naturalnie, rzecz piękna i kosztowna. Czy prosić o tę wspaniałą srebrną maszynkę do kawy, której używał Karol? A może lepiej wybrać co innego?...

Okazało się, że Maria Hartau rzeczywiście zna dobrze swoją „rodzinkę”. Jej pogodna filozofia życiowa odniosła zwycięstwo na całej linii. Wszyscy krewni po otrzymaniu listów zachowali się podobnie jak majorostwo. Wszyscy bez wyjątku przyjęli zaproszenie do Krumpendorfu.

Profesor Stagemann pierwszy wpadł na myśl, że Maria Hartau jest obecnie bogatą ciotką, po której można będzie w przyszłości odziedziczyć majątek. Na szczęście nie wypowiedział tej myśli głośno i nie zepsuł radości swemu synowi Henrykowi, który głośno zachwycał się postępkami „tej wspaniałej cioci Maryni”.

Słowem Maria Hartau nie otrzymała ani jednej odmownej odpowiedzi.

Mądra i szlachetna kobieta uśmiechnęła się, czytając uprzejme listy krewniaków. Wiedziała z góry, że musi zwyciężyć, choćby dlatego, że jest obecnie „bogatą ciocią”. Nie zatrzymała sobie jednak życia tą myślą.

Nazajutrz przed południem Madzia z bijącym sercem czekała na samochód z Krumpendorfu. Ze smutkiem wspominała ów dzień, gdy nadaremnie spodziewała się powozu z Lindenhofu. Było to wtedy, gdy umarł jej stary, drogi przyjaciel, którego kochała niemal jak ojca. i

Czy ciocia Marynia zastąpi jej przyjaźń Jerzego Ravenecka? Osamotnione serce dziewczyny marzyło o kimś, kto by mógł ją zrozumieć.

Samochód punktualnie o jedenastej stanął przed domem. Madzia szybko zbiegła ze schodów. Nie słyszała prawie rad i wskazówek, jakie matka dawała jej na drogę! Nie miała zresztą zamiaru stosować się do nich. Pragnęła poznać bliżej i pokochać tę nieznaną ciotkę, lecz nie było w tym ani krzty wyrachowania. Madzia była zbyt uczciwa, zbyt prawa aby podobne myśli miały powstać w jej głowie. Zawsze i wszędzie kierowała się wyłącznie uczuciem.

Usiadła w głębi auta. G... było małym miasteczkiem. Mogła po

drodze spotkać kogoś z rodziny. Nie chciała, aby zobaczono ją w tym pięknym, eleganckim samochodzie, który wszyscy dobrze znali. Dowiedzianoby się zaraz, że ciocia Marynia ją pierwszą zaprosiła do siebie, co byłoby powodem zazdrości i zawiści innych członków rodziny. Pragnęła tego unikać.

Czemu to ciocia Marynia wyróżniła ją właśnie? I dlaczego Karol von Schlettau zapisał jej medalion na pamiątkę? Czy chciał wynagrodzić ją za to, że nigdy nie starała się o jego łaskę?

Mniejsza o to! Madzia cieszyła się ogromnie, że nareszcie pozna ciocię Marynię. Pragnęła całym sercem, aby ta nieznana krewna przy bliższym poznaniu nie sprawiła jej zawodu.

\*

Maria Hartau przyjęła Madzię na progu pięknego obszernego salonu. Miała na sobie powłóczytą czarną suknię, w której wyglądała okazale i pięknie. Siwe warkocze otaczały wieńcem jej twarz młodą jeszcze, o delikatnych rysach.

Postąpiła kilka kroków naprzód, ujęła Madzię za obie ręce i tak wciągnęła ją do salonu.

Przez chwilę obie panie stały w milczeniu, patrząc sobie badawczo w oczy. Potem Maria Hartau skinęła głową i odetchnęła.

— Tak, droga Madziu, czuję, że musisz być podobna do mnie. Mamy pokrewne natury. Z powierzchowności również przypominasz mnie bardzo. Nie gniewaj się, że wmawiam ci podobieństwo do starej kobiety. Ale ja także byłam niegdyś młoda...

Madzia zarumieniła się z radości.

— Ach, cioteczko, jesteś piękną kobietą! Wyglądasz tak, jak sobie ciebie wyobrażałam. Nie przypuszczałam tylko, że wyglądasz tak młodo.

— Drogie dziecko, mam już pięćdziesiąt lat.

- Moja matka jest zaledwie o dwa lata starsza od ciebie, a wygląda o dwadzieścia lat starzej.
- Nic dziwnego! Twoja matka ma troje dzieci, o które musiała się troszczyć i lękać. W takich warunkach człowiek prędzej się starzeje. Moje życie na ogół układało się zawsze pomyślnie. Bóg czuwał

69

nade mną, mimo rozmaitych przeciwności losu. A mój mąż nosił mnie na rękach.

Madzia rzuciła się ciotce na szyję.

— Przecież zasłużyłaś sobie na to!

W słowach tych dźwięczało tak głębokie, szczere przekonanie, tak gorące uczucie, że pani Maria rozczulona przycisnęła Madzię do serca.

— Moja droga Madziu! Wiem, że dzielnie broniłaś biednej cioci Maryni, która porzuciła dom i rodzinę i uciekła w świat z ukochanym człowiekiem!

Madzia zarumieniła się.

— Skąd wiesz o tym?

- Może powiedział mi o tym mój mały paluszek? Dość, że wiem wszystko i dlatego pragnęłam cię jak najprędzej poznać. A teraz usiądźmy sobie i pogadajmy. Mamy sobie tak wiele do powiedzenia. Jaką wiadomość przywozisz mi od rodziców? Czy przyjadą w niedzielę?
- Naturalnie, cioteczko! Cieszą się bardzo, że pragniesz pojednania. Uważam, że postąpiłaś nadzwyczajnie.

Pani Maria roześmiała się.

— A tak, zdobyłam się na odwagę i ruszyłam wprost do celu. Nie ma przecież sensu, żeby cała rodzina boczyła się na mnie. Wiedziałam, że żaden z moich krewnych nie zwróci się do mnie, wobec tego ja pierwsza wyciągnęłam do nich rękę.

- To właśnie uważam za godne podziwu!
  - A zatem mogę być pewna twego uznania?
  - Nie żartuję, cioteczko, jesteś doprawdy nadzwyczajną kobietą!
- 
- A ty jesteś małą entuzjastką, Madziu! Nie mogę już słuchać tych twoich pochwał.
  - Ciociu, moje pochwały to nie zdawkowe słowa pochlebstwa! Czuję, że jesteś dobra, szlachetna i że potrafisz mnie zrozumieć. To właśnie sprawia mi tak wielką radość.

Pani Maria przytuliła siostrzenicę.

— Masz szłuszną, moje kochane dziecko. Najważniejsze, że się tak dobrze rozumiemy. Sądzę, że będziemy przyjaciółkami.

— Ach, pragnę tego całym sercem. Pokochałam cię od razu,

droga ciociu! Czuję się z tobą tak dobrze, jakbym cię znała od dawna.

Pani Maria przesunęła rękę po włosach młodej dziewczyny.

— Jakże bogata jest twoja matka! — szepnęła, a w głosie jej zabrzmiał cichy smutek.

— Czy ty nie masz dzieci, cioteczko?

— Nie, jestem samotna. Nigdy nie odczuwałam tego tak do tkliwie, jak teraz, gdy poznałam cię. Oddałabym z chęcią cały Krumpendorf za taką córeczkę jak ty, moja kochana Madziu! Nie należy jednak żądać zbyt wiele. Musisz jednak jak najczęściej od wiedzać twoją starą ciotkę.

- Bardzo chętnie, dopóki będę mogła.
- Czy nie zawsze będziesz mogła?

— Widzisz, ciociu, mam zamiar starać się o jakąś posadę. Nasze położenie jest bardzo ciężkie.

Pani Maria spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Jak to? Zdawało mi się, że wkrótce masz wyjść za mąż! Madzia wybuchnęła śmiechem.
- Nie wiem tylko, za kogo. Skąd ta myśl, cioteczko?
- Radca Bern napomykał coś o tym. Mówił, że wkrótce pozbędziesz się wszystkich kłopotów. Dlatego sądziłam, że wkrótce wyjdiesz dobrze za mąż!
- Ani dobrze, ani źle. Jakie to jednak dziwne! Bo pan radca i mnie także robił jakieś tajemnicze aluzje. Nie wiem, co miał na myśli.
- Na razie nie mamy potrzeby zastanawiać się nad tym. Jedno tylko jest pewne: nie pozwolę ci szukać posady! Jeżeli już twoi rodzice zgodzą się na to, byś starała się o pracę, to przyjmę cię z otwartymi ramionami w Krumpendorfie. Przydałaby mi się bardzo taka młoda, miła towarzyszka!

Madzia zarumieniła się i rzekła z godnością:

— Kochana ciociu, ja pragnę pracować i zarabiać na chleb, nigdy jednak nie przyjmę od nikogo jałmużny!

, — Ho, ho! Taka dumna? To mi się jednak właśnie podoba! Tylko że twoja duma jest w tym wypadku nie na miejscu. W Krumpendorfie nie zbrakłoby ci pracy. Miałabyś dużo zajęcia i na pewno

71

nie jadłabyś u mnie łaskawego chleba, moja droga duszyczko! Uważam jednak, że skoro chcesz pracować, to możesz równie dobrze przyjąć posadę u mnie. Nie myśl, że miałabym dla ciebie jakieś względy.

— Czy ciocia myśli na serio?

— W podobnych sprawach nigdy nie żartuję. Obawiam się jednak, że nic z tego nie będzie. Radca Bern to poważny człowiek i nie rzuca słów na wiatr. Nie myślmy na razie o tej sprawie. Opowiedz mi lepiej, co słyhać u was w domu, opowiedz mi o twoim życiu. Czasu mamy dosyć, nie puszczę cię tak prędko. Zjesz ze mną obiad. Czy wiesz, kto mi najpierw opowiadał o tobie?

— Kto?

— Moja przyjaciółka, pułkownikowa Raveneck. Magdalena uśmiechnęła się.

— Możesz z tego od razu połowę skreślić, kochana ciociu. Pani pułkownikowa zawsze mnie przeceniała.

— Pozwolisz, że zrobię sobie o tym własne zdanie.

- Ma się rozumieć, cioteczko, powinnaś to nawet uczynić. Pani Lena była aniołem dobroci. Wzruszała mnie zawsze jej wdzięczność za każdą najdrobniejszą przysługę. W ostatnich dniach przed jej śmiercią bywałam u niej bardzo często. Czuła się źle, była bardzo osłabiona, więc chciałam jej trochę pomóc. Dziękowała mi zawsze tak serdecznie, że mnie to po prostu zawstydzało.
- Biedna, nieszczęśliwa kobieta! Niewiele dobroci doznała w życiu, nie przywykła do starań i czulej opieki. Mąż Leny był tyranem. Syn uciekł z domu, nie mogąc się pogodzić z despotyzmem ojca.
- Biedaczka! Tęskniła tak bardzo za synem. I wreszcie umarła, nie doczekawszy się jego powrotu. Tak się cieszyła myślą, że zamieszka u ciebie w Obergriesbach. Czuła się tam tak dobrze. Opowiadała mi tyle o twojej dobroci, o twojej radości życia. „W towarzystwie Maryni każdy staje się innym człowiekiem, nawet ja odżyłam. Będzie mi u niej jak w niebie” — mówiła do mnie.

Pani Maria westchnęła.

— Widzisz, Madziu, ile dobrego można było wyświadczyć takiej biednej, uciemnionej, nieśmiałej duszy! Wreszcie zbrakło sposobności... to jest najsmutniejsze...

- Tak, ciociu Maryniu! Zapewne i jej syn odczuje to boleśnie, bardziej jeszcze od nas. Pomyśl, jak będzie cierpiał, gdy powróci i nie zastanie matki przy życiu! Zapamiętałam dobrze pewien ustęp z jego pożegnalnego listu. Pisał, że gdy powróci, to otoczy matkę najczulszą opieką. Kochał ją bez granic, tęsknił pewnie za nią, a tymczasem ona już nie żyje. Pani Lena nigdy nie rozstawała się z tym listem ani z fotografią syna. Przypominam sobie z jaką miłością, z jakim bólem spoglądała zawsze na tę fotografię...
- Tak, widziałam to sama! Biedna, nieszczęśliwa matka! Miała dziecko, a musiała się z nim rozłączyć na wieki. A na domiar złego jej mąż odsyłał synowi wszystkie listy, nie czytając ich. Nie wspomniał Lenie ani słowem, że syn pisał do niej. Uważam to za niesłychane okrucieństwo ze strony pułkownika.

Madzia zbladła. Z przerażeniem spojrzała na ciotkę.

— Czy podobna? Jak mógł postąpić tak okrutnie?

- Widzisz, moje dziecko, takie despotyczne natury są zdolne do wszystkiego. Przestańmy jednak mówić o tych smutnych sprawach. Jesteś aż biała z wrażenia.
- Bo wyobrażam sobie, co musiało się dziać w duszy Jana Ravenecka. Nieszczęśliwy człowiek nie mógł swojej ukochanej matce przesłać nawet słowa pociechy!

— Niestety! Pewnie bardzo cierpiał nad tym.

— Gdzież on teraz przebywa? Czy też nareszcie powróci do kraju, aby objąć spadek?

— Miejmy nadzieję, że powróci.

W tej chwili nadszedł służący, aby oznajmić, że podano już do stołu. Obie panie udały się do jadalni. Oczy pani Marii błyszczały radośnie. Madzia podobała się jej coraz bardziej.

— Jak to przyjemnie, gdy człowiek ma towarzystwo przy stole. O, gdybym mogła mieć codziennie taką przyjemność! Musiałabym jednak widywać podczas posiłków taką miłą buzię, jak twoja! — rzekła do Madzi.

Po obiedzie ciotka i siostrzenica gawędziły długo. Rozmawiały o rodzicach Madzi i innych krewnych. Później pani Maria wprowadziła Madzię do dawnego gabinetu Karola von Schlettau. Stała tu wielka ogniotrwała kasa. Pani Maria wyjęła z kasy dużą stalową



kasetkę, ozdobioną srebrnymi okuciami. Karol von Schlettau przechowywał w tej kasetce wspaniałą biżuterię, odziedziczoną po matce. Pani Maria dobyte z kasetki złoty łańcuch misternej roboty, na którym wisiał piękny medalion, wysadzany bogato perłami i brylantami. Włożyła go Madzi na szyję.

— Noś to zawsze na pamiątkę po wuju Karolu!

Madzia była zaskoczona.

— Taki kosztowny klejnot! I to ja mam go otrzymać! Czy wuj Karol naprawdę pozostawił takie polecenie?

Pani Maria uśmiechnęła się i bez słowa podała Madzi list zmarłego kuzyna. Pismo to przechowywała również w kasetce.

— Czy mam to przeczytać, ciociu Maryniu?

— Tak, drogie dziecko. Komu innemu nie dałabym go do czytania, uważałabym to za profanację. Ty jednak przeczytaj ten list, aby ten klejnot naprawdę sprawił ci radość. Karol von Schlettau napisał do mnie te słowa przed śmiercią...

Madzia spojrzała na ciotkę z wahaniem.

— Nie, nie. Przecież wierzę cioci bez zastrzeżeń.

— Pragnę byś przeczytała to pismo. Wuj Karol ukaże ci się wtedy w innym, lepszym świetle.

- O, ja zawsze uważałam go za dobrego człowieka.
- Mimo to, przeczytaj... Proszę cię o to!

Po przeczytaniu listu oczy Madzi zwilgotniały. Powiedziała cicho:

- Być może, iż postępowałam niesłusznie. Nie powinnam była przez dumę unikać wuja Karola. Może mnie potrzebował? Ale ja bałam się, że posądzi mnie o chciwość... że mi chodzi o spadek...
- Przekonałaś się teraz, że Karol mimo wszystko dobrze cię znał. Wiesz już teraz, kto mi powiedział o tym, że stawałaś w mojej obronie. Wuj Karol był, jak widzisz, mniej surowy i zawzięty, niż się wszystkim zdawało. Pragnął jedynie, abym ja pomagała zamiast niego tym krewnym, którzy się mnie w swoim czasie wyrzekli. I właśnie w tej sprawie muszę zasięgnąć twojej rady. Na razie jednak nie wspominaj nikomu o moich zamiarach. Muszę dobrze poznać całą rodzinę i zbadać, komu potrzebna jest pomoc.

Madzię ogarnął smutek. Myślała o ciężkim położeniu rodziców. Czy też ciocia Marynia zechce im pomóc? Chodzi przecież tylko

o pożyczkę. Ojciec spłaciłby powoli ten dług... Za nic w świecie nie wspomniałaby o tym ciotce. Ciocia Marynia na pewno sama zorientuje się, gdzie i komu należy pomóc. Madzia mogła prosić o pomoc dla innych krewnych, nie potrafiła jednak mówić o najbliższej rodzinie.

— Właściwie to wszystkim powodzi się nieszczęśliwie. Nigdy nie byli bogaci, a wojna zwiększyła brzemię trosk. Ma się rozumieć, że nie wspomnę nikomu o twoich zamiarach.

— To dobrze. Niech na razie nie wiedzą, że chcę im pomóc.

— Dziwię się bardzo, że wuj Karol wyróżnił mnie — odezwała się Madzia po chwili — wierzyć mi się po prostu nie chce, że ten medalion ma należeć do mnie...

— Przecież sama czytałaś list wuja, kochana Madziu! Dziewczyna zamyśliła się.

Gdybym miała tyle pieniędzy, ile jest wart ten medalion! Ach, mogłabym wtedy choć trochę dopomóc rodzicom. Niestety, nie wolno mi go sprzedać! — westchnęła w duchu.

- Nasi krewni będą mi bardzo zazdrościli — rzekła wreszcie do ciotki.
- Każdy dostanie coś na pamiątkę. Powiedz no mi Madziu, jaki jest Henryk Stagemann?
- Henio? Lubię go najbardziej z całej rodziny. Dobry, miły chłopiec, a poza tym zawsze wesoły i w dobrym humorze pomimo ubóstwa.

— Cóż on studiuje?

— Medycynę. Obawiam się jednak, że ojciec nie da mu pieniędzy na dalsze studia, bo to za wiele kosztuje.

— A kiedy powinien ukończyć uniwersytet?

— Zdaje się, że brak mu tylko trzech semestrów. Jest bardzo pracowity, chce udzielać lekcji, aby trochę zarobić i móc ukończyć studia.

- Jemu więc trzeba pomóc, prawda, Madziu? Oczy Madzi zabłysły.
- Ach, najdroższa ciociu, jakby to było wspaniale!

— Mam wrażenie, że kochasz bardzo tego kuzynka — rzekła pani Maria, spoglądając badawczo na Madzię.

Ale Madzia roześmiała się głośno.

— Nie, nie cioteczko, nie patrz na mnie tak badawczo! Jesteśmy tylko parą dobrych przyjaciół. Poszlibyśmy razem, choćby na koniec świata! Henio także uwielbia cię, droga ciociu. A poza tym rozumiemy się wzajemnie i zgadzamy się z nim lepiej, niż z moimi braćmi.

— Więc z braćmi nie zgadzasz się?

- Widzi ciocia, moich braci znam właściwie bardzo mało. Oddaliliśmy się od siebie, bo nie wychowywaliśmy się razem w domu. Najpierw przebywali w szkole kadetów, później przeniesiono ich do innego garnizonu, wreszcie wyruszyli na wojnę. Teraz siedzą w domu, zupełnie wykolejeni i mają ciężkie troski. Nie powinni byli w ogóle obierać tego zawodu, bo przecież nigdy nie byliśmy zamożni. Z drugiej strony jednak wykształcenie i utrzymanie w szkole kadetów wypadło najtaniej. Dlatego też ojciec umieścił ich tam. Nikomu nie przyszło na myśl, że mogliby pójść inną drogą, chociaż obydwaj mają wielkie zdolności do rysunków i malarstwa, jak zresztą i tatuś.
- Tak, tak... Każdy chłopiec musiał zostać oficerem... W naszych kołach zawsze tak bywało!
- Masz słuszność, ciociu! Ach, jakież to smutne, gdy się patrzy teraz na swoich najbliższych! Stali się tacy obojętni, tacy małostkowi pod ciężarem tych wszystkich kłopotów!

Pani Maria pogładziła pieszczotliwie złociste włosy Madzi.

- Słuchając twego opowiadania, przypomina mi się żywo moja własna młodość! Stara piosenka o nędzy w oficerskich rodzinach! Na zewnątrz blichtr, a pod nim bieda i troska! Czy twoi bracia są przynajmniej rozsądni i solidni?
- O tak! Jestem pewna, że w końcu dojdą do czegoś! Tylko teraz właśnie jest najgorszy czas.

Pani Maria ruchem pełnym miłości przygarnęła do siebie Madzię.

- Nie smuć się, kochanie! Wszystko się dobrze skończy, zobaczysz!
- Ach, cioteczko, jesteś taka miła i dobra! Jakże się cieszę, że cię znalazłam! Czułam się taka osamotniona, taka niepotrzebna! Od czasu śmierci pani Leny i mego starego przyjaciela, pana Jerzego Ravenecka nikt mnie już nie potrzebował. <■

76



- Czy byłaś zaprzyjaźniona z właścicielem Lindenhofu? — zapytała pani Maria. Przypomniała sobie opowiadanie zmarłej przyjaciółki. Przecież Lena mówiła, że pan Raveneck uważał Madzię za swoją przyszłą synową.
- Lubiłam go bardzo — odparła Madzia. — Jego syn Alfred był przyjacielem moich braci i moim także. Zapraszano nas często do Lindenhofu, gdzie zawsze spędzaliśmy świetnie czas. Alfred był poczciwym chłopcem. Zmartwiłam się bardzo, dowiedziawszy się, że poległ na wojnie. Bywałam u jego ojca, jeszcze za życia Alfreda, a później po jego śmierci. Chciałam go trochę pocieszyć. No i tak jakoś zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. Niestety, umarł nagle i mam teraz o jednego przyjaciela mniej.

Pani Marii przypomniały się nagle słowa radcy Berna. Napomykał on przecież, że ciężkie położenie Madzi zmieni się wkrótce na lepsze. Zamyśliła się głęboko i rzekła po chwili:

- Jego spadkobiercą zostanie chyba Jan Raveneck?
- Tak, ciociu!
- Czy to już zupełnie pewne?

— Jerzy Raveneck powiedział mi to sam. Było to w przeddzień jego zgonu. Odwiedziłam go w chwili, gdy porządkował spuściznę po pani pułkownikowej. Pokazał mi wówczas fotografię Jana Ravecka i oznajmił, że bratanek zostanie jego dziedzicem. Pan Raveneck twierdził, że Jan jest na pewno porządnym, szlachetnym człowiekiem. Mam wrażenie, że się nie mylił. Dość spojrzeć na jego twarz, na te jasne, piękne oczy. Wyczuwa się natychmiast, że to prawy, dobry człowiek.

Pani Maria znowu spojrzała badawczo na Madzię. Nie powiedziała jednak ani słowa. Rozmawiały jeszcze dość długo o rozmaitych sprawach. Później, po serdecznym pożegnaniu, Madzia odjechała do domu.

Rodzina z niecierpliwością oczekiwała jej powrotu. Madzia musiała im opowiedzieć wszystko bardzo szczegółowo. Rodzice i bracia z podziwem oglądali cenny medalion.

- A gdyby to sprzedać — spytała nagle dziewczyna — czy to by wam pomogło?
- To twoja własność, Madziu, nie mówmy o tym — odparł jej starszy brat.

**77**

Mimo to cała rodzina nie mogła oderwać oczu od wspaniałego klejnotu, który przedstawiał wielką wartość pieniężną.

\* \*

\*

W niedzielę wszyscy krewni przybyli do Krumpendorfu, okazując Marii Hartau ogromną uprzejmość. Nikt nie ujawniał ukrytego żalu. Obecnie widzieli ją w innym świetle, niż dawniej. Każdemu zależało na tym, by zyskać jej przychylność.

Pani Maria przyjęła wszystkich bardzo życzliwie. Doskonały obiad i znakomite wina wprawiły biesiadników w dobry humor. Zapanował miły, wesoły nastrój. Pani Maria ukradkiem obserwowała swoich krewnych. Poza Madzią podobał się jej najbardziej Henio Stagemann.

Po obiedzie pani Maria zaproponowała krewnym, aby rozejrzeli się po domu i aby każdy wybrał sobie jakąś pamiątkę po Karolu von Schlettau. Przy tej sposobności mogła znowu ukradkiem obserwować krewnych i urobić sobie zdanie o każdym.

Tego dnia Maria poświęciła najwięcej czasu swoim dwom kuzynkom, starym pannom. Znała dawniej panny von Schlettau, kiedy były jeszcze młodymi i ładnymi dziewczętami. W sercu jej wzbudziło się ogromne współczucie dla tych zgorzkniałych zasuszonych istot, które nie zaznały nigdy w życiu odrobiny ciepła, miłości ani szczęścia. Nawiązała z nimi rozmowę i potrafiła znaleźć dostęp do tych biednych skostniałych serc. Kuzynki ożywiły się, poweselały, a nawet później opowiedziały Marii o swoim smutnym, szarym życiu.

Ale inni krewni także zaczęli się zwierzać Marii ze swoich trosk. Podbiła ich wszystkich swoją dobrocią i pogodą. Starła się nawiązać ze wszystkimi serdeczny kontakt. Mimo to nie zabrakło i przykrości. Przeżyła niejedną zawód, nieraz natknęła się na niewdzięczność. Nie przejmowała się tym jednak.

Henio Stagemann stał się gorącym wielbicielem cioci Maryni i okazywał jej najżywsze przywiązanie, podobnie jak Madzia.

Mijały tygodnie. Krewni często odwiedzali właścicielkę Krumpendorfu. Co drugą niedzielę pani Maria zapraszała całą rodzinę na obiad.

## 78

— Nie mogę ich zapraszać co tydzień — rzekła raz do Madzi — nie wytrzymałabym tego. Za bardzo mnie kochają. W te niedziele wolne od najazdu krewnych muszę odpoczywać. Będę wtedy zapraszała na obiad tylko ciebie, radcę Berna i wesołego Henia Stagemanna.

Tymczasem upłynęło już cztery tygodnie od śmierci Jerzego Raveneka. Radca Bern musiał otworzyć testament zmarłego i wypełnić zawarte w nim warunki. Od czasu owej pamiętnej rozmowy nie robił już Madzi żadnych aluzji, dziewczyna zaś starała się nie myśleć o jego przepowiedni. Maria Hartau natomiast domyśliła się ze słów radcy, że Jerzy Ravenek pozostawił jakiś legat dla Madzi. Toteż na razie nie zaofiarowała pomocy jej rodzicom.

Postanowiła natomiast płacić miesięcznie pewną sumę Heniowi Stagemannowi, aby mógł w spokoju ukończyć swoje studia medyczne. Chciała też pomóc córce Halma i wypłacać pannom von Schlet-tau.

Zaprosiła na święta Bożego Narodzenia całą rodzinę do Krum-pendorfu. Zamierzała na Gwiazdkę rozdać hojną ręką wspaniałe dary.

Na kilka dni przed świętami Madzia von Schlettau siedziała w małej bawialni rodzicielskiego domu i gorliwie haftowała. Starszy brat narysował jej na kawałku kolorowego jedwabiu śliczny wianek. Madzia pracowała pilnie, gdyż miała z tego powstać poduszka, przeznaczona dla cioci Maryni.

Przeciągała delikatne nitki przez jedwab, myśląc o cioci Marii. Obok w małej kuchence krzątała się pani majorowa. Pani Hartau przysłała jej przed świętami kosz masła, jaj i rozmaitych przypraw, toteż majorowa postanowiła upiec ciasto na gwiazdkę.

Braci nie było w domu. Ojciec czytał gazetę, studiując dział drobnych ogłoszeń w nadziei znalezienia jakiegoś zajęcia. Nagle w przedpokoju zadźwięczał dzwonek. Madzia pobiegła szybko, aby otworzyć drzwi. Spodziewała się, że powrócił któryś z braci. Jakież było jej zdumienie, gdy ujrzała w sieni radcę Berna.

— Pan radca? Czemu mamy do zawdzięczenia ten zaszczyt?

i — Przychodzę do pani w roli świętego Mikołaja — odparł radca z uśmiechem — Niech pani spojrzy na moją tekę. Mieści się w niej

## 79

wielka niespodzianka gwiazdkowa. Czy pani przypomina sobie moją przepowiednię? Przychodzę, aby dowieść, że nie jestem kłamcą.

Madzia spojrzała niemal z przestraszeniem na radcę. Poprosiła, aby wszedł do bawialni.

Major powitał uprzejmie radcę Berna. Po chwili nadeszła również majorowa. Była zarumieniona od gorąca w kuchni i wyglądała lepiej i ładniej, niż zazwyczaj.

Radca, uśmiechając się dobrodusznie, zasiadł wygodnie przy stole i położył przed sobą swoją teczkę.

— Moi państwo — powiedział — odwiedziny moje tyczą się właściwie panny Madzi. Proszę jednak, aby i państwo zechcieli

posłuchać, co mam do powiedzenia ich córce. Przybywam jako rzecznik i wykonawca testamentu pana Jerzego Raveńcka z Lindenhofu.

Madzia pobladła i drgnęła. Jej rodzice pochylili się nad stołem, jakby nie dowierzając własnym uszom. Wszyscy milczeli. Radca Bern ciągnął dalej:

— Pan Raveńck mianował uniwersalnym spadkobiercą swego bratanka, Jana Raveńcka. Uczynił to jednak pod pewnym warunkiem. Pan Jan Raveńck zostanie jego spadkobiercą, o ile w sześć miesięcy po otwarciu testamentu i poznaniu jego treści, ożeni się z panną Magdaleną von Schlettau. Ma się rozumieć tylko w tym wypadku, jeśli nie jest już żonaty lub zaręczony.

Postacią dziewczyny wstrząsnął dreszcz. Rodzice siedzieli w milczeniu zdumieni, oszłamieni. Szeroko otwartymi oczyma spoglądali na radcę Berna.

— Panie radco... Przecież to niemożliwe... przecież ja wcale nie znam tego Jana Raveńcka... Widziałam tylko jego fotografię z młodych lat... A on także mnie nie zna! — zawołała Madzia ogromnie wzburzona. Błada jej twarzyczka pokryła się ciemnym rumieńcem. Przypomniała sobie w tej chwili, z jakim upodobaniem wpatrywała się zawsze w oblicze Jana Raveńcka, ilekroć pokazywano jej jego fotografię.

Rodzice spojrzeli błagalnie na Madzię. Ojciec, starając się stłumić podniecenie, zawołał:

— Na miłość boską, opamiętaj się, Madziu... To wielki los. Nie

## 80

wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek trafi ci się takie nadzwyczajne szczęście!

— Madziu! Pomyśl o nas, pomyśl o twoich braciach! — powie działa matka, a w głosie jej brzmiała gorąca prośba.

Madzia znowu pobladła. Ogarnął ją dziwny niezrozumiały lęk. Serce jej biło pełne trwogi.

- Nie zapominajcie, drodzy rodzice, że to zależy nie tylko ode mnie. Jan Raveńck ma także prawo decydować w tej sprawie. Prawda, panie radco?
- Droga panno Madziu, zaskoczyłem panią tą nowiną, nic dziwnego, że to zbiło panią z tropu. Najlepiej będzie, jeżeli pani pozna w całości treść testamentu. Przeczytam go na głos, aby i rodzice pani mogli go usłyszeć.

- Tak, panie radco, to najważniejsze — zgodził się major, odkładając na pół wygasłą fajkę.

Radca Bern rozłożył na stole dokument i zaczął czytać:

*Posiadłość Lindenhof z inwentarzem żywym i martwym, cały mój kapitał gotówką — z wyjątkiem kilku legatów, wymienionych poniżej — zapisuję memu bratankowi Janowi Raveneckowi, synowi nie żyjących pułkownika Aleksandra Ravenecka i małżonki jego Heleny z domu Sartorius. Stawiam jednak warunek, aby Jan Raveneck w sześć miesięcy po ogłoszeniu testamentu ożenił się z panną Magdaleną von Schlettau, córką majora Ernesta von Schlettau i małżonki jego Marty z domu Thun. Pragnę jak najgoręcej, aby Magdalena von Schlettau została panią Lindenhofu, a to nie tylko dlatego, że ją sam serdecznie lubię i cenię, ale przede wszystkim z tej przyczyny, że mój syn Alfred kochał ją i zamierzał poślubić po powrocie z wojny. Gdyby Jan Raveneck był już żonaty lub zaręczony, a tym samym nie mógł dopełnić tego warunku, to będzie zobowiązany wypłacić panie Magdalenie von Schlettau połowę mego kapitału gotowizną oraz wręczyć jej klejnoty rodzinne, których dokładny spis załączam.*

*Ponieważ bratanek mój Jan Raveneck zaginął bez wieści, ponieważ może upłynąć dużo czasu zanim obejmie spadek — przeto zarządzam, aby w dniu otwarcia testamentu wypłacono*

**81**

6 — Skradzione życie

*pannie Magdalenie von Schlettau sumę stu tysięcy marek, o ile wymieniona oświadczy zgodę na małżeństwo z Janem Ravenec-kiem. Wiem, że zarówno ona jak i jej rodzina znajdują się w ciężkim położeniu i pragnę w ten sposób położyć temu kres. Suma powyższa stanowić ma jej własność, jeśli tylko dopełni warunków testamentu. Ponadto zostaje dla panny Magdaleny zdeponowana dalsza suma w wysokości stu tysięcy marek. Odsetki od tej kwoty przeznaczam dla niej na drobne wydatki. Nawet jeżeli zostanie żoną Jana Ravenecka wyżej wymieniona suma dwustu tysięcy marek ma pozostać jej własnością, aby nie była zawsze w zależności od męża. Gdyby Jan Raveneck nie mógł poślubić panny Magdaleny von Schlettau, to odliczy się kwotę powyższą przy podziale kapitału.*

*Gdyby Jan Raveneck w ciągu lat pięciu, licząc od dnia otwarcia testamentu, nie zgłosił się na ogłoszenia umieszczone w dwudziestu najpoczytniejszych pismach świata — albo też jeżeli nadejdzie wiadomość o jego śmierci, poświadczona przez kompetentne władze — wówczas prawa jego przejdą na pannę Magdalenę von Schlettau, która zostanie moją uniwersalną spadkobierczynią.*



Radca Bern skończył czytanie. Po chwili dodał: — A więc taka jest treść testamentu, moi państwo. Zawiera on, jeszcze kilka mało ważnych zarządzeń i legatów, które będziecie państwo mogli przejrzeć później. W związku z testamentem pragnę państwu przeczytać jeszcze list Jerzego Rave-necka, który otrzymałem w przeddzień jego śmierci. Wpadło mu na myśl — co prawda trochę za późno — że panna Madzia z jakiegokolwiek powodu nie zechce może poślubić Jana Rave-necka. Chciał więc na wszelki wypadek zabezpieczyć przyszłość panny Madzi i polecił mi sporządzić odnośny kodycył. Niestety, umarł nazajutrz i nie zdążył już wykonać swego zamiaru. Tym samym panna Madzia ma tylko wtedy prawo do spadku, jeśli zgodzi się poślubić Jana Rave-necka, o ile jest jeszcze wolny.

I radca Bern przeczytał obecnym list Jerzego Rave-necka. Skończywszy, podniósł wzrok na Madzię i rzekł do niej serdecznie:

— Ten list jak również i testament świadczą o tym, jak droga i bliska stała się pani panu Jerzemu. Przypuszczam, że pani serce jest jeszcze wolne. Sądzę, że Jan Rave-neck jest dobrym i porządnym człowiekiem. Dlatego spodziewam się, że pani wyrazi zgodę na warunek zawarty w testamencie. Wtedy otrzyma pani zaraz pieniądze i będzie pani mogła pomóc swej rodzinie.

Radca zamilkł.

Madzia siedziała blada i milcząca. Rozmyślała nad tym, czego się przed chwilą dowiedziała. Starła przypomnieć sobie twarz Janka Rave-necka, lecz to się jej nie udawało. Pamiętała tylko jego piękne wykrojone, energiczne usta i jasne, uśmiechnięte oczy. Pamiętała również list, który napisał do swej matki. Tkliwe, pełne miłości słowa tego listu napełniały duszę dziewczyny dziwną słodyczą.

Nie, to chyba nie tak trudno zostać żoną tak szlachetnego, dobrego człowieka!

Jerzy Rave-neck chciał, aby była szczęśliwa. Później dopiero przyszło mu na myśl, że może to małżeństwo nie będzie szczęściem. Ale te wątpliwości powstały zbyt późno...

Myślała też Madzia wiele o miłości Alfreda. Więc Alfred kochał ją, chciał ją poślubić, a ona nie wiedziała o tym. Nie mogła sobie wcale wyobrazić Alfreda jako swego męża. Prędeż już Jana Rave-necka... Nie, Alfred był za młody, trochę tylko starszy od niej samej. Był dobrym przyjacielem, znakomitym towarzyszem zabaw. Ach, ale nigdy nigdy nie wyszłaby za Alfreda.

A teraz ma zostać żoną Jana! A jeżeli nie jest wolny? Albo jeżeli nie zechce jej poślubić...? Oblała się gorącym rumieńcem. Ach, jakież to upokorzenie!

Pomyśleć tylko: ona oświadczy, że zgadza się na małżeństwo, a Jan Rave-neck odmówi...

Madzia wstała, wyprostowała się dumnie i już miała zamiar odpowiedzieć odmownie. Wtem oczy jej padły na rodziców. Poczwała nagle wielkie brzemie odpowiedzialności. Tak, przecież ona trzyma teraz w swoim ręku los rodziców i braci. Od niej wyłącznie zależy

ratunek. W jej mocy jest poprawa ich doli, zabezpieczenie bytu... Patrzą na nią tak błagalnie, z takim smutkiem... Czy wolno być taką

**83**

egoistką? Czy wolno myśleć o własnej zranionej dumie, gdy najbliżsi cierpią niedostatek?

Serce Madzi zadrżało.

Nie, nie powinna odrzucać tego jedyne go środka ocalenia.

Madzia ciężko westchnęła i drżącą ręką odgarnęła włosy z czoła. — Drogi panie radco! Ta nowina spadła na mnie tak nagle, tak niespodziewanie! Pojmuję, że mój stary, niezapomniany przyjaciel pragnął mi dać najwyższy dowód dobroci i życzliwości. Uważam również za wielki zaszczyt, iż Alfred pragnął abym została jego żoną, chociaż wydaje mi się to niepojęte... Alfreda uważałam zawsze tylko za dobrego kolegę, bawiliśmy się razem, będąc dziećmi... Nie domyślałam się jego uczuć... Tylko... widzi pan, to tak trudno zdecydować się na tak poważny krok... Jakże mam zgodzić się na małżeństwo z człowiekiem nieznanym? Na domiar wszystkiego nie wiem nawet, czy nie jest już żonaty...

Ostatnie słowa brzmiały jak okrzyk stłumionego bólu.

Rodzice zadrżeli z przerażenia.

— Madziu! To przecież byłoby tak wielkie szczęście! — zaczęła nalegać matka.

Ojciec milczał, lecz jego zatroskana, przedwcześnie zniszczona twarz wyrażała głębokie z wątpienie. Kąciki ust drgały ze wzburzenia. Radca wstał, podszedł do Madzi i ujął jej rękę.

— Rozumiem doskonale te wszystkie skrupuły, kochana panno Madziu! Żałuję też bardzo, że pan Raveneck nie zdążył dodać kody cyłu do swego testamentu. Pragnął on całym sercem, aby nie tylko jego bratanek ale i pani objęła po nim panowanie w Lindenhofie. Nie pomyślał o tym, że młoda dziewczyna może mieć zupełnie inne nastawienie do sprawy tego rodzaju. Trudno, stało się i musimy liczyć się teraz tylko z dokonanym faktem. Pan Raveneck był przekonany, że jego krewny jest człowiekiem wartościowym, który będzie dobrym mężem!

Madzia westchnęła.

— Jestem też przekonana, że to musi być porządny człowiek... Serce moje jest wolne. Ale... ale muszę być na to przygotowana, że Jan Rave-neck nie zechce mnie poślubić... A to takie upokarzające...

— Ależ droga panno Madziu, przecież w tym naprawdę nie ma

**84**

nic upokarzającego! Przecież tu chodzi tylko o to, by wypełnić warunki testamentu! O ile młody pan Rave-neck jest żonaty lub zaręczony, to nie będzie mógł zastosować się do zarządzeń stryja, to rzecz jasna! Będzie wtedy musiał oddać pani połowę majątku i cenne klejnoty rodzinne. Poza tym zachodzi też możliwość, że Jan Rave-neck nie żyje. A wówczas cały spadek przejdzie na panią. Przy tym stanie rzeczy nie ma się co zastanawiać. Przecież to dla pani i dla całej rodziny jedyna deska zbawienia! Nie należy zrzekać się takiej szansy! Niech pani stwierdzi, że pani się zgadza na warunki zawarte w testamencie. Otrzyma pani natychmiast sto tysięcy marek. Ojciec i bracia będą mogli stworzyć sobie za te pieniądze egzystencję. Od tych pieniędzy będzie pani dostawała procent. Poza tym otrzyma pani również odsetki od dalszych stu tysięcy marek. Pieniądze te są pewne, złożone w dobrych papierach wartościowych. Niech pani tego nie odrzuca.

Madzia przymknęła oczy. W ostatnich czasach cierpiała zbyt wiele, poznała nazbyt dobrze niedostatek, aby teraz móc z lekkim sercem odrzucić tę niespodziewaną pomoc. Nie chodziło o pomoc dla niej samej. Ona mogła przecież w każdej chwili otrzymać posadę u cici Maryni w Krumpendorfie. Ale co będzie z braćmi, z ojcem? Wystarczy jedno słowo, aby pomóc najdroższym! Nie, nie okaże się samolubną, nie odtrąci tej pomocy, która położy kres wszystkim troskom i kłopotom!

Siedziała w milczeniu, tocząc ze sobą ciężką walkę. Później bracia powrócili do domu i dowiedzieli się o wszystkim. Madzia obrzuciła spojrzeniem te dwie młode, strapione twarze. Ujrzała w ich oczach słaby promyk nadziei. Spostrzegła z jakim niepokojem spoglądają na nią...

Bracia nie prosili, nie nalegali, nie namawiali jej. Zacisnęli mocno usta, spuścili oczy. Zapewne nie mogli pojąć, dlaczego Madzia nie zgadza się od razu na tak wielkie szczęście.

Madzię wzruszyło właśnie najbardziej to milczenie braci i ojca. Miała zbyt miękkie serce, aby oprzeć się tej niemej prośbie. A przy tym była także zbyt młoda, zbyt niewinna, aby zrozumieć całą wagę, całe znaczenie małżeństwa. Zdawało się jej, że to wcale nie taka trudna rzecz zostać żoną człowieka, o którym zawsze słyszała

**85**

wiele dobrego i którego fotografia wywarła na niej tak głębokie wrażenie. Madzia odczuwała tylko jakiś podświadomy lęk przed czymś nieokreślonym, zagadkowym.

Podniosła oczy. Powoli przenosiła wzrok z ojca na braci, z braci na matkę. I nagle wstała, podeszła do matki i ujęła mocno jej ręce. Poczowała, że ręce matki drżą i są zimne jak lód. To napełniło ją od razu spokojem. Zdecydowała się.

— Zgodzę się mamó! Nie chcę być egoistką i myśleć wyłącznie o sobie! Tak, widzę sama, że otwiera się tu droga do ratunku dla was wszystkich. Mój zacny, niezapomniany przyjaciel wskazał mi tę drogę, pragnął, abym ją obrała. Uszanuję jego wolę, a Bóg dopomóż mi, bym nie uczyniła fałszywego kroku. Obym tylko nie zblądziła, obym mogła spełnić to wszystko, co przyrzeknę! Panie radco, zgadzam się poślubić Jana Raveneka, o ile jest jeszcze wolny. Chyba nie zrobię nic złego?

Madzia umilkła i osunęła się na krzesło. Cztery osoby odetchnęły z ulgą. Matka głośno załkała. Bracia w milczeniu uścisnęli ręce Madzi. Ojciec pieszczotliwie pogładził jej włosy.

Radca wyczuł, że obecność jego jest w tej chwili zbyteczna.

— Moi państwo — powiedział — odchodzę teraz, bo rozumiem, że pragniecie pozostać sami. Oto dwa czeki: jeden na sto tysięcy marek, drugi na pierwszą ratę kwartalną tytułem procentów od dalszych stu tysięcy. Poproszę, aby panna Madzia pokwitowała mi odbiór tych kwot. Poza tym zechce pani jeszcze podpisać ten dokument... Musi pani stwierdzić własnoręcznym podpisem, że pani zgadza się na warunki zawarte w testamencie. A może pani woli poczekać i namyślić się jeszcze?

Lecz Madzia pośpiesznie wzięła pióro do ręki. Obawiała się, że może po dłuższym namyśle zabraknie jej znowu siły na wyrażenie zgody. Prędko podpisała dokument i pokwitowanie.

Radca pożegnał Madzię serdecznym uściskiem dłoni. Cała rodzina dziękowała mu gorąco za jego trudy. Major odprowadził go do przedpokoju.

Gdy powrócił do bawialni, zastał Madzię stojącą wciąż jeszcze przy stole. Była bardzo blada i osłupiałym wzrokiem wpatrywała się w oba czeki. Odnosiła wrażenie, że się sprzedała. Całą

## 86

jej postacią wstrząsały dreszcze. Dopiero na widok ojca, odzyskała spokój.

— Oto są pieniądze, weź je tatusiu! Niedawno dopiero mówiłeś, że gdybyś miał do dyspozycji sto tysięcy, to mógłbyś z Adalbertem i Erykiem założyć jakieś przedsiębiorstwo. Daję wam na to sumę. Nie potrzebujecie mi na razie płacić odsetków, zapłacicie je później, gdy

będziecie mogli to uczynić bez uszczerbku dla was. Mnie wystarczą procenty od tych drugich stu tysięcy. Tatusiu, podejmiesz dla mnie także w banku pieniądze na mój czek. A teraz muszę przez chwilę pozostać sama. Chciałabym się trochę uspokoić i odzyskać równo wagę ducha. Zdaje się, że działałam nazbyt pośpiesznie, może nawet postąpiłam nieogłędnie. Ale trudno... nie mogłam postąpić inaczej.

\* \*

\*

Madzia zamknęła się w swoim pokoju. Usiadła na krześle i przycisnęła ręce do skroni. Ogarnął ją nagle okrutny lęk, doznawała uczucia, że uczyniła coś strasznego. Przedtem, gdy patrzyła na zatroskane twarze rodziców i braci, czuła jakiś przymus wewnętrzny, który skłonił ją do tego kroku. Działała niby we śnie, wbrew własnej woli. Uczyniła to, czego spodziewała się po niej rodzina. Obecnie dręczył ją szalony niepokój.

Zapragnęła nagle zobaczyć ciocię Marynię, pomówić z nią o tym wszystkim. Wiedziała, że wozy transportujące z Krumpendorfu mleko, powinny jeszcze być w mieście. Nieraz jeździła do Krumpendorfu takim wozem.

Ubrała się szybko i poszła do bawialni. Rodzice i bracia siedzieli jeszcze przy stole. Uradowani, pełni zapału układali gorliwie plany na przyszłość. Ach, dla nich przecież radca Bern stał się zwiastunem dobrej nowiny! Wraz z nim stanęło na progu domu szczęście!

Madzia powiedziała, że ma ból głowy i pragnie się przejść.

— Jeżeli zdążę złapać któryś z wozów, to pojedę może do Krumpendorfu. Chciałabym opowiedzieć o wszystkim cioci Maryni. Nie czekajcie na mnie z obiadem!

I zanim ktoś zdążył się temu sprzeciwić, Madzia szybko wybiegła z domu.

**87**

\* \*

\*

Ciocia Marynia ucieszyła się bardzo z odwiedzin Madzi. Przestraszyła się jednak widząc pobladłą twarz dziewczyny.

— Co się stało, moje dziecko?

Madzia z głośnym łkaniem rzuciła się w jej ramiona. Musiała się porządnie wyplakać, aby móc pozbyć się tego uczucia dławiącego lęku.

Łzy przyniosły jej ulgę. Uspokoila się i wówczas dopiero opowiedziała wszystko cioci Maryni. Pani Hartau wysłuchała w milczeniu opowiadania Madzi. Gdy dziewczyna zamilkła, powiedziała wreszcie do niej:

— Uspokój się, kochanie! Chwała Bogu, serce twoje jest wolne, nie kochasz nikogo. Czemu nie miałabyś pokochać Janka Raveneka? Nie widzę na razie powodu do rozpaczki. Poniosłaś ofiarę dla rodziców i braci, będą ci za to wdzięczni, a to samo powinno ci sprawić zadowolenie. Poczekajmy, aż Janek Ravenek powróci, zobaczymy, jak się później potoczą wypadki. Nie należy tracić otuchy, trzeba ufać Panu Bogu! Nie denerwuj się, moja kochana, co się stało, to się nie odstanie. Może właśnie to wszystko wyjdzie ci na dobre, może będziesz bardzo szczęśliwa!

Pani Maria chciała przede wszystkim, aby Madzia odzyskała spokój. Wyczuwała, że dziewczyna jest ogromnie wstrząśnięta i utraciła równowagę. W duchu ułożyła sobie już pewien plan. Pomyślała, że gdyby Madzia w najgorszym wypadku chciała się cofnąć, wówczas ona jej dopomoże. Wpłaci po prostu za Madzię pobrane kwoty i załatwi całą sprawę. Może Jan nie spodoba się Madzi, może okaże się, że nie będzie mogła zmusić się do zawarcia małżeństwa z nim. Wtedy uratuje Madzię. Pokochała całym sercem tę uroczą i dobrą dziewczynę. Nie miała chwili spokoju, wiedząc, że Madzia jest nieszczęśliwa.

Rozumiała doskonale nastrój Madzi. Poświęciła się dla rodziny, a teraz lękała się dalszych następstw tego kroku. Pani Maria starała się całą sprawę przedstawić w niewinnym świetle, aby uspokoić siostrzenicę.

## 88

Udało się jej to w zupełności. Dobrotliwe słowa ukoili wzburzony umysł Madzi. Ucałowała gorąco ciotkę.

- Ty moja najlepsza, kochana cioteczko! Powiedz mi, czy nie uczyniłam nic złego, czy postąpiłam właściwie, godząc się na małżeństwo z człowiekiem, którego wcale nie znam?
- Nie, moja maleńka Madziu! Nie postąpiłaś źle, bo nie wyrządziłaś tym nikomu krzywdy... najwyżej samej sobie! Miejmy jednak nadzieję, że tak nie będzie. Nie uwierzysz wcale jak mało jest kobiet, które przed ślubem dobrze znają swoich mężów. Większość wie o nich tyle mniej więcej, co ty o twoim przyszłym. Ty słyszałaś przynajmniej, że Jan Ravenek jest dobrym i szlachetnym człowiekiem. To już bardzo wiele! Spodziewajmy się, że wszystko skończy się jak najlepiej. Uspokój się, nie trać odwagi. Ciesz się myślą, że pomogłaś rodzinie. Pan Bóg dopomoże ci na pewno, nie bój się!
- Ach, ciociu, jak to dobrze, że mam ciebie! Teraz mi już o wiele lżej na sercu. Powrócę teraz do domu — uciekłam tak nagle, rzuciłam całą robotę i przyjechałam do ciebie.

- A kiedy przyjedziesz znowu?
- Chyba przed świętami już nie zdążę, tyle mam jeszcze pracy.
- A więc oczekuję cię na Wigilię!

Pokrzepiona na duchu, znacznie spokojniejsza powróciła Madzia do domu krumpendorfskim samochodem.

Ojciec z błyszczącymi oczyma wziął ją w objęcia i mocno przytulił do serca. Bracia starali się jej drobnymi przysługami okazać swoją wdzięczność. Matka przyniosła jej pierwszy kawałek świątecznego ciasta.

Madzię ogarnęło rozrzewnienie. Zrobiło się jej lekko, błogo na duszy. Zapomniała o lęku. Pomyślała, że przecież wszystko skończy się dobrze, musi się dobrze skończyć!

A gdy później zasiadła znowu w kąciku ze swoją robótką, zaczęła nagle myśleć o Janie Ravenecku. Starła się wyobrazić sobie, jak też może obecnie wyglądać Jan. W myśli stworzyła sobie idealny obraz swego przyszłego męża. Spłynęło na nią nagle uczucie dziwne, tkliwe a słodkie. Mimo woli rozmarzyła się... Jakie to dziwne... Zareczyła się dziś... Zareczyła się z nieznanym człowiekiem... Wyjdzie za niego, o ile nie jest związany z inną...

## 89

Co by też powiedziała jego matka? Madzia uśmiechnęła się. Była pewna, że pani Lena pobłogosławiłaby ten związek; kochała ją bardzo i zawsze mawiała, że marzy o takiej córeczce jak Madzia. Ach, ten pocziwy, zacny Jerzy Raveneck! Pomyślał o jej przyszłości, pragnął, aby ona została panią Lindenhofu!

\*

W kilka dni po Nowym Roku radca Bern zjawił się ponownie w mieszkaniu państwa von Schlettau. Widział się poprzednio z Madzią w Krumpendorfie podczas świąt Bożego Narodzenia oraz na wieczorze sylwestrowym. Świąteczne dni spędził u Marii Hartau wraz z całą rodziną. Wśród krewnych panował teraz inny ton, zapomniano o dawnych nieprzyjaznych stosunkach. Radca Bern serdecznie wieszował pani Marii postępów „w uszlachetnieniu miłej rodzinki”.

Maria Hartau szczerą dłonią rozdała dary swoim krewnym. Dzięki niej wyzbyli się wszystkich najcięższych trosk i kłopotów. Okazywali jej też szczerą wdzięczność, co uważała za najmiłą nagrodę.

Po przybyciu do państwa von Schlettau, radca Bern pokazał Madzi depezę otrzymaną od Norberta Greinsberga, a podpisaną „Jan Raveneck”.

— Nasze ogłoszenia odniosły szybko pożądany skutek. Jednocześnie prawie otrzymałem depeszę z Hongkongu, która jednak była już zbyt późna, wobec tego, że nadeszła wiadomość od pana Ravenec-ka. Z Hongkongu doniesiono mi, że przebywał tam aż do wybuchu wojny. Dalej donoszą: „Od początku wojny prawdopodobnie internowany w Tsingtao”. Wobec tego jednak, że Jan Ravenec zgłosił się z Buenos Aires, sądzę, że nie został internowany. Może udało mu się w jakiś sposób zbiec. Mniejsza o to! Dalsze dochodzenia stały się zbędne! Kazałem już przekazać mu telegraficznie pieniądze na podróż.

Serce Madzi głośno zabiło. Dotychczas Jan Ravenec był dla niej legendarną postacią. Teraz miał się zjawić naprawdę. Znowu ogarnął

**90**

ją ciężki, przytłaczający serce lęk. Czy też będzie mogła wypełnić swoje zobowiązanie? Czuła się jakby spętana, uwięziona. Najchętniej byłaby uciekła, skryła się do jakiegoś ciemnego kąta!

Tymczasem major przeczytał również depeszę i rzekł po chwili:

— Zapewne Jan Ravenec nie musi być bogaty, skoro prosi o pieniądze na podróż!

■ L — I ja tak sądzę! — odparł radca Bern. — Kazałem przekazać pieniądze do jednego z tamtejszych banków, a jednocześnie zawiadomiłem o przekazie Jana Raveneca.

Słusznie pan uczynił. Inaczej ktoś niepowołany mógłby podnieść tę kwotę.

— Zainteresowałem się także rozkładem jazdy. Według moich obliczeń Jan Ravenec może być już tutaj w połowie lutego.

Madzia pobladła i zacisnęła kurczowo dłonie. Ogarnął ją dziwny nastrój. Myślała o pięknych, szczerych oczach Jana Raveneca, o ostatnim liście, jaki napisał do matki. Wtedy budziło się w jej duszy radosne oczekiwanie. Sądziła, że nietrudno będzie zostać żoną tego człowieka.

Później pojawiły się wątpliwości, strach przed niepewnością. A może w ciągu tych długich lat Jan zmienił się na niekorzyść? A może okaże się, że jest żonaty? A może poczuje do niej wstręt i nie zechce się ożenić? Albo też ożeni się tylko dlatego, by nie stracić spadku?

Tego upokorzenia Madzia lękała się najbardziej.

W każdym razie położenie dziewczyny było godne pożałowania. Nie zwierzyła się jednak nikomu ze swoich trosk i wątpliwości. Nikomu, nawet cioci Maryni! Chciała być mężną i wytrwać do końca.



Niby przez sen słuchała teraz rozmowy ojca z radcą Bernem. Major opowiadał o przedsiębiorstwie, do którego miał przystąpić wkrótce wraz ze swymi synami. Niedawno umarł w mieście właściciel dużych zakładów graficznych. Spadkobiercy chcieli sprzedać zakład za sto tysięcy marek. Ponieważ major i jego synowie mieli wielkie zdolności do rysunków, więc ten rodzaj pracy wydawał im się bardzo odpowiedni. Bywali już teraz codziennie w zakładzie, aby zaznajomić się dokładnie z warunkami pracy.

## 91

Madzia cieszyła się z tego bardzo, bo ojciec i bracia w ostatnich czasach odżyli. Wzruszali ją ciągłymi dowodami bezgranicznej wdzięczności. Matka również zmieniała się bardzo, starała się wyczytać z oczu córki każde życzenie.

Madzia nie mogła jednak mówić ze swymi najbliższymi o swych troskach i lęku. Wiedziała, że jej nie zrozumieją.

Radca Bern pożegnał się i wyszedł. W kilka chwil później stanęło przed domem auto z Krumpendorfu. To ciocia Marynia stęskniła się za Madzią i przysłała po nią. Dziewczyna przebrała się szybko i pojechała do Krumpendorfu.

Została tam Henia Stagemanna. Odkąd ciocia Marynia wyznaczyła mu pensję na ukończenie studiów, był w jeszcze lepszym humorze niż zazwyczaj.

— Kiedy wyjeżdżasz, Heniu? — zapytała Madzia.

- Jutro. Przybyłem, aby się pożegnać z ciocią Marynią. Powrócę na ferie wielkanocne. Ciekawe, czy będziesz już wtedy mężatką?
- Co znowu, Heniu! Przecież nie wiadomo wcale, czy Jan Rave-neck nie ma żony. Poza tym zgłosił się telegraficznie do radcy Berna.

— I teraz dopiero mówisz mi o tym! — zawołała pani Maria.

— Bo Henio nie dał mi dojść do słowa. Tak, zgłosił się z Buenos Aires. Prosił o pieniądze na podróż.

— Taka podróż kosztuje moc forsy — zauważył Henio.

- Widać, że nie zebrał majątku — rzekła w zadumie pani Maria.
- Radca Bern otrzymał jednocześnie wiadomość z Hongkongu. Przebywał tam do wybuchu wojny. Radca przypuszcza, że udało mu się uciec i uniknąć internowania w obozie dla jeńców wojennych.
- Na pewno pojechał neutralnym statkiem do Ameryki Południowej i tym spędził lata wojny. Bardzo mądrze zrobił. Teraz przyjedzie z Buenos Aires do Niemiec, słowem zrobił podróż naokoło świata. Zazdroszczę temu człowiekowi. Będzie miał moc ciekawych rzeczy do opowiadania. Madziu, nie znudzisz się przynajmniej z twoim przyszłym małżonkiem.

Madzia westchnęła.

— Ach, ciociu, teraz ta sprawa zaczyna się na serio. Rad-

**92**

ca przypuszcza, że pan Raveneck przybędzie do kraju w połowie lutego.

- Będziesz więc mogła prędko wyprawić wesele, o ile pan Rave-neck jest wolny. Tylko proszę cię, nie wychodź za mąż beze mnie!
- Ależ Heniu, mamy jeszcze sześć miesięcy przed sobą. Mnie się naprawdę nie śpieszy.

— Wszystkie dziewczęta mówią to przed ślubem.

- Nie bądź taki przemądrzały! Wcale nie czuję weselnego nastroju. Doznaję wrażenia, że mnie sprzedano! — powiedziała Madzia w podnieceniu.
- Ależ, Madziu, nie bądź głupia! Przecież jesteś taką rozsądną dziewczyną! Zobaczysz, że Jan Raveneck będzie miłym chłopcem i zakochasz się w nim po uszy. Trzeba tylko chcieć!

— Zdaje się, że masz w tych sprawach wielkie doświadczenie!

— Ojej! Jeszcze jakie! Potrafię się gorąco zakochać w trzech kobietach na raz! Ale jak!

Madzia nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Henio potrafił swoimi żartami rozproszyć jej niepokój. Postanowiła nie upadać na duchu. Trzeba odważnie patrzeć w przyszłość!

Ciocia Marynia także dodała jej otuchy. Dziewczyna zupełnie pocieszona powróciła z Heniem do miasta.

Henio po drodze tak dokazywał, że Madzia nie miała czasu na smutne rozmyślenia. Pożegnali się bardzo serdecznie, a Henio oświadczył na końcu:

— Wiesz, Madziu, jeżeli Jan Raveneck nie będzie dla ciebie do bry, to mu porządnie wyłożę skórę!

\* \*

\*

W Lindenhofie czyniono przygotowania na przyjęcie nowego dziedzica. Zawiadomił on telegraficznie radcę Berna, że przybędzie dwudziestego piątego lutego.

Radca Bern zjawił się już poprzedniego dnia w Lindenhofie, aby wszystkiego dopilnować i omówić niektóre sprawy z administratorem.

**93**

Radca zawiadomił Madzię o dniu przyjazdu rzekomego Jana Ravenecka. Powiedział, że najpierw da testament do przeczytania spadkobiercy, a potem przedstawi Madzi Jana Ravenecka. Ponieważ szczupłe mieszkanko majora było nieodpowiednie, przeto pani Maria zaproponowała, by młodzi ludzie poznali się w Krumpendorfie. Uznano, że będzie najlepiej spotkać się po raz pierwszy na neutralnym gruncie.

Madzia cieszyła się z tej propozycji. Zdawało jej się, że to pierwsze spotkanie z Janem Raveneckem przejdzie łatwiej, gdy ciocia Marynia będzie obecna.

Dwudziestego piątego lutego przybył do Lindenhofu fałszywy Jan Raveneck. Radca Bern, administrator i gospodyni czekali na niego przed portalem. Oficjaliści i służba w odświętnych ubiorach ustawili się przy wejściu do domu.

Norbert Greinsberg z udaną pewnością siebie wyskoczył z samochodu. Miał na sobie dobrze skrojony, elegancki ubiór podróżny. Łaskawie skinął głową na powitanie ludziom, którzy go oczekiwali przed gankiem, po czym wszedł na szerokie schody z piaskowca.

Radca zbliżył się do niego.

— Pozwoli pan, że powitam go w imieniu całego zebranego tu personelu. Cieszymy się wszyscy, że widzimy pana u nas w dobrym zdrowiu.

Norbert musnął ręką krótkie wąsiki, które ostatnio zapuścił. Ucisnął serdecznie rękę radcy.

— Dziękuję panu bardzo, drogi panie radco!

— Jeżeli pan nie jest zbyt zmęczony podróżą, to chciałbym z panem zaraz omówić kilka ważnych spraw. Przede wszystkim pragnę, aby poznał pan warunki, które powinien pan spełnić, stosownie do ostatniej woli pańskiego stryja.

Norbert Greinsberg stropił się nieco, rzekł jednak tonem uprzedzająco grzecznym, który stosował zawsze, gdy mu na tym zależało:

— Proszę dysponować moją osobą, panie radco! Nie jestem bynajmniej zmęczony i chciałbym, aby pan poinformował mnie o wszystkim.

— Może przejdziemy do gabinetu pańskiego stryja?

— Dobrze, panie radco. Proszę mi tylko wskazać drogę, bo już dobrze nie pamiętam rozkładu mieszkania.

— O, nic się nie zmieniło, zapewne wkrótce będzie się pan zno wu doskonale orientował — odparł radca, nie podejrzewając nic złego.

Panowie weszli do gabinetu i zajęli miejsca przy dużym okrągłym stole.

- Dla porządku poproszę pana o pokazanie mi swoich dokumentów — zagaił radca rozmowę — a to dlatego, że ja osobiście nie mam przyjemności znać pana, a nie ma tu nikogo, kto by pana poznał. Zwłaszcza, że przez tyle lat nie było pana w kraju i że w ciągu tego czasu musiał się pan trochę zmienić...
- Naturalnie, panie radco, natychmiast przedstawię panu wszystkie papiery. Zmieniłem się, to rzecz jasna. Wyjechałem przecież jako młodzieniec, a powracam jako człowiek dojrzały.
- Zapewne! Szkoda, że nie zastał pan już swojej matki przy życiu. Ona mimo wszelkich zmian byłaby niezawodnie poznała pana.

Norbert Greinsberg okazał radcy wszystkie papiery, które właściwie należały do Jana Ravenecka. Gdy radca wspominał o matce, Norbert głośno westchnął. Radca stwierdził, że dokumenty są w porządku, po czym powiedział:

- Z pańskiego paszportu wynika, że pan jest jeszcze kawalerem.
  - Tak jest, panie radco.
  - Teraz muszę jeszcze wiedzieć, czy pan nie jest zaręczony?
  - Nie, nie jestem — odparł ze zdziwieniem Norbert.
- Przepraszam za tę niedyskrecję — rzekł z uśmiechem radca — ale jestem z urzędu upoważniony do zadania tych pytań. Ponieważ nie ma pan ani żony ani też narzeczonej, przeto testament pańskiego stryja zobowiązuje pana do zawarcia związku małżeńskiego z pewną panienką. Jeżeli pan pozwoli, to przeczytam panu cały testament.
  - Proszę bardzo — odparł Norbert, lekko zaniepokojony. Radca zaczął czytać. Norbert słuchał uważnie, rozglądając się jednocześnie po pięknie i wytwornie urządzonej pokój. Wszystko, co dotychczas zdążył zobaczyć w Lindenhofie, świadczyło o wielkim bogactwie.

Na biurku zmarłego właściciela spostrzegł Norbert trzy fotografie w ramkach. Pośrodku stała podobizna młodego oficera w szarym,

polowym mundurze, na prawo fotografia starszego oficera, zapewne pułkownika — wreszcie na lewo fotografia jakiejś starszej pani.

Norbert Greinsberg domyślił się, że fotografia stojąca pośrodku przedstawia poległego syna Jerzego Ravenecka. Starszy oficer — to zapewne pułkownik Aleksander Raveneck. Wobec tego ta trzecia fotografia — to chyba fotografia matki Jana Ravenecka. Czy to jednak rzecz pewna? Należy zachować wielką ostrożność i wybadać dokładnie te sprawy.

W tej chwili interesowała go najbardziej treść testamentu. Dowiedział się, że ma poślubić pewną panią, z którą zamierzał się ożenić Alfred Raveneck. A zatem musi być chyba ładna — pomyślał Norbert. Mniejsza o to! Niech będzie najbrzydsza — jego nie odstraszy ten warunek. Ożeni się z tą Magdaleną von Schlettau, choćby miała wyglądać jak strach na wróble. Ma się rozumieć, nie jest głupi i nie wypowie tego co myśli o tej sprawie.

Gdy radca Bern skończył czytanie, Norbert pochylił głowę, mówiąc:

- Dziękuję panu, panie radco. Przepraszam też z góry, że wypowiem pewną prośbę. Oto chciałbym najpierw poznać tę pannę, którą stryj przeznaczył mi na żonę. Wprawdzie jestem wolny, lecz wolałbym wiedzieć, jaka jest kobieta, z którą mam się związać na całe życie.
- To zupełnie zrozumiałe życzenie. Urządziłem to w ten sposób, że pozna pan tę panią w Krumpendorfie u jej ciotki — a więc na neutralnym gruncie.
- Ach, to bardzo uprzejmie z pańskiej strony! A więc poznam ją w Krumpendorfie... Gdzie to właściwie jest?

Radca spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Czyżby pan zapomniał, że Krumpendorf to majątek, położony w najbliższym sąsiedztwie Lindenhofu? Przecież pan dawniej, jako uczeń, odwiedzał nieraz ówczesnego właściciela, pana Karola von Schlettau!

Norbert przygryzł wargi. Potem stuknął palcem w czoło i zawołał:

— Ach, prawda! Majątek pana von Schlettau! Zapomniałem tylko nazwy. Powiada pan „ówczesnego właściciela"! Czy Krumpendorf należy teraz do kogo innego?

## 96

- Karol von Schlettau umarł w dwa dni po pańskim stryju. Był on kawalerem i cały majątek zapisał swej kuzynce, pani Marii Hartau.
- Pan von Schlettau nie żyje! O, jakie to smutne! Zdaje mi się, że nie zastałem przy życiu nikogo z dawnych znajomych!
- Słusznie! Tyle lat przebywał pan poza granicami kraju, że wszyscy krewni i znajomi w ciągu tego czasu poumierali. Najpierw poległ pański ojciec, później

kuzyn Alfred... Wiadomość o jego śmierci przyprawiła o śmierć pańską matkę, a zapewne także i stryja... Umarł w kilka tygodni po zgonie syna...

Norbert był bardzo zadowolony z tych wiadomości. Udawał, że go to wszystko ogromnie wzruszyło.

Później spojrzął na fotografię starszej pani.

- Tak, tak panie radco... Utraciłem wszystkich najbliższych... Najbardziej zmartwiłem się śmiercią matki. Tęskniłem za nią tak bardzo...
- Pojmuję to w pełni. Ta fotografia — to ostatnie zdjęcie pańskiej matki:

Norbert Greinsberg upewnił się zatem, że to fotografia matki Jana Ravebecką. Radca musiał zauważyć spojrzenie, jakim obrzucił ten portret. Norbert wstał i wziął fotografię do ręki.

— Moja biedna, ukochana matka!

— Nie traciła nadziei, że zobaczy pana. W Krumpendorfie do wie się pan wielu szczegółów z jej życia. Pani Hartau była jej przyjaciółką, matka spędziła u niej w zeszłym roku kilka tygodni. Matkę pańską łączyła serdeczna sympatia z panną von Schlettau. Panna Madzia pielęgnowała pańską matkę, jak kochająca córka. Od tych pań usłyszy pan z jaką miłością matka myślała o panu.

Norbert Greinsberg odstawił fotografię, po czym podszedł do okna. Udawał rozrzewnionego. Chciał pokazać radcy, że musi pokonać głębokie wzruszenie. W rzeczywistości wyglądał przez okno i patrzył na wspaniały park. Radca, pragnąc uszanować ten rzekomy ból, milczał. Wreszcie Norbert zwrócił się do niego.

— Będę panu bardzo wdzięczny, gdy pan mnie przedstawi panie von Schlettau. Ta pani pielęgnowała moją matkę, tym samym wydaje mi się jakby bliższa. Mam nadzieję, że mi się spodoba, gdyż zależy mi bardzo na tym, aby spełnić życzenie mego drogiego stryja.

**97**

7 — Skradzione życie

Rozumiem, że pragnął, aby ta pani została wespół ze mną właścicielką Lindenhofu. Postaram się uszanować jego wolę.

Radca skłonił się w milczeniu. Ku swemu wielkiemu żalowi musiał przyznać w głębi duszy, że Jan Ravebeck nie uczynił na nim dodatniego wrażenia. Był przystojny, elegancki, miał bardzo miłe obejście, a jednak było w jego zachowaniu coś

nieokreślonego — czym uraził starego radcę. Bern zastanawiał się nad tym, czy Rave-neck spodoba się Madzi. Może pociągnie ją jego miła powierzchowność, kto wie... Dałby Bóg, żeby się tak stało. Cóż, mężczyźni tego rodzaju podobają się zazwyczaj młodym niedoświadczonym dziewczętom! Jest elegancki, przystojny, a jednak... Oczy tego Rave-necka nie podobały się radcy Bemowi. Były chłodne, unikały cudzego spojrzenia... Niekiedy rozpałał się w nich niespokojny płomień...

— Trudno — myślał radca — mnie nie potrzebuje się podobać, oby tylko pozyskał sympatię Madzi von Schlettau. To najważniejsze!

Po chwili radca pożegnał Norberta, który odprowadził go do hallu. W tej chwili zjawił się na progu jakiś stary, siwy jak gołąb służący. Podszedł do Norberta i oznajmił drżącym głosem:

- Panicz, przygotowałem już wszystko. Panicz może się przebrać. Norbert spojrzał na niego chłodno.
- Dobrze, przyjdę za chwilę.

Staruszek skłonił się, jakby trochę zawiedziony. Zmierzył nowego pana zdziwionym spojrzeniem, potem odszedł. Jednakże stojąc na schodach, odwrócił się raz jeszcze i z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— Stary Jan prosił specjalnie jak o łaskę, aby mógł panu służyć. Jest to jedyny służący, który pamięta pana z dawnych czasów. Norbert spojrzał niepewnie na starego Jana.

- Więc to był Jan? Zmienił się ogromnie, wcale go nie poznałem. On pewno także nie poznał mnie w pierwszej chwili. Mój Boże, tyle lat... To nie przechodzi bez śladu... Zdaje mi się jednak, że Jan jest niedołążny, służba u mnie zmęczy go bardzo. Muszę mieć młodszego służącego.
- To już zależy od pana. Ja nie potrafiłem odmówić staruszkowi. Wiem tylko, że pan Jerzy chwalił zawsze jego wierność. Jan trzyma się dość krzepko i jest doskonale wyszkolony.

**98**

— Ano, zobaczymy, jak się spisze!

Panowie pożegnali się. Wkrótce radca odjechał, a Norbert udał się do swoich apartamentów. Zastał tam starego Jana. Poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

— Nie poznałem Jana przedtem. Jan bardzo się zmienił!

- Ja także nie poznałem wielmożnego pana. Nigdy bym nie uwierzył, że to panicz Janek, gdyby mi tego nie powiedziano. Stary jestem, oczy mam słabe i dlatego nie widzę jakoś w wielmożnym panu nic znajomego.

- Tak, tak, Janie! Czas leci, ludzie zmieniają się. No, poznamy się na nowo! Zdaje mi się jednak, że służba u mnie będzie dla Jana zbyt uciążliwa. Jan powinien mieć jakąś lżejszą pracę.

Służący obrzucił go niespokojnym, badawczym spojrzeniem.

— Jak wielmożny pan każe!

Norbert przebrał się przy pomocy starego służącego. Wśród tego żartował z nim po przyjacielsku, lecz stary Jan pozostał poważny i milczał. A gdy wreszcie wyszedł na korytarz, przystanął, potrząsnął głową i szepnął do siebie:

— Zmienił mu się nawet głos! Nic nie pozostało z dawnego panicza Janka, nic a nic... Powrócił do domu jak obcy, zupełnie obcy...

Pamięć jego pracowała usilnie. Nie mógł pojąć dlaczego jego nowy pan wydaje mu się obcy i odmieniony. Lecz i stary sługa nie podejrzewał, że to naprawdę obcy człowiek, który odgrywa w Lin-denhofie rolę Jana Ravebecka.

\* \*

\*

Norbert Greinsberg przekonał się, że ze strony najbliższego otoczenia nie grozi mu wcale niebezpieczeństwo. Nie obawiał się starego służącego — z nim poradzi sobie na pewno.

Nazajutrz ubrał się starannie. Za chwilę miał po niego przybyć radca.

Radca Bern zawiadomił już Madzię i jej rodziców, że nazajutrz o jedenastej przybędzie z Janem Ravebeckem do Krum-

7\*

99

pendorfu. Powiedział im też, iż Jan nie jest ani żonaty, ani zaręczony.

Błada i drżąca stała Madzia obok cioci Maryni. Po chwili zjawił się radca z Norbertem Greinsbergiem. Madzia ujrzała wysokiego, eleganckiego mężczyznę. Oczy jej przesłoniła mgła. Potem usłyszała nagle głos radcy:

— Pan Jan Ravebeck, panna Magdalena von Schlettau.

Ciemna męska głowa pochyliła się przed nią w ukłon. Szare

oczy spojrzały na nią, spojrzały badawczo, a zarazem pożądliwie. Norbert patrzył na nią w ten sposób, jakby oceniał jej wdzięki.



Madzię przeszedł zimny dreszcz. Odczuła spojrzenie Norberta jak hańbę, jak poniżenie. Ogarnęło ją przerażenie. Całą siłą woli musiała panować nad sobą, aby nie uciec... Nie! Nie! Nie! Nigdy nie pokocha tego człowieka, pojęła to od razu, w pierwszej chwili. Nadaremnie szukała w jego twarzy szlachetnych dumnych rysów młodzieńca, którego fotografia niegdyś tak bardzo jej się podobała. Spodziewała się, że znajdzie w tym człowieku coś z dawnego młodzieńca. Wtedy ofiara wydawałaby się lżejsza do zniesienia. Ale w tej przystojnej twarzy nie było ani jednego rysu, który przemówiłby do jej serca.

O mało nie krzyknęła ze wstrętu i zgrozy. Ach, ona przecież nie może należeć do niego! To niemożliwe, niemożliwe! A jednak jakiś głos wewnętrzny mówił:

— Musisz to zrobić, musisz! Zobowiązałaś się swoim podpisem! Przyjęłaś pieniądze, zaprzedałaś się! Jesteś związana, krępują cię pęta, które ciążą niby łańcuchy!

Madzia modliła się w duchu, aby Jan Raveneck poczuł do niej równie głęboką antypatię jak ona do niego. Ach, gdyby odmówił, gdyby nie chciał się z nią ożenić...

Ujęła kurczowo rękę cioci Maryni. Pani Hartau poczuła, że ręka Madzi jest zimna jak lód i drży.

Norbert Greinsberg natomiast wpatrywał się płonącymi oczyma w wiotką, czarującą postać. Był zachwycony, że właśnie tę piękną dziewczynę przeznaczono mu za żonę. Nieczysty, pożądliwy ogień zamigotał w jego źrenicach. O nie, on nie miał nic przeciwko temu małżeństwu!

Zamieniono kilka zdawkowych uprzejmych zdań. Potem Norbert

100

ruszył wprost do celu; zbliżył się uprzejmie do majora i rzekł z głębokim ukłonem:

— Panie majorze, wiem, że pan zna treść testamentu mego stryja. Uważam to za wielki zaszczyt, iż stryj przeznaczył mi pańską córkę jako towarzyszkę życia. Nie tylko chcę uszanowania woli zmarłego, ale również świadomość, iż córka pańska jest kobietą godną najwyższego uwielbienia, skłaniają mnie do prośby o jej rękę. Spodziewam się, iż uda mi się pozyskać zgodę i miłość panny Magdaleny. Szczęście jej stanie się moim najgorętszym pragnieniem i jedynym celem.

Madzia na pół omdlała oparła się o ramię cioci Maryni. Pani Hartau nie spuszczała swoich bystrych, mądrych oczu z młodego człowieka. Nie podobała się jej ani uprzejmość, ani gładkie, ujmujące obejście, ani jego przemowa, która brzmiała tak, jakby się jej nauczył na pamięć. Nie wiedziała, czemu rzekomy Jan Raveneck wydaje się jej sztuczny i nieszczerzy. Podświadomie wyczuwała jednak, że jej sąd o nim jest trafny.

Major natomiast z wielką radością przyjął oświadczyni, a jego żona uroniła kilka łez ze wzruszenia. Norbert Greinsberg zbliżył się do Madzi.

— Droga panno Magdaleno! Czy mogę mieć nadzieję, że pani z niezbyt wielką niechęcią odda mi swoją rączkę na całe życie? Czy zgodzi się pani na nasze małżeństwo?

Znowu wstrząsnął nią dreszcz.

- Tak... ja... spróbuję... proszę tylko o pewną zwłokę... — wyjąkała. W tej chwili wzrok jej padł na ojca. Na twarzy majora malował się przestach. Madzia opanowała się i dodała na pozór spokojnie:
- Tak, przecież zgodziłam się już. Chciałabym jedynie, byśmy się trochę lepiej poznali.

Norbert skłonił się, spoglądając płonącymi oczyma na jej słodką twarzyczkę. Zbudziło się w nim szalone pragnienie posiadania tej dziewczyny. W duszy jego zapłonęła dzika nieczysta namiętność. Nie spodziewał się, że spotka go kiedykolwiek tak wielkie szczęście. Bogate dziedzictwa i ta urocza dziewczyna miały się stać jego własnością! Wahanie Madzi uważał za dziewczęcą nieśmiałość, która

101

zachwycała go i podniecała jeszcze płomień jego żądz. Ucałował dłoń Madzi i rzekł:

— Życzenia pani będę zawsze uważał za rozkazy! Nie będę nalegał, bo na razie jestem dla pani obcy. Niech pani najpierw pozna mnie lepiej, zanim upomnę się o moje narzeczeńskie prawa. Nie śmiem spodziewać się, że pani od razu odczuje dla mnie to, co ja odczułem na widok pani. Postaram się pozyskać sobie sympatię, pani. Stosownie do zarządzeń zawartych w testamencie ślub nasz ma odbyć się dopiero za sześć miesięcy. Jestem pewien, że wszystko ułoży się jak najlepiej przy odrobinie dobrej woli!

Madzia odetchnęła z ulgą. Była mu wdzięczna, że zgodził się na zwłokę. Może po pewnym czasie przyzwyczai się do niego, może pokona tę odrazę. Może odkryje w nim jakieś zalety, może go polubi. Madzia westchnęła i szepnęła z bladym uśmiechem:

— Dziękuję panu za tyle względów! Mnie na pewno nie zabraknie dobrej woli!

Podawała mu rękę, którą podniósł do ust, rzucając przy tym Madzi znaczące spojrzenie. Madzia zauważyła, że jej narzeczony ma na prawej ręce szeroką bliznę. Stwierdziła również, iż ma brzydkie ręce.

— Nieszlachetne ręce! — pomyślała.

Rodzice Madzi odetchnęli z ulgą i zaczęli wypytywać Norberta o jego podróż. Maria Hartau wmieszała się do rozmowy:

- Szkoda, że matka nie doczekała pańskiego powrotu. Biedaczka, tęskniła tak bardzo za synem!
- Moja biedna, nieszczęśliwa matka. Słyszałem od pana radcy, że zaznała wiele dobrego od pani i od panny Magdaleny! Jestem paniom bardzo zobowiązany! — odpowiedział Norbert z ciężkim westchnieniem. Nie chciał jednak mówić więcej na ten niebezpieczny dla niego temat. Toteż w chwilę później zaczął opowiadać o swojej podróży, opisując dowcipnie niektóre zabawne przygody.

Maria Hartau stwierdziła w duchu, że jego żal po stracie matki sprawia trochę teatralne wrażenie. Dziwiło ją również, iż młody człowiek tak szybko zmienił temat rozmowy.

— Biedna Leno! — pomyślała — Twój syn nie kochał cię tak, jak na to zasługiwałaś! Widocznie odziedziczył oschłe, chłodne uspo sobienie ojca!

102

W sercu pani Marii zbudziła się troska o przyszłość Madzi. Czyżby i ją miał czekać taki los, jaki spotkał Lenę Raveneck?

W każdym razie Norbert nie wywarł na niej dodatniego wrażenia. Co się tyczy radcy Berna, to Norbert wydawał mu się coraz bardziej niesympatyczny. Jedynie rodzice Madzi byli zadowoleni z przyszłego zięcia.

\*

Upłynęło kilka miesięcy.

Norbert Greinsberg oswoił się zupełnie z nową sytuacją, czuł się panem Lindenhofu i używał swego majątku. Pracę pozostawiał administratorowi, który na szczęście był dzielny i solidny człowiekiem. Norbert jeździł wiele konno, robił dalekie wycieczki samochodem i starał się prowadzić urozmaicone życie.

Prędko znalazł w pobliskim mieście grono pokrewnych dusz. Zapisał się do klubu, do którego należała cała złota młodzież. Spraszał sobie gości do Lindenhofu. Wtedy to bawiono się do białego rana.

Swojej „narzeczonej” posyłał codziennie kwiaty i słodycze, starając się usilnie o jej względy. Chłód Madzi podniecał go do szaleństwa. Niecierpliwość Norberta wzmagala się z dnia na dzień. Pragnął nareszcie korzystać ze swoich narzeczeńskich praw.

Z rodzicami i braćmi Madzi żył bardzo dobrze. Zwłaszcza majorowa była nim zachwycona i wynosiła go pod niebiosa. Major i jego synowie pracowali w swoim przedsiębiorstwie, które doskonale prosperowało. Nikt nie spostrzegł, że dziewczyna

toczy ciężką walkę wewnętrzną, że w oczach jej pojawia się lęk na sam widok narzeczonego.

Jedynie pani Maria domyślała się, co się dzieje w duszy Madzi. Postanowiła, że przyjdzie siostrzenicy z pomocą, o ile okaże się, że Madzia nie będzie mogła poślubić Jana Ravenecka.

Pani Maria zaprosiła całą rodzinę i Norberta Greinsberga na drugi dzień świąt wielkanocnych. Na pierwszy dzień świąt Norbert zaprosił majora z żoną i dziećmi do Lindenhofu. Madzia miała sobie

103

przy tej sposobności wybrać pokoje, w których zechce zamieszkać jako dziedziczka Lindenhofu. Na skutek próśb Norberta datę ślubu młodej pary wyznaczono na koniec czerwca.

W pierwszy dzień świąt Wielkiej Nocy Norbert przysłał do miasta samochód po narzeczoną i jej rodzinę.

Obiad był doskonały. Norbert kazał podać do stołu najlepsze gatunki win. Rodzice Madzi promienieli radością. Byli zachwyceni swoim „idealnym” zięciem.

Norbertowi nie przyszło wcale na myśl, że wzbudza w Madzi wstręt. Był ogromnie zarozumiały. Wiedział, że jest przystojny, elegancki i że podoba się kobietom. Rezerwę Madzi przypisywał dziewczęcej skromności. Madzia swoim zachowaniem drażniła jego próżność.

Po obiedzie zbliżył się do niej, mówiąc:

— Chciałbym pokazać pani apartamenta przeznaczone na przyszłe mieszkanie. Czy zechce je pani obejrzeć? Może trzeba będzie zmienić coś w urządzeniu.

Madzia zwróciła się do matki.

— Chodźmy, mamo!

Norbert spojrzał błagalnie na majorową, która zrozumiała to spojrzenie. Pomyślała, iż nic w tym dziwnego, że przyszły zięć pragnie raz przynajmniej pozostać przez chwilę sam na sam z Madzią.

— Przyjdę za kilka minut — odparła — Teraz muszę odpocząć, bo mi się trochę w głowie kręci po tym mocnym winie.

Norbert z wdzięcznością ucałował jej rękę. Major i jego synowie nie mieli najmniejszej chęci towarzyszenia młodej parze. Siedzieli przy doskonałej czarnej kawie, paląc wyborne cygara, w miłym nastroju, jaki zazwyczaj powstaje po smacznym, suto zakrapianym obiedzie. Toteż Norbert podał Madzi ramię i po chwili wyszli z jadalni.

Prowadząc ją przez szereg pokoi, szeptał jej na ucho namiętne, płomienne słowa. Madzia milczała. Przerażliwy lęk zamykał jej usta.

Weszli znowu do następnego pokoju.

— Tutaj ma być sypialnia. Czy podoba się pani? — zapytał Norbert.

Mówił głosem stłumionym, drżącym z hamowanej namiętności. Spoglądał przy tym na Madzię oczyma pełnymi zachwytu.

104

Dziewczyna przystanęła, zakłopotana, śmiertelnie zawstydzona. Nie wiedziała, co i jak ma odpowiedzieć. Z tym wyrazem bezradności, z rumieńcami na licu, wyglądała tak wdzięcznie, tak uroczo, iż Norbert nie potrafił dłużej panować nad sobą. I nagle zbliżył się do niej, porwał ją w objęcia i zaczął namiętnie szeptać:

— Droga moja, jak długo zamierzasz mnie przywozić do szaleństwa twoim chłodem? Kocham cię, jesteś moja — nie zniosę dłużej tej powściągliwości! Raz musimy z tym skończyć! Nie wypuszczę cię dziś z moich ramion, dopóki nie zdobędę twojego pocałunku, nie próbuj się bronić!

Pochylił się nad nią, pragnąc przycisnąć wargi do jej ust.

Madzia przez chwilę tkwiła w jego ramionach, obezwładniona lękiem. Z nieopisanym przerażeniem słuchała słów Norberta. Gdy jednak poczuła jego oddech, tchnący winem, gdy ujrzała w jego oczach zwykłą pożądlivość, gdy spostrzegła jego wargi blisko swoich ust — popadła w stan jakiejś dziwnej nieprzytomności. Nie wiedziała po prostu, co się z nią dzieje, nie wiedziała, co czyni. Ogarnął ją niesłychany wstręt do tego człowieka i w tej chwili uświadomiła sobie jasno, że nigdy nie będzie mogła należeć do niego.

Zaczęła się bronić. Chcąc uniknąć pocałunku, przegięła się w tył.

— Proszę mnie puścić! — zawołała.

Norbert jednak czuł przy sobie smukłą, gibką postać, czuł ciepło i zapach młodego ciała dziewczyny. Wezbrała w nim nieokiełznana namiętność, właściwa jego brutalnej naturze.

— Nie, moja drżąca gołąbko, nie wymkniesz mi się tym razem! Dość długo znosiłem twoje kaprysy, dość długo drożyłaś się. Znudzila mnie rola kochanka, usychającego z tęsknoty. Nie puszczę cię, dopóki nie ulegniesz!

Mówił ochryplym, urywanym głosem, przyciągając ku sobie coraz bliżej opierającą się dziewczynę.

Wtedy Madzia zapomniała o wszystkim, prócz jednego — prócz swojej bezgranicznej odrazy do tego człowieka. Jego uścisk, jego pożądliwą namiętność odczuwała jak hańbę,

jak poniżenie. Wyprężyła się ostatkiem sił, starając się uwolnić z objęć napastnika. A gdy jej się to nie udało, oswobodziła prawą rękę i z całej siły uderzyła go w twarz.

105

Uderzenie to oszołomiło Norberta. Mimo woli rozluźnił uścisk. Tego nie spodziewał się. Sądził jedynie, że Madzia broni się przez skromność i dziewiczą wstydlivość. Policzek, jaki mu wymierzyła, zbił go z tropu.

Zanim zdążył zorientować się w sytuacji, Madzia pośpiesznie wybiegła z pokoju. Uciekała przez długi korytarz, zbiegła jak wichur ze schodów, przemknęła się przez hall, obok starego Jana — aż nareszcie wydostała się do ogrodu. Nie mówiąc ani słowa rodzicom pobiegła na przełaj przez park do lasu. Nie zatrzymując się, pędziła przed siebie. Doznawała wrażenia, że ją ktoś goni i dlatego podążała wprost w kierunku Krumpendorfu.

Pani Maria Hartau stała przy otwartym oknie, wdychając świeże orzeźwiające powietrze wiosenne. Nagle spostrzegła wylaniającą się zza drzew białą postać dziewczęcą. Zauważyła, natychmiast, że Madzia mimo chłodnej temperatury jest bez płaszcza i że biegnie bez tchu, jakby pragnąc uniknąć pogoni.

Przestraszona wybiegła jej naprzeciw. Spotkały się na dole w hallu. Madzia z głośnym, bolesnym łkaniem rzuciła się w ramiona ciotki.

— Pomóż mi, ciociu! Ratuj mnie! Boję się go, nie mogę zostać jego żoną! Pomóż mi, pomóż mi, droga ciociu Maryniu!...

I na pół przytomna ze zdenerwowania, osunęła się bezsilnie w ramiona ciotki.

Przestraszona pani Hartau sama przeniosła dziewczynę do bawialni, aby nikt ze służby nie spostrzegł, co się stało. Posadziła Madzię w głębokim fotelu, natarła jej skronie wodą kolońską i napiła siostrzenicę winem. Krzątała się koło niej zatroskana, okazując przy tym tyle macierzyńskiej dobroci, że Madzia powoli uspokoiła się. Przerazenie ustąpiło miejsca dobroczynnym łzom, które przyniosły ulgę.

Pani Maria pozwoliła się Madzi wypłakać. Widząc wreszcie, że dziewczyna odzyskuje równowagę ducha, usiadła obok niej i ujęła jej obie ręce.

— Uspokój się, moje dziecko i powiedz mi wszystko. Co cię tak dręczy i gnębi, kochanie? Pomogę ci na pewno, o ile to tylko będzie w mojej mocy. Ale przestań już płakać, opanuj się — jesteś przecież zupełnie rozstrojona!

106

Madzia z trudem pokonała wzburzenie.

— Cioteczko, nie mogę zostać żoną Jana Raveneka! Czuję to od dawna, właściwie od pierwszej chwili. Chciałam się przemóc, zmusić się... bo przecież zgodziłam się na to małżeństwo, zanim go poznałam. Myśl o tym związku wzbudzała we mnie zgrozę, starałam się jednak przewyciężyć to uczucie. Na próżno! A teraz... teraz zdaję sobie sprawę, że raczej umrę, niż poślubię tego człowieka! Tak, ciociu — jeśli i ty nie będziesz mi mogła pomóc, to wolę umrzeć...

Maria Hartau z dobrotliwym uśmiechem pogładziła jej włosy.

— No, no — nie umiera się tak prędko, moje dziecko!  
Madzia spojrzała na nią z powagą.

— Wierzaj mi, ciociu, że chociaż bardzo boję się śmierci, to jednak wolałabym umrzeć, niż należeć do niego! Wyobrażałam sobie, że to o wiele łatwiejsza sprawa. Jego młodzieńcza fotografia podobała mi się. Od matki słyszałam o nim tyle dobrego, że myśl o małżeństwie z tak szlachetnym człowiekiem wydawała się niemal miła. A później, gdy go ujrzałam, — odniosłam wrażenie, że to jakiś zupełnie inny obcy człowiek, że między nami jest jakaś głęboka przepaść nie do przebycia. Mój niepokój, mój lęk wzmagaly się z dnia na dzień. Coraz ciężiej było mi oswoić się z myślą o tym małżeństwie. Potem spostrzegłam, że Jan patrzy na mnie pożądliwym wzrokiem... Ach, a wtedy zaczęłam się tak okrutnie bać tego małżeństwa. Nie wiedziałam, co robić, a chciałam się ratować. Jeżeli ktoś może mi pomóc, to tylko ty jedna! Cała moja istota wzdryga się przed tym człowiekiem. Wolę śmierć niż uścisk jego ramion! Nie wiem dlaczego, ale czuję do niego wstręt... Pomóż mi, kochana najlepsza ciociu!

Pani Hantau, głęboko wstrząśnięta, pogładziła pieszczotliwie głowę Madzi.

— Moja biedna, mała Madziu! Widziałam, że toczyłaś ze sobą bohaterską walkę. Zauważyłam, że nie czujesz sympatii do Raveneka, nie sądziłam jednakże, iż masz do niego tak głęboki wstręt. Przyznaję, że Jan Ravenek mnie także sprawił wielki zawód. Musiał się w ciągu tych wielu lat ogromnie zmienić, zarówno zewnątrz jak i wewnątrz. Współczułam z tobą, lecz nie mogłam się przecież mieszać do tych spraw, zwłaszcza gdy powzięłaś już tę decyzję...

107

Ponieważ zwróciłaś się do mnie, muszę ci dopomóc. Nigdy nikomu nie odmówiłam pomocy, a cóż dopiero tobie. Pokochałam cię jak własne dziecko. Uspokój się maleńka, zajmę się twoją sprawą. Nie możesz wyjść za mąż, mając w duszy tę głęboką odrazę.

Byłoby to gorsze od samobójstwa. Chciałaś się poświęcić dla rodziny, lecz teraz przekonałaś się, że ofiara jest niemożliwa do spełnienia. Masz słuszność! Nikt nie zmusi cię do zawarcia tego małżeństwa, jvż ja postaram się o to! Muszę się teraz tylko zastanowić, jak wybrnąć z tej matni. Nie jestem zupełnie nieprzygotowana; ponieważ widziałam od dawna, że ta sprawa musi się tak skończyć. Czułam, że nie zdobędziesz się na ten ostatni krok. Znam cię dobrze, Madziu, lepiej może niż ty sama. Nieraz zastanawiałam się nad tym, co trzeba będzie uczynić, gdy skończą się granice twojej ofiarności. Nie spodziewałam się tylko, że dojdzie do takiej sceny z Janem Raveneckiem.

Otoczyła czule ramieniem drżącą dziewczynę. Madzia w milczeniu całowała raz po raz jej ręce, nie mogąc słowami wyrazić bezgranicznej wdzięczności. Wpatrywała się błagalnym wzrokiem w ciotkę.

Pani Maria poczęła się przechadzać po pokoju. Rozmyślała, jakie będzie najlepsze wyjście z tej sytuacji. Wreszcie zatrzymała się przed Madzią.

- Jedno jest pewne, nie powinnaś się już widywać więcej z Janem.
- Ach, nie! — zawołała Madzia, trzęsąc się z obrzydzenia.
- Zapewne lękasz się rozmowy z rodzicami po tym, co zaszło?
- O, ciociu Maryniu! Co też oni powiedzą!

— No, no, tylko się nie bój! Czy mogłabyś teraz podczas nieobecności twych rodziców dostać się do waszego mieszkania w mieście?

- Tak, mam klucz od mieszkania przy sobie.
- To bardzo dobrze! Czy chcesz zawierzyć mi na ślepo twój los?

— Ma się rozumieć, droga ciociu! Zgadzam się na wszystko, co postanowisz, bylebyś tylko mogła mnie uwolnić z tego okropnego zobowiązania.

- Bądź spokojna, zrobię to.
- Ach, — a moi rodzice, moi bracia? Wpadną znowu w nędzę!
- Nie lękaj się, potrafię temu zapobiec.
- Wezmą mi za złe mój krok...
- Będziesz musiała się pogodzić z losem.

108

— Tutaj nie o mnie chodzi, ciociu! Tylko, że rodzice nie zrozumieją nigdy mego postępowania. Mama zacznie mnie namawiać... O, Boże!

— Czy ulegniesz jej wtedy?

- Nie, nigdy... Przecież powiedziałam już, że wolę śmierć. Ale mama jest taka... taka...



- Nie tłumacz mi, wiem sama! Troski, kłopoty, uczyniły z twojej matki istotę oschłą i małoduszną. Ja jednak pragnę ci oszczędzić walk i konfliktów. Dlatego też powinnaś na przeciąg pewnego czasu zniknąć.

— Zniknąć?

— Tak, zniknąć na pewien czas, dopóki ja nie załatwię twojej sprawy. Czy mogłabyś wyjechać?

— Ależ tak! Jeżeli trzeba, wyjadę.

— A więc pojedziemy teraz obie do miasta, do mieszkania twych rodziców. Zapakujesz trochę najniezbędniejszych rzeczy, tyle ile trzeba na kilka tygodni, a później natychmiast wyjedziesz, nie zobaczysz się z rodzicami.

— A dokąd mam pojechać?

— Do Obergriesbach. Jak ci wiadomo, posiadam tam małe obejście, które utrzymuje w porządku moja stara Basia. Zostaniesz tam życzliwie przyjęta. W ciszy mego małego domku zapomnisz o twoich przejściach, odpoczniesz, poprawisz się. W ciągu tego czasu ja załatwię wszystko z twymi rodzicami i przejednam ich zupełnie.

Madzia wstała i objęła ciotkę.

- O moja droga ciociu! Co by się stało, gdybym nie miała ciebie! Nie pozostałoby mi nic prócz śmierci.
- Nie przesadzaj, moja mała. Ta ciągła walka w ostatnich czasach nadszarpięła porządnie twoje nerwy. Doprawdy, że już czas, abyś trochę odpoczęła i odzyskała równowagę.

- A czy rodzice nie mogą mnie zmusić do małżeństwa?
- Jesteś pełnoletnia, nikt nie może cię zmusić do tego kroku.
- A Jan Raveneck?

— Powiadam ci, że nikt na świecie. A teraz zbieraj się prędko, bo musimy wyprzedzić twych rodziców. Pojedziesz do Bawarii i tam odpoczniesz. Ja sama przyjadę po ciebie i przy tej okazji powitam znowu moje ukochane góry.

109

Maria Hartau wydała polecenie, aby samochód zajechał przed dom. Później przejrzała rozkład jazdy. Z zadowoleniem skinęła głową.

Otuliła Madzię dużym ciemnym szalem, po czym wsiadła do samochodu. Poleciała służącemu, aby nikt nie mówił nikomu, że panna von Schlettau była w Krumpendorfie.

— Gdyby kto pytał o mnie, to proszę powiedzieć, że sama pojechałam do miasta. Chodzi tu o pewien żart, nie należy więc zdradzać obecności panny von Schlettau.

Służący skłonił się, wyrażając posłuszeństwo. Następnie zamknął drzwiczki samochodu.

- Będziesz musiała spakować rzeczy w ciągu pół godziny, inaczej nie zdążymy na pociąg. Czy podasz temu? — zapytała pani Hartau.
- O tak! Moja podręczna walizka stoi u mnie w pokoju na szafie. Wrzucę do niej tylko kilka drobiazgów. Wiele mi nie potrzeba.

Po przybyciu do mieszkania rodziców Madzia szybko spakowała rzeczy do walizki. Następnie przebrała się w szarą sportową sukienkę, włożyła na głowę mały kapelusik z piórkami i po chwili była już gotowa do drogi.

— Wyglądasz jak zwykle, bardzo ładnie. Przykro mi, że jedziesz bez opieki, ale nie ma na to rady.

Panie pojechały na dworzec. W drodze ciotka udzielała Madzi rozmaitych rad i wskazówek. Na dworcu sama kupiła bilet i miejsce w wagonie sypialnym.

— Wyszła z Madzią na peron.

— Po przyjeździe do Berlina wsiądziesz do samochodu i każesz się zawieźć na dworzec Anhaltski. Tragarzowi powiesz, aby zaniósł twoją walizeczkę do wagonu sypialnego w monachijskim pociągu. Odnajdziesz w pociągu swój przedział. Jutro o ósmej rano przybędziesz do Monachium. Twój pociąg odchodzi z dworca Starnberskiego. Po upływie pół godziny będziesz już w Obergriesbach. Zadepeszuję zaraz do Basi i zawiadomię ją, by przygotowała wszystko na twoje przyjęcie. Oto twój bilet i karta do wagonu sypialnego. W tej portmonetce masz dosyć pieniędzy. No, bądź odważna, nie lękaj się,

110

ja tutaj wszystko pomyślnie załatwię. Za kilka tygodni przyjadę po ciebie. Ale oto już nadjeżdża twój pociąg. Niech cię Bóg strzeże, Madziu. Szczęśliwej podróży! Zadepeszuję po przyjeździe. Lękam się trochę o ciebie, mam jednak nadzieję, że zajedziesz dobrze.

— Nie bój się, cioteczko, dam sobie radę! Dziękuję ci stokrotnie za twoją dobroć. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Pani Hartau uśmiechnęła się do dziewczyny, pomogła jej wsiąść do pociągu, następnie cofnęła się na peron. Pociąg po chwili ruszył. Madzia odjechała.

\*

Jan Raveneck — prawdziwy Jan Raveneck — udał się natychmiast po przyjeździe do Berlina do centrali swego koncernu. Okazał listy polecające pana Stenhove'a i doznał bardzo życzliwego przyjęcia. Powiedziano mu, że w Monachium otwiera się nowa filia, której kierownictwo zostanie mu powierzone. Wobec tego, że filia rozpocznie swoją działalność z dniem pierwszego czerwca, przeto aż do tego czasu może korzystać z urlopu. Powiedziano mu, aby dobrze wypoczął, gdyż będzie miał bardzo uciążliwą i wyczerpującą pracę. Jan Raveneck postanowił tych kilka tygodni urlopu spędzić w Alpach Bawarskich.

Wiadomość o śmierci matki wytrąciła go z równowagi. Chciał odpocząć, uspokoić się po doznanych wstrząsach moralnym. Uważał, że najprędzej przyjdzie do siebie w samotności. Miał zamiar spędzić swój urlop w jednej z małych górskich miejscowości w pobliżu Monachium.

W Wielką Sobotę musiał jeszcze być obecny na konferencji w centrali koncernu. Postanowił wyjechać nazajutrz. Kupił sobie bilet i miejsce w wagonie sypialnym do pociągu odjeżdżającego z Berlina o siódmej wieczorem.

Gdy przybył na dworzec, spostrzegł że z samochodu wysiada jakaś młoda panienka. Stała ona wśród tłumu, nawołując nieśmiało tragarzy, żaden z nich jednak nie zwracał uwagi na nią. Panienka wciąż stała, rozglądając się bezradnie wokoło.

111

Jan Raveneck przystanął również. Młoda panienka nie wiadomo czemu przykuła jego uwagę. Nie wiedział, co wywiera na nim takie wrażenie: jej wyjątkowa uroda czy też jej bezradność. Dość na tym, że postanowił jej pomóc.

Przechodnie i pasażerowie potracali ze wszystkich stron młodą panią. Widać było, że jest bliska płaczu. Jan Raveneck uchylił kapelusza i podchodząc do niej, rzekł:

— Przepraszam bardzo, że ośmielam się przemówić do pani. Widzę jednak, że nie może pani sobie dać rady, więc pragnę pani pomóc. Słyszę, że zwraca się pani na próżno o informacje do tragarzy. Może ja mógłbym udzielić pani tej informacji?

Madzia von Schlettau — ona to bowiem była — spojrzała niespokojnie na młodego mężczyznę. Lecz już pierwszy rzut oka na jego opaloną twarz wzbudził w niej dziwne uczucie. Wydało się jej, że ta twarz nie jest obca, że ją już kiedyś widziała. Rycerskie zachowanie Jana Ravenecka, jego pełna szacunku postawa, pozbawiona cienia natarczywości — wszystko to świadczyło, że można mu zaufać.

Po chwili wahania rzekła nieśmiało:

— Chciałam się dowiedzieć, z którego peronu odchodzi pociąg do Monachium. Czy pan może mi wskazać peron? Walizkę mogę od biedy zanieść sama, bo widzę, że nie ma wolnych tragarzy.

Skłonił się uprzejmie.

— Jadę tym samym pociągiem, może pani pójdzie ze mną. Walizkę pani każe wnieść do przedziału razem z moim bagażem.

Energicznie przywołał tragarza i polecił mu wnieść swój bagaż i walizkę Madzi do monachijskiego pociągu.

- Jaki pani ma numer wagonu? Madzia sprawdziła bilet.
- Numer siódmy — odparła.

— A zatem jedziemy w tym samym wagonie — stwierdził z uśmiechem.

Udzielił odpowiedniej instrukcji tragarzowi, następnie zwrócił się znowu do Madzi:

— Czy mogę panią prosić?

Dziewczyna szła obok niego, jakby wcale nie mogło być inaczej.

112

Wytrącona z równowagi przejściami dzisiejszego dnia, czuła teraz prawdziwą ulgę. Z ufnością powierzyła się opiece nieznanego. Gdy oboje stanęli przed wagonem, oznaczonym siódmką, Jan Raveneck zapytał:

— Niech pani powie mi jeszcze numer swojej miejscówki, a od prowadzę panią do właściwego przedziału.

Pokazała mu miejscówkę. Jan uśmiechnął się, okazało się bowiem, że będą sąsiadami.

- Przypadkiem mamy miejsca w dwóch sąsiadujących ze sobą przedziałach. Gdyby pani potrzebowała mej pomocy, to proszę mnie zawezwać. Jestem zawsze do dyspozycji.
- Dziękuję bardzo. Spodziewam się, że nie będę już miała potrzeby trudzić pana.

— Ależ to wcale nie był trud!

Poprowadził Madzię do jej przedziału i polecił numerowemu wnieść tutaj jej walizkę. Potem dopiero udał się do swego przedziału.

Madzia usiadła z westchnieniem ulgi. Doznawała uczucia, że uniknęła szczęśliwie niebezpieczeństwa. Jak dotąd mało jeszcze podróżowała, a jeszcze nigdy nie jechała sama. Przymknęła oczy, aby się trochę uspokoić. Nagle przypomniała sobie swego przygodnego opiekuna. Zdawało jej się, że widzi przed sobą jego opaloną twarz, rozświetloną szarymi, pięknymi oczyma. Znowu pomyślała, że już gdzieś widziała te oczy. Twarz nieznanego była jakaś dziwnie znajoma. Do kogóż on jest podobny? Gdzie mogła go widzieć?

— Głośno, mocno zabiło serce dziewczyny. Spotkanie z Janem Raveneck'em nie pozostało bez wrażenia. Madzia pomyślała, że to spotkanie jest właściwie najważniejszym wydarzeniem dzisiejszego dnia.

Niedługo cieszyła się samotnością w przedziale. Po chwili zjawiała się jakaś starsza pani — jej towarzyszka podróży. Powitała Madzię skinieniem głowy i usiadła obok niej.

Później nadszedł konduktor i zapytał, czy ma jej przygotować łóżka na noc. Madzia zwróciła się do swej towarzyszki:

- Jak pani sobie życzy! Starsza pani uśmiechnęła się.
- Jeżeli to pani nie robi różnicy, to może jeszcze poczekamy.

## 8 — Skradzione życie 113

W przedziale robi się tak ciasno, gdy łóżka są rozesłane. Tak jest wygodniej siedzieć.

— Dobrze, proszę pani.  
Konduktor oddalił się.

- Czy pani pozwoli mi zająć dolne łóżko? — spytała Madzię jej towarzyszka podróży — Za trudno mi wspinać się na górę.
- Proszę bardzo — odparła Madzia — Mnie jest wszystko jedno.

Madzia nigdy jeszcze nie podróżowała w wagonie sypialnym. Przeżywała zupełnie nowe wrażenia. Rada była, że jedzie w towarzystwie starszej osoby. Teraz czuła się bezpieczna.

Zauważyła, że jej zbawca przechadza się po korytarzu i zagląda troskliwie do przedziału. Dziewczyna zarumieniała się po uszy. Nie miała mu tego za złe. W postępowaniu jego nie było ani śladu natarczywości, ani chęci narzucania się. Zdawało się, że pragnie się tylko przekonać czy Madzia nie potrzebuje czegoś.

Starsza pani poleciła konduktorowi, aby przyniósł jej kolację. Wtedy i Madzia poczuła głód.

— Czy ja także mogłabym dostać coś do jedzenia? — zwróciła się do konduktora.

Konduktor przyniósł po chwili kolację dla Madzi. Pomimo niepokoju, jadła ze smakiem. Odnosiła przy tym dziwne wrażenie: spłynęło na nią ukojenie od chwili, gdy Jan Raveneck zaopiekował się nią. Ten nieznajomy podziałał kojąco na jej poszarpane nerwy. Nie pojmowała, czemu ten obcy człowiek wywiera na nią tego rodzaju wpływ, nie rozumiała, czemu od pierwszej chwili wzbudził w niej takie bezgraniczne zaufanie.

Leżąc później na swoim pościeliu i nie mogąc zasnąć, zaczęła myśleć o rodzicielskim domu. Co się tam teraz dzieje? Czy się co stało? Jak się zachował Jan Raveneck po jej ucieczce? Jak wytłumaczyli sobie rodzice i bracia jej nagłe zniknięcie?

Westchnęła głęboko. Jedyne nadzieje, to ciocia Marynia. Dobra, kochana cioteczka, przyrzekła, że zajmie się tą sprawą i pokieruje jej losem. A skoro przyrzekła, to z pewnością dotrzyma przyrzeczenia. Na cioci Maryni można polegać. Najważniejsze, że wyzwoliła ją spod tego okropnego przymusu, który od dłuższego czasu ciążył jej na sercu!

114

Jak to się stało, że Jan Raveneck zmienił się tak bardzo na niekorzyść? Na fotografii, którą w swoim czasie pokazywała jej jego matka, miał takie miłe rysy, a jego oczy...

Madzia zerwała się nagle i usiadła na swoim pościeliu. Drgnęła, jakby olśniona błyskawicą. Teraz już wiedziała, dlaczego twarz jej przygodnego opiekuna wydawała się jej taka znajoma! Wiedziała, czemu ten człowiek wzbudził w niej tak wielkie zaufanie! Tak, przecież on jest zupełnie podobny do młodzieńczej fotografii Jana Ravenecka!

Teraz dokładnie już pamiętała, jak wyglądała tamta fotografia. Widziała ją przed sobą niby na jawie. Zaczęła się zastanawiać nad tą zagadką. Obecny pan Lindenhofu zatracił wszelkie podobieństwo z dawnych lat, natomiast jakiś nieznajomy, który przypadkiem stanął na jej drodze, przypominał tak bardzo młodego Janka, że zbudził wspomnienie owej fotografii, zatartej na pewien czas w pamięci Madzi.

Jakież to dziwne i niezrozumiałe!

Madzia położyła się znowu, usiłując zasnąć. Zamknęła oczy, lecz sen mocny, zdrowy sen nie przychodził jakoś. Zapadła w drzemkę, podczas której dręczyły ją dziwne majaki. Budziła się co chwila.

Jak też ułoży się teraz jej przyszłość? W domu nikt nie zrozumie pobudek jej postępków. Matka będzie zła, że Madzia wyrzekła się tak świetnego losu. A ojciec i bracia? Ich egzystencja znowu jest zagrożona... Co też ona zrobiła? Sprawiała swoim najbliższym tyle kłopotów, tyle niepokoju... Czy tylko im? Ach, nie! Przede wszystkim samej sobie! A jednak nie mogła postąpić inaczej... Och, lepiej umrzeć, niż jeszcze raz spocząć w ramionach tego człowieka! Cała istota Madzi wzdrygała się przed nim, wspomnienie tego uścisku napełniło ją odrazą, jak coś brudnego, ohydneho!

Madzia znowu zasnęła na chwilę. Teraz śniła o swoim zbawcy, którego dziś spotkała na dworcu. Śniła, że niesie ją na rękach przez wzburzone fale i uśmiecha się do niej pięknymi, jasnymi oczyma. Ten tkliwy, miły uśmiech dziwnie rozgrzał jej młode serce, napełniając je rozkoszą bez granic.

Głośne pukanie do drzwi przedziału zbudziło ją z tych miłych marzeń. To konduktor budził podróżnych, oznajmiając, że już czas się ubierać.

115

Panie ubrały się. Po chwili konduktor przyniósł im śniadanie. Po śniadaniu Madzia wyszła na korytarz. Przed drzwiami do sąsiedniego przedziału spostrzegła Jana Ravenecka. Ukłonił się z szacunkiem, a jego piękne jasne oczy zabłyśły na widok Madzi. Dziewczyna odkłoniła się. Jan spostrzegł, że się zarumieniła. W pamięci jej odżył sen, jaki miała dzisiejszej nocy. Rumieńce Madzi nie osłabiły zainteresowania Jana, przeciwnie, wzmogły je.

W ciągu swego ruchliwego życia niewiele zajmował się kobietami. Nigdy jeszcze żadna kobieta nie wywarła na nim głębszego, trwalszego wrażenia. Nie należał do kategorii płochych bawidamków, którzy wszędzie i zawsze szukają sposobności do flirtu. Zresztą piękna nieznajoma panienka nie wyglądała na osobę skłoną do nawiązania lekkiej miłości. Podobała mu się właśnie jej nieśmiała bezradność, a jej słodka twarzyczka wywierała przedziwny urok. Chętnie byłby zawarł bliższą znajomość z Madzią, nie chciał się jednak okazać natrętem. Rozmyślał nad tym, jakby się tu dowiedzieć o nazwisko i adres pięknej nieznajomej.

Pociąg przybył do Monachium. Podróżni zaczęli wysiadać. Jan przystanął w pobliżu Madzi, czekając tylko na sposobność nawiązania z nią ponownego kontaktu. Nagle usłyszał, że Madzia pyta swoją towarzyszkę, gdzie znajduje się dworzec Starnberski. Starsza pani żałowała bardzo, że nie może jej udzielić informacji.

— Zaraz zapytamy się kogoś — rzekła do Madzi.

Szczęście sprzyjało Janowi. Towarzyszka Madzi zwróciła się właśnie do niego:

— Czy pan nie wie, którędy przechodzi się na dworzec Starnberski?

- Jeżeli pani pozwoli, to ją tam chętnie zaprowadzę, ponieważ i ja idę na ten dworzec — powiedział uprzejmie, nie patrząc niby na Madzię, która znowu zapłonęła się jak różyczka.
- Nie ja się tam wybieram, lecz ta panienka. Może zechce pan wskazać jej drogę.

Jan skłonił się usłużnie przed Madzią. Nie napomknął ani słowem, że już wczoraj wieczorem był jej przewodnikiem. Dopiero gdy pożegnali się ze starszą panią, odezwał się:

— Zdaje mi się, że pani nie przywykła do samotnych podróży. Niech pani pozwoli mi zaopiekować się sobą. Dokąd pani jedzie?

116

— Do Obergriesbach — odparła Madzia nieśmiało, lecz z ufnością. Nie patrząc na nią, rzucił niby od niechcienia:

— To się doskonale składa, Obergriesbach jest również moim celem podróży. Pozwoli pani, że zajmę się nią w drodze.

— Nie wypada mi tak ciągle fatygować pana...

— Przecież to nie żadna fatyga, skoro jedziemy do tej samej miejscowości.

Zataił przed nią, że dopiero w ostatniej chwili postanowił pojechać do Obergriesbach. Pragnął zawierzyć przypadkowi nie wiedząc na pewno, w jakiej miejscowości ma się zatrzymać. Teraz dopiero dwoje brązowych aksamitnych dziewczęcych oczu skłoniło go do tego wyboru.

Madzia na razie nie odpowiedziała. Z milczącą podzięką przyjęła jego pomoc. Wsiedli razem do jednego z wagonów kolejki wąskotorowej. O tej porze roku ruch był niewielki. Tragarz umieścił obie walizki w jednym przedziale.

— Czy nie będzie pani przykro, że jadę w tym samym przedziale?

Twarz Madzi powlokła się ciemnym rumieńcem.

— Ależ nie, bynajmniej... Przecież pan okazał mi tyle życzliwości...

Jan zajął miejsce naprzeciwko Madzi. Zaczął z udanym zainteresowaniem przerzucać rozkład jazdy. Madzia z bijącym sercem czekała na pojawienie się innych pasażerów. Czekala jednak nadaremnie. Nikt więcej nie wsiadł do ich przedziału.

Pociąg ruszył. Madzia zerknęła na nieznanego, który zatopiony w studiowaniu rozkładów, zdawał się jej nie widzieć. Twarz jego wydawała się jej coraz bardziej znajoma. Rzecz dziwna: miał te same pięknie wykrojone wąskie wargi, co Jan Raveneck za młodych lat! Jakże się ten Jan zmienił! Wargi miał teraz pełniejsze, wykrój ich był pospolity! Może to sprawiały wąsy, ocieniające jego usta? Jej towarzysz podróży nie miał zarostu, a jego oczy — Madzia przeleżała się; w tej chwili zmarszczył czoło, jakby go coś zabolalo i — Boże, jakież to dziwne!

Wlepila w niego zdumione oczy. Ten nieznanomy miał nawet te same oryginalne brwi, wąskie i proste, zbiegające się ostro przy nasadzie nosa. Zupełnie tak samo marszczył brwi jej przyjaciel, Alfred Raveneck.

117

To dziwne podobieństwo wprawiło ją w osłupienie. Jan podniósł w tej chwili oczy i napotkał jej pytające spojrzenie. Madzia zawstydzona zaczęła wyglądać przez okno.



Chętnie byłby zagaił rozmowę, lecz nie chciał zrazić Madzi. Była wprawdzie nieśmiała i bezradna, lecz sprawiała wrażenie kobiety tak wytwornej, iż nie miał odwagi nawiązać rozmowy.

I tak jechali oboje w milczeniu, rozkoszując się pięknym górskim krajobrazem za oknami. Madzia od czasu do czasu rzucała okiem na nieznanomego. I za każdym razem odnosiła wrażenie, że zna od dawna jego oczy!

Gdy zaczęto się przybliżać do miejsca przeznaczenia, Madzia wyjęła z torebki kartę pocztową, którą kupiła poprzednio u konduktora wagonów sypialnych. Poza depeszą, jaką miała zaraz po przybyciu wysłać do cioci Maryni, chciała napisać do niej jeszcze kilka słów. Pocztówkę postanowiła wrzucić do skrzynki na dworcu.

Rozsunęła mały składany stoliczek przy oknie i zaczęła pisać:

*Najdroższa, ukochana Ciociu Maryniu!*

*Zdrowa i cała zajęchałam na miejsce. Oczekuję teraz z drżeniem serca wiadomości od Ciebie. Co tam słyhać w domu? Spodziewam się, że wszystko w porządku. Z bezgraniczną wdzięcznością myślę wciąż o Tobie. Wkrótce napiszę Ci obszerny list. Pozdrawiam Cię serdecznie.*

*Twoja Madzia*

Napisała na odwrocie adres, po czym włożyła wieczne pióro do torebki. W tej samej chwili wiatr zmiótł pocztówkę, która upadła na podłogę przedziału.

Jan Ravebeck schylił się, aby podnieść kartkę. Oczy jego padły mimo woli na adres. Przeczytał: „Krumpendoirf pod G...”

Zaskoczyło go to i badawczo spojrzął na Madzię.

— Przepraszam panią — odezwał się — nie była to z mej strony niedyskrecja, lecz niechcący przeczytałem, że kartka adresowana jest do Krumpendorfu pod G... Proszę mi nie brać za złe, jeśli zapytam

118

czy chodzi tu o majątek Krumpendorf, będący własnością pana Karola von Schlettau?

Madzia spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Należał niegdyś do pana von Schlettau. Obecnie właściciel już nie żyje.

Jan Ravebeck posmutniał.

— Ach, więc on także już nie żyje?

— Czy pan znał pana von Schlettau? — nie mogła się powstrzymać od zapytania.

Westchnął głęboko.

- Tak, znałem go przed laty. A zatem jego posiadłość przeszła w obce ręce?
- Nie, pozostała w rodzinie. Ciotka moja, pani nadleśniczyna Maria Hartau była z domu von Schlettau. Wuj Karol uczynił ją swoją spadkobierczynią.

Oczy Jana rozbliły. Przestał się już obawiać, że straci z oczu swoją towarzyszkę. Miał teraz pewne dane, na których podstawie, mógł ją odszukać.

— Może i pani pochodzi z G...? — zapytał.

— Urodziłam się w tym mieście. Ojciec mój jest również kuzynem Karola von Schlettau.

Jan odetchnął głęboko. Może ta młoda osóbką znała jego matkę? Może będzie mogła opowiedzieć mu o niej?

— Jaki to dziwny przypadek! Ja również pochodzę z tego miasta. W tym czasie jednak, gdy wyjeżdżałem stamtąd, musiała pani być małą dziewczynką. A zatem jesteśmy rodakami w najściślejszym znaczeniu tego słowa.

W tej chwili pociąg zatrzymał się na stacji Obergriesbach. Madzia i Jan musieli prędko wysiąść, gdyż postój trwał bardzo krótko. Oprócz nich wysiadło tylko jeszcze kilku wieśniaków.

Madzia ujrzała na peronie starszą kobietę w pstrej, kwiciastej spódnicy, aksamitnym gorseciku i zielonym fartuchu. Z wahaniem zbliżyła się do dziewczyny.

- Czy to panienka jest panną von Schlettau? Madzia z uśmiechem skinęła główką.
- A to pewno Basia od pani Hartau?

119

— Pewnikiem, że to ja. Ano widzę, że wszystko w porządku. Szczęść Boże, witam panienkę u nas. A w domu wszyscyutko przygotowane dla panienki, tak jak mi kazała moja pani.

— Bardzo się cieszę, że Basia dostała w porę wiadomość.

Jan Raveneck musiał się ku swemu wielkiemu żalowi pożegnać.

Byłby chętnie zapytał swoją towarzyszkę o rozmaite rzeczy, pojął jednak, że w tej chwili nie może się jej narzucać.

Walizkę pozostawił na stacji i zaczął się dowiadywać o jakiś hotel. Pokazano mu drogę do gospody „Pod Bawarską Koroną”, jedynej w tej miejscowości.

Udał się więc wprost na wskazane miejsce. Nie żałował, iż właśnie tutaj spędzi swój urlop. Przed oczyma jego roztaczał się wspaniały górski krajobraz.

W gospodzie — ładnym, czyściutkim budynku, otoczonym pięknym ogrodem, został przyjęty bardzo uprzejmie. Oberżysta obiecał posłać na stację po walizkę gościa. Pytał też, czy Jan zamierza pozostać tutaj przez dłuższy czas.

— Pozostanę zapewne kilka tygodni, o ile będzie mi się tu po dobać — odparł Jan. Oberżysta zapewnił go, że dołoży wszelkich starań, by zadowolić gościa. Gdyby chciał odbyć kilka wycieczek w góry, to może mu polecić doskonałych przewodników.

Podczas gdy Jan rozmawiał na progu domu z oberżystą, ujrzał z daleka Madzię, przechodzącą w towarzystwie starej Basi. Za nimi szedł parobek, który niósł walizkę Madzi. Jan ukłonił się uprzejmie Madzi.

— Oho, ładny gość przyjechał do starej Basi! — zauważył z uśmiechem oberżysta.

— Któż to jest ta stara Basia? — spytał Jan.  
Oberżysta roześmiał się głośno.

— Iii, niech pan lepiej spojrzy na tę młódkę! Milszy to wi dok, niż stara Basia. Basia jest gospodynią u żony dawnego nadleś niczego.

— U pani Hartau?

— A własne! Tam, na tym wzgórku stoi jej mały domek. Ale nasza pani nie mieszka tam teraz, tylko w północnych Niemczech. Odziedziczyła tam podobno wielki majątek. Stara Basia i parobek

120

utrzymują w porządku całe obejście. Pani nadleśniczyna mówiła, że będzie tu co roku przyjeżdżać na kilka tygodni.

Wzrok Jana pobiegł w kierunku pagórka. A więc tam na górze, w tym ładnym domku zamieszka jego urocza towarzyszka podróży pod opieką starej Basi. Przyjechała tu pewnie na zlecenie ciotki, by przekonać się, czy wszystko jest w porządku.

W oczach Jana zapalił się stanowczy błysk. Ułożył sobie, że nie po raz ostatni widział dziś tę młodą panienkę i rozmawiał z nią. Musi się postarać, aby doszło do ponownego spotkania.

Tak, trzeba będzie zapytać ją o matkę. Może znała ją? G... — to małe miasto. Wszyscy się tam znają. Młoda panienka musiała znać, przynajmniej z widzenia lub ze słyszenia żonę pułkownika Ravenec-ka. Może dowie się bliższych szczegółów o śmierci matki, a także usłyszy jakieś nowiny o stryju Jerzym i Alfredzie. Przecież tak czy inaczej

będzie musiał wybrać się kiedyś do rodzinnego miasta i załatwić tam swoje sprawy. Byłoby dobrze, gdyby mógł się już przed tą podróżą dowiedzieć, co się tam dzieje.

Szukał w duchu pretekstu, byleby tylko móc ponownie zobaczyć piękną dziewczynę. Nie chciał się przyznać, że zależy mu wyłącznie na tym, by ją raz jeszcze ujrzeć.

Oberżysta wprowadził go teraz do dużego jasnego pokoju. Z okien miał cudowny widok na dumne, ośnieżone górskie szczyty. W chwilę później przyniesiono mu do pokoju wybornie przyrządzony posiłek. Oberżysta zapytał, czy gość jest zadowolony z pomieszczenia. Jan począł chwalić pokój, a zwłaszcza piękny widok z okna. Oberżysta uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Tak, tak! Dla tego widoku niejeden turysta zatrzymał się w Obergriesbach dłużej, niż miał zamiar. Pod „Bawarską Koroną” mieszkali bardzo eleganccy państwo. Prosiłem, żeby każdy wpisał mi nazwisko do książki. Niech pan sobie przejrzy tę książeczkę i także napisze kilka słówek...

I gospodarz wyszedł, a po chwili powrócił niosąc swoją „księgę dla przyjezdnych”. Z dumą położył ją na stole.

Jan, nie chcąc go obrazić, zaczął po obiedzie przeglądać książkę. A gdy doszedł do ostatniej strony, krzyknął ze zdziwienia. Oczy jego zasnuły się wilgotną mgłą; pochylił się ze wzruszeniem nad kartką

121

papieru, na której znalazł nazwisko swej matki, wypisane jej własną ręką.

Drobne, wyraźne litery odbijały się jasno na papierze, a Janowi wydało się, że widzi małą, szczupłą rękę matki, przesuwającą się nad tą kartką. Ze zbożną czcią pochylił się nad kartą i ucałował to miejsce, na którym zapewne niegdyś spoczywała ręka ukochanej.

— Mateczko, najdroższa moja mamó... Skąd się wzięło twoje nazwisko w tej księdze? — szepnął do siebie.

Z trudem ochłonął ze wzruszenia. Później przywołał oberżystę.

- Panie gospodarzu, znalazłem w tej książce znajome nazwisko! Kiedy pani pułkownikowa Raveneck mieszkała u pana?
- Ach, pani pułkownikowa, taka miła pani, delikatna jak dzieciątko, ale już siwa! Miała takie smutne oczy! Zeszłego lata mieszkała u nas, w tym samym pokoju, co pan. Ale niedługo, zaledwie jeden dzień. Potem przeniosła się do pani nadleśniczyny, która była jej przyjaciółką z młodych lat. Spotkały się przypadkiem. Tak, jak tu przybyła, to wyglądała mizernie, chorowicie, no i nosiła żałobę po panu pułkowniku. Ale u naszej pani nadleśniczyny poprawiła się bardzo. Oj, ta nasza pani Hartau — nie ma takiej drugiej na świecie. Dość spojrzeć na nią, a już człowiek na pół zdrowieje. Po wyjeździe pani pułkownikowej mówiła mi Basia, że ta pani chce tu powrócić i zamieszkać razem z panią Hartau. Ale nie doszło do

tęgo. W krótki czas po jej wyjeździe nadeszła wiadomość, że ta biedaczka umarła. I to, zupełnie nagle! Basia powiada, że jej serce pękło! Tak, pamiętam ją doskonale! Miła, blada, cichutka...

Jan Raveneck milcząc wysłuchał tego opowiadania. Nie potrafił odpowiedzieć ani słowa. Wstał, skinął głową oberżyscie, po czym wyszedł przed dom. Musiał w samotności ochłonać z głębokiego wzruszenia, jakie nim zawładnęło.

— Serce jej pękło...

Zduślił na ustach okrzyk rozpacz. Dławił go ból po stracie matki. A jednocześnie uważał za wielką pociechę, że będzie mógł przebywać w tej samej miejscowości, gdzie matka spędziła ostatnie lato. Teraz nie uważał swej podróży za przypadek. To jakaś siła wyższa skierowała tutaj jego kroki.

W pierwszej chwili pociągnęła go urocza twarzyczka, słodczy

122

i bezradność nieznajomej dziewczyny. Obecnie uświadomił sobie, że właśnie ten wdzięk słabości przykuł jego uwagę, gdyż przypomniawszy mu tak bardzo zmarłą matkę.

Więc tam, w tym ładniutkim domku na wzgórzu mieszkała matka. Obecnie w domu pani Hartau mieszka ta czarująca istota, o której nie przestaje myśleć od chwili, gdy ją ujrzawszy.

— Czy to ty kierowałaś moimi krokami, droga mamo? Mateczko, czy to ty czuwałaś nade mną? Ciotka tej cudnej dziewczyny była twoją przyjaciółką z lat młodości... Może znałaś również to słodkie stworzenie, ach — to pewnie ty sprowadziłaś na moją drogę tę anielską istotę...

Tak rozmyślał Jan nie odrywając wzroku od małego domku na wzgórzu.

Nie mógł się doczekać chwili ponownego spotkania młodej panienki. Pragnął pomówić z nią o swej matce. Być może, iż ta nieznajoma znała także stryja Jerzego; przecież Lindenhof, majątek stryja graniczy z Krumpendorfem. Co się stało ze stryjem i z jego synem? Alfred także zapewne jest już dorosłym mężczyzną.

Jan nie miał pojęcia, że zarówno stryj jak też jego syn od dłuższego czasu nie żyją.

Zatopiony w myślach udał się na przechadzkę. Domek na wzgórzu przyciągał go jak magnes. Powędrował w kierunku tego domku.

Znalazłszy się w pobliżu niego, przystanął. Przy jednym z okien ujrzawszy wychylającą się spośród barwnych kwiatów złotowłosą główkę. Ukłonił się uprzejmie. Madzia dostrzegła go i odskoczyła się życzliwie. Zaraz potem odeszła jednak od okna. Jan, acz niechętnie, zawrócił i udał się do domu inną drogą.

Rozmyślał na przemian to o Madzi, to o zmarłej matce. Doznawał wrażenia, że między tymi dwiema kobietami zachodzi jakaś łączność, jakieś potajemne związki duchowe.

\* \*

Tak się jakoś samo złożyło, że w ciągu najbliższych dni Madzia i Jan Raveneck często spotykali się podczas przechadzek po okolicy. Za każdym razem serca ich były głośniej, a oczy spoglądały z coraz

123

większą tkliwością. Pewnego dnia Jan usłyszał, jak stara gospodyni woła panienkę:

— Panno Madziu, zupa już jest na stole!

— Madzia! — szepnął Jan do siebie, a uśmiech rozrzewnienia rozchylił jego wąskie, zazwyczaj surowo zaciśnięte wargi.

Ach, teraz będzie mógł przynajmniej w myśli nazywać ją tym imieniem! Widywał ją codziennie, lecz niestety nie doszło jeszcze do rozmowy między nimi. Widywał ją bądź w ogrodzie przed domem, bądź też w towarzystwie starej Basi.

Ku swej skrytej radości spostrzegł, że dziewczyna za każdym razem rumieni się na jego widok. Na jego ukłon odpowiada zawsze serdecznym pozdrowieniem.

W obu młodych sercach z dnia na dzień wzrastała bezgraniczna tęsknota. Tak minął prawie tydzień. Pewnego ranka Madzia otrzymała nareszcie długi list od cioci Maryni. Siedziała właśnie przy śniadaniu, gdy listonosz przyniósł jej upragnioną wiadomość. Drżącymi rękami przecięła kopertę i zaczęła czytać:

*Moja droga maleńka Madziu!*

*Zapewne z niepokojem oczekiwałaś mego listu, lecz nie mogłam napisać wcześniej, gdyż doszło do długotrwałych pertraktacji. Nie chcę Cię jednak dłużej dręczyć, toteż donoszę Ci, że wszystko skończyło się pomyślnie. Możesz być zupełnie spokojna!*

Madzia odłożyła na chwilę list i z głęboką ulgą westchnęła. Siedziała przez chwilę bez ruchu z głową odchylną w tył i z przymkniętymi oczyma. Chwała Bogu! Skoro ciocia Marynia pisze, iż wszystko skończyło się dobrze, to na pewno tak jest.

Pochyliła się znowu nad gęsto zapisanymi kartkami papieru i czytała dalej:

*Natychmiast po Twoim wyjeździe udałam się do radcy Berna, któremu bezlitośnie przeszkodziłam w świątecznym wypoczynku. On jednak nie wziął mi tego za złe.*

Przeciwnie, ucieszył się niezmiernie z mego przybycia, a po-

124

I

tern zaprosił mnie na herbatę. Przy tej okazji opowiedziałam mu o Twoim przerażeniu i Twej ucieczce z Lindenhofu. Poprosiłam go, aby mi pomógł zwolnić cię z Twego zobowiązania, ponieważ w żaden sposób nie chcesz i nie możesz zostać żoną Jana Ravebecka.

Wysłuchał mnie spokojnie, a później oświadczył:

— Droga pani, prawdę mówiąc, rozumiem doskonale postępek panny Madzi. Ja także nie mam wielkiej sympatii dla Jerzego Ravebecka. Poza tym doszły mnie różne niepochlebne wieści o jego trybie życia. Musiał się bardzo zmienić, stał się hulaką i brutalnym; a podobno był niegdyś miłym, szlachetnym młodzieńcem. Mój stary przyjaciel Jerzy Ravebeck miał o nim jak najlepsze wyobrażenie i doznałby wielkiego zawodu, widząc teraz swego spadkobiercę. Żał mi panny Madzi, bo utraci prawa do spadku, z drugiej jednak strony można jej tylko powinszować, iż zdobyła się na tę decyzję.

Dobrze, zapytałam, ale jak zwolnić moją siostrzenicę z tego zobowiązania? Zgodnie z moim przypuszczeniem radca oświadczył, że powinnaś zwrócić co do grosza wszystkie podjęte pieniądze. Jerzy Ravebeck nie zdążył niestety dodać kodycylu, który zabezpieczyłby twoją przyszłość w razie, gdybyś Ty nie chciała się zgodzić na to małżeństwo. Jego ostatni list jest z punktu widzenia prawnego nieważny. Mimo to radca zaproponował, żeby pojechać natychmiast do Lindenhofu i pokazać Ravebeckowi ten list. Może — jak sądził — zechce on uznać pewne zobowiązanie moralne wobec Ciebie. Wtedy można będzie z nim zawrzeć jakiś dobrowolny układ na Twoją korzyść.

Spodziewam się — powiedział radca — że Ravebeck zrezygnuje przynajmniej ze zwrotu sumy, wypłaconej pannie Madzi. Jest to najmniejsze, co może uczynić, a moralnie jest do tego zobowiązany, gdyż list jego stryja zawiera postanowienie w tym duchu, chociaż nie ujęte w formę prawną.

Na razie nie wypowiedziałam się w tej sprawie, gdyż nie czułam się upoważniona do rezygnacji z tej propozycji radcy.

Pojechaliśmy tedy oboje do Lindenhofu. Zastaliśmy wszystkich, ogromnie zdenerwowanych Twoim zniknięciem. Jan Ravebeck pałał złością. Oznajmił Twoim rodzicom, że

125

spoliczkowałaś go, gdy poprosił Cię o pocałunek i że zaraz po tym uciekłaś. Ma się rozumieć, że Twój rodzice nie posiadali się z oburzenia. Matka głośno lamentowała, a ojciec stał bez ruchu przy oknie, nie mówiąc ani słowa. W przygnębiającym nastroju czekano na powrót Twych braci, którzy wyruszyli, żeby Cię poszukać. Twoja matka starała się uspokoić Jana Ravebecka; tłumaczyła, że to tylko dziewczęca nieśmiałość pchnęła Cię do tego kroku, że wszystko się jakoś ułoży. On w odpowiedzi na to oznajmił, iż żądają od niego rzeczy dziwnych. Jakże może się ożenić z panną, która uderzyła go w twarz. Mimo to gotów Ci przebaczyć, jeśli, pełna skruchy, powrócisz do niego.

Twój brat Eryk pojechał do waszego mieszkania w mieście. Adalbert natomiast szukał Cię w Krumpendorfie. Powrócili w chwilę po moim przybyciu.

Oznajmiłam z wielkim spokojem, że jesteś bardzo nieszczęśliwa i udałaś się do mnie po radę i pomoc, gdyż wolisz raczej śmierć niż małżeństwo z tym człowiekiem.

Droga moja Madziu, po tych słowach rozpętała się szalona burza. Mnie także dostało się porządnie za to, że umacniam Cię w Twojej „egzaltacji”. Pozwoliłam się im spokojnie wypowiedzieć, aż wreszcie zamilkli wyczerpani własnym potokiem wymowy. Wtedy nareszcie ja mogłam dojść do słowa.

Oświadczyłam, iż przyrzekłam Ci, że zerwę Twoje zaręczyny. Ja sama dopomogłam Ci do wyjazdu. Znajdujesz się w miejscu bezpiecznym i pozostaniesz tam, dopóki cała ta sprawa nie będzie zlikwidowana. Twój stan zdrowia wzbudza poważne obawy, toteż należy Ci oszczędzić dalszych wstrząsów. Powiedziałam Twym rodzicom, że chciałaś poświęcić się dla nich i dla braci, lecz przekonałaś się, iż nie możesz ponieść tej ofiary, gdyż z dnia na dzień wzmagała się Twoja odraza do Ravebecka. Trzeba przecież zrozumieć, że nie można Cię zmuszać do małżeństwa, w którym czułabyś się głęboko nieszczęśliwa.

Twoi rodzice i bracia byli bardzo przygnębieni, lecz nie odpowiedzieli na to ani słowa. Jan Ravebeck natomiast siedział z dziwnym wyrazem twarzy. Usta jego wykrzywił brzydki grymas, oczy pałały dziką nienawiścią. Wyglądał jak wściekłe zwie-

126

rzę. Pojęłam, że nie można się po nim spodziewać szlachetności ani dobroci. W owej chwili dziękowałam Bogu, że człowiek ten nie zostanie Twoim mężem. Twarz jego odzwierciedlała wszystkie niskie, złe skłonności tego człowieka.

Nasz poczciwy stary przyjaciel wmieszał się teraz do rozmowy i zaczął prowadzić pertraktacje. Pokazał on Ravebeckowi ostatni Ust stryja. Wzruszającymi słowami starał się go przekonać, że nikt nie może Cię zmusić do miłości. Prosił, aby Jan Ravebeck zwołał Cię ze słowa. Apeluje do jego szlachetności i spodziewa się, że on ze swej strony nie zgodzi na ten związek i odda Ci połowę kapitału i klejnoty rodzinne, które przypadłyby Ci w takim wypadku.



A wtedy Jan Raveneck uśmiechnął się szyderczo. Za ten uśmiech zasługiwał, by go społiczkowano. Oświadczył, że w dalszym ciągu pragnie Cię poślubić i że nie ma zamiaru rezygnować na Twoją korzyść.

Radca Bern powołał się ponownie na list Jerzego Ravenecka. Poprosił Jana, aby przynajmniej zrezygnował ze zwrotu tej sumy, którą Ci już wypłacono. Przecież z listu stryja wyraźnie wynika, iż pan Jerzy chciał zabezpieczyć Twoją przyszłość na wypadek, gdybyś nie chciała poślubić jego bratanka.

Jan słuchał z niesamowitym błyskiem oczu. Gdy radca zamilkł, zapytał go:

— Czy ten Ust ma jakieś znaczenie? Czy nakłada na mnie zobowiązania prawne? Czy na podstawie tego dokumentu muszę oddać część spadku panie von Schlettau?

Radca Bern odrzekł na to:

— Zobowiązanie prawne w tym wypadku nie istnieje, tylko zobowiązanie moralne. Spodziewam się, że pan je uzna.

Jan Raveneck roześmiał się brutalnie.

— Ani mi się śni! Panna von Schlettau obraziła mnie, ude rzyła mnie w twarz. Nie jestem takim idiotą, aby jej za to jeszcze świadczyć dobrodziejstwa!

Twój ojciec zarumienił się. Twoi bracia spojrzeli z nieopisaną pogardą na tego rycerza smutnej postaci. Co do mnie, to cieszyłam się, że jego matka nie dożyła tej chwili. Czego mogła się spodziewać po takim synu?

127

i

Radca Bern z ubolewaniem wzruszył ramionami.

— Nie uważałbym pana w tym wypadku za idiotę, lecz za człowieka, dla którego prawo jest prawem, miwęt gdy nie zostało spisane i przypieczętowane urzędowo!

Ale Jan Raveneck roześmiał się szyderczo.

— Gwiżdżę na to, panie radco!

Kochana moja Madziu! Po raz wtóry całym sercem dziękowałam Bogu, że nie wyjdiesz za tego człowieka. Teraz nareszcie uznałam, że nadeszła odpowiednia chwila do interwencji. Stanowczo i spokojnie zwróciłam się do Twej rodziny.

— Po tej próbie rycerskiego zachowania się, jaką uraczył nas pan Ravebeck, zrozumiecie może, iż Madzia miała ważne powody nie chcąc zostać jego żoną. Wcześniej od nas pojęła, iż między nią a tym panem nie może istnieć żadna wspólnota, żadna łączność. Nie martwcie się o zwrot pieniędzy. Ja pożyczę wam tę kwotę, spłaciecie mi ją, gdy będziecie w stanie. Gdybyście nie mogli zwrócić mi tej pożyczki, to także nie ma nieszczęścia. Powiem wam już dziś na pociechę, iż uważam Madzię za moją główną spadkobierczynię. Kocham ją jak własne dziecko. Oddajcie mi Madzię do Krumpendorfu, a ja już zajmę się jej losem. Nie życzę sobie, by należała do mężczyzny, który nie jest jej godny.

*Piszę Ci o tym, moja maleńka, bo i Ciebie pragnę uspokoić. Nie martw się o nic, kochanie, zrzuć smutek i troskę z serca!*

*A teraz dalej! Jan Ravebeck usłyszawszy moje słowa zerwał się jak oparzony i krzyknął:*

— *Proszę nie krytykować mojej osoby! Zabraniam pani! Wzruszyłam lekceważąco ramionami i odparłam spokojnie:*

— *Zachowaniem swoim krytykuje pan siebie już tak ostro, iż wszelka krytyka z mojej strony jest zbędna. Żal mi dziś jeszcze pańskiej zmarłej matki, która darzyła pana tak wielką miłością. Szkoda jej uczucia! Jedyne szczęście, że już nie żyje. Zdaje się, że załatwiliśmy już wszystko, możemy opuścić ten dom.*

*Twoi rodzice byli oszołomieni tym wszystkim. Zabrałam ich, Twoich braci i radcę Berna do Krumpendorfu. Tam omówiliśmy dokładnie, co powiemy na ten temat naszym krewnym.*

128

*Rodzice i bracia zachowywali się bez zarzutu. Dziękowali mi serdecznie, iż uchroniłam Cię od tego kroku. Zdaje się, że teraz dopiero pojęli i ocenili wielkość Twego poświęcenia. Przekonali się sami kim jest Jan Ravebeck.*

*Nazajutrz, w drugi dzień Świąt, cała rodzina zjechała się na obiad. Było osiemnaście osób, gdyż tym razem przyjechał również młody małżonek Elzy Halm.*

*Zaczęto pytać o Ciebie. Twój Ojciec powiedział, że zerwałaś zaręczyny z Janem Ravebeckiem. Zrozumiałaś sama, że nie jesteście dla siebie odpowiedni. Wyjechałaś na kilka tygodni do Obergriesbach, aby odpocząć po tak ciężkich przejściach.*

*Trudno mi opisać to zdumienie. Nikt nie mógł pojąć, że nie chciałaś zostać panią Lindenhofu. Nawet Henio, który przyjechał na wakacje, zawołał z komicznym oburzeniem:*

— *Madzia oszalała! Nieprędko trafi się jej taka okazja! Ja na jej miejscu ożeniłbym się z samym diabłem, byleby tylko rezydować w Lindenhofie! Chyba ten Jan Ravebeck nie jest taki czarny, jak go malują!*

— *Jeszcze czarniejszy, kochany Heniu!* — odpowiedziałam. *Henio spowaźniał i odezwał się po chwili.*

— *Skoro ty to mówisz, ciociu Maryniu, i to jeszcze tak poważnie, no, to wierzę, iż Madzię skłoniły do tego kroku ważne powody. Nikt nie może wyskoczyć z własnej skóry! Madzia jest bardzo wartościową dziewczyną, i zasługuje na najlepszego męża na świecie!*

*Reszta rodziny była pochłonięta dobrym obiadem i winem, toteż przestała rozprawiać na ten temat. Przy stole panował wesoły nastrój, nawet Twoja matka zapomniała o swoich troskach i śmiała się z nami.*

*Twój ojciec przeszedł ze mną do innego pokoju i powiedział:*

- *Maryniu, jesteś cudowną kobietą! Dziękuję ci raz jeszcze, że uchroniłaś moje biedne dziecko przed nieszczęściem. Wczoraj przekonałem się, że Jan Ravebeck jest brutalem. Kto wie, jaki los czekałby moją Madzię! Napiszę do niej w najbliższych dniach.*
- *Cieszę się, mój drogi, że nie gniewasz się na Madzię i nie uważasz tej sprawy za katastrofę!*

129

— *Skradzione życie*

*Westchnął głęboko.*

— *Moja pocziwa, kochana Maryniu! Katastrofa byłaby nieunikniona, gdybyś nam tak wspomniała, że nie pomogła. Bo skądże wziąłbym pieniądze na spłacenie długu?*

*Tak, moja kochana Madziu, napisałam Ci wszystko, a teraz przestańmy już myśleć o tej całej przykłej sprawie. Posiedź jeszcze kilka tygodni w górach, odpocznij porządnie po tych przejściach. Po powrocie przeniesiesz się wprost do Krumpendorfu, Twoi rodzice zgodzili się na to. Sądzę, że nie masz nic przeciwko temu. Jestem, jak wszyscy ludzie, wielką egoistką, toteż skorzystałam ze sposobności, aby Cię przemycić do Krumpendorfu. Miło mi będzie mieć na stałe młode, wesołe towarzystwo. Pozostaniesz u mnie aż do zamążpójścia, a mam nadzieję, że wyjdiesz za człowieka dobrego, którego pokochasz całą duszą!*

*Na razie odpoczywaj w górach, pod opieką mojej starej Basi. Patrz na góry i patrząc na ich wielkość, ucz się, jak małe są wszystkie ludzkie sprawy. Za kilka tygodni przyjadę po Ciebie. Nie pozwolę Ci drugi raz podróżować samotnie. Nim nadeszła Twoja depesza, lękałam się bardzo o Ciebie.*

*Na koniec muszę Ci powiedzieć jedno: cieszyłam się, iż miałaś dość odwagi i hartu, by zerwać z Janem Ravebeckiem. Jesteś naprawdę podobna do mnie, nie potrafiłabyś*

*należę do mężczyzny, którego nie kochasz i nie szanujesz! A Jan Ravenek to na wskroś niski, nikczemny charakter! W przyszłości będę unikała stosunków z tym sąsiadem, chociaż bardzo lubiłam jego biedną matkę.*

*Całuję Cię serdecznie, moja kochana Madziu! Napisz jak najprędzej do*

*Twojej cioci Maryni*

Gorące łzy trysnęły z oczu Madzi i potoczyły się po policzkach. Chwała Bogu, ciężar spadł z jej serca. Mogła znowu oddychać swobodnie, pełną piersią.

— Droga, kochana, najmilsza ciociu Maryniu! Cóż bym poczęła bez ciebie!

130

Madzia natychmiast napisała długi dziękczynny list do zacnej, szlachetnej kobiety, której zawdzięczała swoje ocalenie. Napisała również list do rodziców, prosząc ich o przebaczenie. Tłumaczyła się, że nie mogła postąpić inaczej. Obydwa listy zaniosiła sama na pocztę.

\* \*

\*

W kilka dni później Madzia udała się na spacer w góry. Jasne, wiosenne słońce spowiło złocistym blaskiem cały krajobraz. Pełną piersią wciągała dziewczyna świeże, balsamiczne powietrze.

Ach, było jej tak dziwnie błogo na duszy! Świat jest taki piękny — a tam na dole, „Pod Bawarską Koroną” mieszka ten nieznajomy, młody mężczyzna o pięknych oczach, w których na jej widok rozpała się zawsze błysk radości.

Wspinała się coraz wyżej, aż doszła do miejsca, z którego roztaczał się przepiękny widok na dolinę. Zamierzała tutaj odpocząć.

Na dole widać było wioskę. Wyglądała czyściutko i ładnie, położona nad rzeką, która niby srebrna wstęga wiła się przez dolinę. Na górze leżał jeszcze śnieg, w dolinie jednak ziemia pokryła się już świeżą zielenią. Wiosna obejmowała panowanie nad światem, nowe kielkujące życie zrywało okowy zimy.

Madzia rozmarzonym wzrokiem spoglądała w dół. Oczyma szukała oberży. Czy jej rycerski obrońca przebywa obecnie w gospodzie? A może i on udał się na wycieczkę w góry?

W ciągu ostatnich dni spotykała go często. Nie rozmawiali ze sobą, nie padło między nimi ani jedno słowo. Madzia jednak wyczytała z oczu nieznajomego niemą prośbę. Czuli, iż pragnie on nawiązać z nią rozmowę.

Madzia również byłaby chętnie pogawędziła ze swoim przygodnym opiekunem. Ale jak to zrobić? Przecież ona pierwsza nie może odezwać się do niego! Poza tym Madzia

rzadko wychodziła sama; przeważnie towarzyszyła jej stara Basia. Nie było okazji do zbliżenia ani rozmowy.

Madzia wiele myślała o swoim towarzyszu podróży. Ciekawe, po co przyjechał o tej porze roku do Obergriesbach? Jak długo tu

9\* 131

pozostanie? Jakie to dziwne! Spotkali się przypadkiem w Berlinie i okazało się, że mieli ten sam cel podróży... Tylko oni dwoje pojechali do Obergriesbach! Tak, w ogóle tyle jest dziwnych zjawisk na świecie... Bo skąd na przykład to podobieństwo nieznanego do młodzieńczej fotografii Jana Ravenecka...?

Madzia nie przestała zastanawiać się nad zagadką tego podobieństwa. Tym samym myślała wciąż o Janie. Nie widziała go wczoraj. Poczula mocne, głośne bicie serca. Ach, może już wyjechał! Co się stanie, jeśli wyjedzie któregoś dnia, jeśli nie ujrzy go już nigdy w życiu! Dziewczyna zadrzała! Przycisnęła dłoń do serca! To będzie straszne! Pojęła w tej chwili, że gdy straci Jana z oczu, wówczas z życia jej na zawsze zniknie słońce i radość!

Ogarnęła ją szalona, paląca tęsknota za nieznanym. O, gdyby go chociaż zobaczyć, choćby na chwilę!

To gorące pragnienie Madzi musiało mieć jakąś cudotwórczą moc, gdyż w tej samej chwili, jakby wyczarowany jej życzeniem ukazał się na wzgórzu pośród drzew — Jan Raveneck!

On także ujrzął Madzię, stojącą samotnie na wielkim głazie. Doznał uczucia, że musi się pośpieszyć, gdyż inaczej dziewczyna zniknie. Szybko zbiegł z lesistego pagórka.

Panienka usłyszała szmer kroków i odwróciła się. Przełękła się, ujrzawszy Jana przed sobą. Zbliżył się do niej, a jego piękne szare oczy, zajaśniały nieklamana radością.

Zmieszana, zeskoczyła z głazu. Była tak oszołomiona, że nie zważała, jak skacze, toteż osunęła się z cichym okrzykiem bólu. Przez nieuwagę poślizgnęła się i poczuła w nodze dotkliwy ból.

Jan spiesznie podbiegł do niej i pomógł jej wstać.

— Co się stało, proszę pani? Czy pani się skaleczyła?

Madzia podniosła ku niemu pobladałą twarz.

- Zdaje się, że skacząc, skręciłam nogę! Ale to nic ważnego, muszę tylko trochę odpocząć — odparła i usiadła na głazie.
- Może pani pozwoli mi obejrzeć nogę? Może to coś poważniejszego? — zapytał głosem pełnym troski.

Poruszyła kilka razy nogą. Później przecząco potrząsnęła główką. Nie czuła już tak wielkiego bólu, jak w pierwszej chwili.

— Nie, to naprawdę nic ważnego i zapewne wkrótce przejdzie!

132

Niech pan sobie nie przeszkadza z mego powodu. Nie chciałabym zatrzymać pana...

Uśmiechnął się serdecznie.

— Czy pani naprawdę sądzi, że zostawiłbym panią samą? Muszę przecież przekonać się, czy pani nie potrzeba pomocy i czy pani będzie mogła o własnych siłach wrócić do domu.

Twarz dziewczyny spłonęła rumieńcem.

— Jakież to dziwne! Ilekroć znajduję się w trudnym położeniu, zawsze spotykam pana. Zjawia się pan niby na zawołanie, by ratować mnie w nieszczęściu — rzekła, zmuszając się do żartobliwego tonu.

Jan Raveneck oparł się o drzewo.

- Za to też jestem szczególnie wdzięczny przypadkowi. Madzia zaczerwieniła się jeszcze mocniej.
- To tylko ja mam powody do wdzięczności.
- Nie sprzeczajmy się o to. Czy noga bardzo boli?
- Troszeczkę! Będę musiała jeszcze chwilę posiedzieć bez ruchu.

— Pozwoli pani, że dotrzymam jej towarzystwa. To miejsce jest zresztą urocze. Niech pani spojrzy, jakież to wspaniały krajobraz!

Jan Raveneck starał się zachować spokój. Umyślnie rozpoczął rozmowę na zdawkowy temat, aby nie wprawiać Madzi w większe zakłopotanie. Madzia ochłonęła już także ze wzruszenia i odpowiedziała:

- Cudny! Wspięłam się na ten głąz, aby z tego miejsca podziwiać okolicę.
- Szkoda tylko, że drzewa nie są jeszcze zielone. Wyobrażam sobie, jak pięknie musi tu być latem.

- Albo podczas zimy, gdy wszystko jest zasypane śniegiem.
- Czy pani jest po raz pierwszy w Obergriesbach?
- Tak!

— Ach, jaka szkoda! Sądziłem, że pani była zeszłego roku latem w domu pani Hartau!

— Dlaczego żałuje pan, że nie byłam tu zeszłego lata?

— Bo gdyby pani tu była, to mogłaby mi pani udzielić informacji o mojej matce.

— O pańskiej matce?

133

— Tak! Dowiedziałem się przypadkiem, że moja matka spędziła w ubiegłym roku kilka tygodni w Obergriesbach. Mieszkała u pani Hartau. Nie widziałem jej od wielu, wielu lat. Wyjechałem przed wojną, tułałem się po świecie, wreszcie zostałem internowany w Tsi-ngtao w obozie dla jeńców wojennych. Kochałem moją matkę ponad wszystko! Niestety, po powrocie do kraju nie zastałem jej już przy życiu. Biedaczka umarła, nie doczekawszy się mego powrotu. Gdy przybyłem do Obergriesbach, zobaczyłem w księdze przyjezdnych jej nazwisko. Oberżysta powiedział mi, że matka mieszkała u niego przez jeden dzień, a później przeniosła się do domu pani Hartau. Byłbym chętnie dowiedział się czegoś bliższego o matce. Przez tyle lat byliśmy rozłączeni. Nie miałem od niej żadnych wiadomości, a przy tym złożyło się tak, że i ja nie mogłem do niej pisywać. Nie miała więc ode mnie nawet znaku życia... Tak, to są smutne sprawy, nie mówmy o tym... Ale może pani знаła moją matkę? Przecież pani również mieszka stale w G...?

Madzia z rosnącym zaciekawieniem słuchała jego słów. Ogarnęło ją dziwne podniecenie, jakiś nieokreślony niepokój. Po twarzy jej przebiegły drgawki. Podniosła nagle ręce.

— Zeszłego lata bawiła u mojej cici jedna tylko osoba, jej przyjaciółka z młodych lat. Ale to... nie, to niemożliwe... to chyba nie mogła być pańska matka...

Jan zbliżył się do niej.

— Przepraszam bardzo, że dotychczas nie przedstawiłem się pani. Nazywam się Raveneck. Matka moja była żoną pułkownika Ravenecka, poległego na wojnie...

Dreszcz wstrząsnął postacią dziewczyny. Zbladła jak płótno i oczyma, pełnymi lęku spojrzała na Jana.

- Nie... Niepodobna... To niemożliwe... To chyba jakaś pomyłka. A może pańska matka miała dwóch synów?
- Nie, łaskawa pani, byłem jedynakiem. Czy pani znała moją matkę?

Madzia przyłożyła do czoła drżące dłonie.

— Jeżeli pan ma na myśli panią pułkownicową Lenę Raveneck, z domu Sartorius, to znałam ją dobrze i często u niej bywałam. Pielęgnowałam ją przed śmiercią... Ale, ale... Nic nie rozumiem.

134

Zdaje mi się, że postradałam zmysły... Mój Boże! Kim pan jest właściwie?

Ostatnie słowa Madzi brzmiały jak zduszony okrzyk. Jan Rave-neck spojrzał pytająco na dziewczynę.

— Widzę, że pani jest bardzo wzburzona, lecz nie rozumiem dobrze przyczyny tego wzburzenia... Co się tyczy mojej osoby, to mogę powtórzyć raz jeszcze: Helena Raveneck, z domu Sartorius — była moją matką. Nazywam się Jan Raveneck!

Madzia zerwała się, lecz poczuła tak silny ból w skręconej nodze, że o mało nie straciła równowagi. Jan podbiegł szybko i podtrzymał ślaniającą się dziewczynę.

— Jan Raveneck? To pan? To pan?

Spojrzał na nią, na dobre zaniepokojony.

— Co panią tak poruszyło? Dlaczego pani jest taka wzburzona? Czemu to moje nazwisko zdaje się wywierać na pani tak wielkie wrażenie? — zapytał, a w jego szarych oczach pojawił się wyraz tak wielkiej, bezgranicznej tkliwości, że Madzia zadrżała.

Niby urzeczona spoglądała w jasne, dobrotliwe oczy, które otwarcie, szczerze, bez cienia fałszu rozświecały opaloną twarz Jana. Była tak zdenerwowana, że dygotała jak liść osiki. Jan wspierał ją mocno ramieniem obawiając się, by nie upadła. Twarz miała bladą jak opłatek, w spojrzeniu malowało się niespokojne pytanie.

Z trudem starała się odzyskać panowanie nad sobą.

- Jan Raveneck? Więc to pan?
- Tak, proszę pani.

Wlepiła oczy w jego twarz, zdawała się studiować ją dokładnie. Tak, rysy te bardziej niż kiedykolwiek wydawały się od dawna znane i widziane. Tak, to były te same wąskie, pełne wyrazu usta; te piękne szare oczy i oryginalnie zarysowane brwi Ravenecków. Przecież od pierwszej chwili miała wrażenie, że zna dobrze tę twarz! Przygodny towarzysz podróży wydawał się od razu znajomym, podczas gdy tamten, który także podawał się za Jana Ravenecka — sprawiał wrażenie obcego.

Madzia ciężko westchnęła.

— Tak... tak... to bardzo dziwna sprawa... Jan Raveneck... Więc



to pan? Ale na miłość boską, któż to w takim razie jest... ten drugi... tamten...?

Osunęła się bezsilnie na skalny głaz. Jan spoglądał na nią nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Słowa pani brzmią tak zagadkowo, że nie mogę nic pojąć...  
Widzę, że pani jest bardzo zdenerwowana, lecz nie rozumiem przy  
czyny. Może zachodzi tu jakaś pomyłka? Powiada pani: kim jest  
tamten? O kim pani właściwie mówi?

Przycisnęła ręce do skroni, jakby dopiero musiała sobie przypomnieć, o kim mowa.  
Później znowu badawczo spojrzała na Jana.

- Niech pan mi powie jak się nazywa kuzyn pańskiego ojca? — spytała.
- Ojciec miał w ogóle tylko jednego kuzyna. Jest to Jerzy Ravenek, właściciel majątku Lindenhof. Posiada on jedynego syna, Alfreda. Gdy wyjeżdżałem z kraju, Alfred był małym chłopcem, chodził jeszcze do szkoły. Poza tym nie mam innych krewnych.

Madzia ze zdumieniem potrząsnęła głową.

- Jakież to dziwne! Jakże dziwne! Czy pan przez cały czas nie miał wiadomości z kraju?
- Niestety, nie miałem! Uciekłem w świat wbrew woli ojca. Ojciec nie mógł mi tego wybaczyć. Miał do mnie wielki żal, toteż wszystkie listy, jakie pisywałem do domu, odsyłał z pdwrotem nie rozpieczętowane. Jestem przekonany, że matka nie wiedziała o tym. W każdym jednak razie zostałem w ten sposób pozbawiony zupełnie wiadomości z domu.

Madzia przesunęła ręką po czole.

- Niech pan mi powie jeszcze jedno... Jak pan pożegnał się z matką przed wyjazdem z kraju?
- Niestety, nie mogłem się nawet pożegnać z nią... Nie powiedziałem jej wcale o moich zamiarach. Mama bałaby się o mnie, nie chciałaby mnie puścić... Lękałem się, że z obawy o mnie, zdradzi ojcu mój plan ucieczki. Dlatego milczałem aż do ostatniej chwili. Napisałem tylko pożegnalny list do mamy, który położyłem w jej pokoju na toaletce.

Madzia wyciągnęła błagalnym ruchem ręce.

— Co napisał pan matce w tym liście? O, zaklinam pana, niech pan mi powie!

Jan powtórzył niemal dosłownie treść owego listu. Madzia drżąc na całym ciele przycisnęła dłonie do serca.

— Tak, pan na pewno mówi prawdę... Mój Boże... Mój Boże...  
Ale tamten... Któż to może być?

— O kim pani mówi? Kogo pani ma na myśli?

— Tego człowieka, który także nazywa się Jan Raveneck i który się jako taki wylegitymował!

— Co? Co takiego! Gdzież on przebywa?

— W Lindenhofie. W swoim czasie dano ogłoszenie do wszystkich największych pism krajowych i zagranicznych, że poszukuje się spadkobiercy Jerzego Ravenecka. Na skutek tego ogłoszenia zgłosił się w styczniu Jan Raveneck z Buenos Aires. W lutym przybył do Lindenhofu, aby objąć spadek po swoim stryju Jerzym. Alfred zginął na wojnie, a pan Jerzy umarł wkrótce po jego zgonie. Pozostawił testament, na mocy którego głównym spadkobiercą miał zostać jego bratanek, Jan Raveneck. Radca Bern dał do pism to ogłoszenie... no i wtedy właśnie zjawił się tamten i objął spadek...

Madzia mówiła prędko, wyrzucając z siebie słowa. Płonęła cała niby w gorączce.

Teraz Jana ogarnęło bezgraniczne zdumienie. Ta opowieść dziewczyny wytrąciła go z równowagi. I nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

— Opowiem pani, jak to się mogło stać, że inny człowiek po wrócił do kraju zamiast mnie i że podszywa się pod moje nazwisko.

Jan Raveneck w zwięzłym zarysie opowiedział swoje przeżycia od chwili wyjazdu do Hongkongu. Wspomniał, iż otrzymał posadę sekretarza u pana Stenhove'a.

Następnie bardziej szczegółowo opisał swoją wycieczkę wakacyjną i spotkanie z Norbertem Greinsbergiem. Mówił, jak doszła ich wieść o wybuchu wojny, z jakim trudem przedzierali się wśród gór. Opowiedział, że zabłądzili w tym okropnym górskim labiryncie; dokuczał im głód, opadli z sił.

— Wreszcie nadeszła chwila, gdy poczułem, że dalej nie ujdę kroku. Wtedy powiedziałem do mego towarzysza, aby mnie zostawił

137

samego i starał się ratować własne życie. Dałem mu jeszcze mój pamiętnik z prośbą, by doręczył go mojej matce. Co się ze mną później stało, tego nie wiem, bo straciłem przytomność. Norbert Greinsberg widział, że padam. Sądził, że umarłem. Zabrał moje papiery i ruszył w dalszą drogę...

Opowiadanie Jana Ravenecka wzruszyło Madzię do głębi. Oczy jej zasnuły się wilgotną mgłą.

— Mój Boże, ile się pan nacierpiał! Pan i pańska biedna matka!

— Mniejsza o mnie! Jestem młody, silny, potrafię niejedno prze trzymać! Gdy jednak pomyślę o mojej słabej, delikatnej matce, o jej cierpieniach... O, Boże! Jakież to bolesne, że już nie żyje...

Głos jego załamał się. Odwrócił się, aby ukryć swoją boleść. Madzia milczała, nie chcąc mu przeszkadzać. Rozumiała dobrze jego ból. W cudnych, uduchowionych oczach dziewczyny pojawił się wyraz bezgranicznego współczucia.

Po chwili Jan spojrzał znowu na Madzię. Oczy jej zdradziły mu, że i ona cierpi w tej chwili — cierpi wraz z nim.

Jan ujął rękę Madzi i przytrzymał w swoich dłoniach. Dziewczyna nie wzbraniała mu tego. Czuła, że Jan szuka u niej pociechy i zrozumienia.

Zaczęła mu szczegółowo opowiadać o matce, zwłaszcza o jej ostatnich dniach życia i o nagłej śmierci.

Potem opowiedziała Janowi o swojej przyjaźni z Alfredem i o jego ojcu, do którego była przywiązana jak córka.

Podczas tego opowiadania przyszło jej na myśl, że przecież Jerzy Raveneck przeznaczył ją w swoim testamencie bratankowi za żonę. Zamilkła z rumieńcem na licu i spuściła oczy. Nie śmiała spojrzeć na Jana.

Obrzucił spojrzeniem jej pochyloną główkę.

— Wydaje mi się, że znamy się od lat... Doznaję uczucia, że powróciłem do kraju tylko dlatego, by znaleźć panią. Może pani uważa, iż to wyznanie jest za śmiałe, że nie mam prawa tak mówić... Znamy się mało, to prawda. Nie śmiem nawet przypuszczać, by w pani sercu kiełkowało to samo uczucie, które ja żywię dla pani. A jednak to prawda. Uczucie to zbudziło się nagle, lecz szybko wzrosło, stało się mocne i potężne... W rękach pani spoczywa mój

138

los. Od pani będzie zależało, czy po wszystkich walkach i rozterkach spotka mnie ogromne, nieopisane szczęście. Mogę je tylko znaleźć przy pani. Nie chcę nalegać, nie chcę pytać, czy wolno mi przynajmniej mieć tę nadzieję. Proszę jedynie o odpowiedź na jedno pytanie: czy pani jest jeszcze wolna? Czy żaden mężczyzna nie ma do pani prawa?

Spojrzała w jego piękne, jasne oczy promieniejące najszczerzą, gorącą miłością. Ach, jakże inne były te oczy od oczu tamtego człowieka, który przybył do Lindenhofu i bezprawnie zajął miejsce Jana. Rozkoszne uczucie oładnęło dziewczyną.

— Nikt nie ma do mnie prawa! — szepnęła.  
Przytulił usta do jej rąk.

— Nie będę już pytał o nic... Obawiam się, że w przeciwnym razie będzie mnie pani uważać za zuchwalca i każe mi pani stąd odejść. Czy mogę pozostać?

Spojrzała na niego ufnie, pełna wiary, płynącej z kochającego serca.  
— Niech pan zostanie...  
Oczy Jana zabłyśły.

— Jeżeli tak, to wszystko dobrze. Na razie muszę milczeć. Wkrótce jednak nadejdzie dzień, gdy będę mógł opowiedzieć pani, co się dzieje w moim sercu. Teraz powinienem przede wszystkim stwierdzić tożsamość mojej osoby i bronić moich praw, a tym samym zdemaskować owego oszusta. Może to być tylko Norbert Greinsberg. Im bardziej zastanawiam się nad tym, tym bardziej upewniam się w moich przypuszczeniach. Czy mogłaby pani opisać mi dokładnie, jak wygląda tamten człowiek?

Madzia dokładnie opisała wygląd Norberta. Wszystko zgadzało się co do joty. Na koniec Madzia dodała jeszcze:

— Na prawej ręce ma brzydką bliznę.

— Ależ to on! Nie ulega wątpliwości! Zapewniam panią, że już niedługo będzie grał rolę pana w Lindenhofie! Istnieje dosyć rozmaitych dróg i środków, aby ujawnić prawdę, nawet w tym wypadku, gdyby mój widok nie skłonił Norberta do kapitulacji. A teraz mam do pani prośbę.

— Słucham pana...

139

— Niech pani mi opowie dokładnie o pojawieniu się tego pana w Lindenhofie. Czy wiadomo pani, co zawierał testament stryja Jerzego? Radbym poznać wszystkie szczegóły...

Głośno, mocno zabiło serce dziewczyny. Szczegóły testamentu... Jakże ma o tym opowiedzieć? Jakich słów użyć? Przecież musiałaby mu wyjawiać, że... że... Nie, to chyba nie przejdzie jej przez usta...

Milczała długą chwilę. Potem spojrzała z wahaniem na Jana.

— Tak, panie Janku, powiem wszystko. Przecież pan musi wszystko wiedzieć... Otóż ja uciekałam do Obergriesbach przed tamtym człowiekiem...

- Pani uciekła? Dlaczego?
- Bo... bo... przez kilka tygodni byłam z nim zaręczona... Jan pobrał. Płonącymi oczyma zmierzył Madzię.
- On był pani narzeczoną? Ten oszust?
- Tak...
- Czy kochała go pani?
- Nie, nie... To był przymus...
- Jak mam to rozumieć?

— Zaraz panu wytłumaczę, chociaż trudno mi mówić o tej sprawie... Otóż cała rodzina starała się wpłynąć na mnie... Zmuszono mnie i zgodziłam się zostać jego żoną, jeszcze zanim go poznałam, ponieważ miałam zostać żoną Jana Ravenecka. O Janie Ravenecku wiedziałam niewiele. Widziałam kilka razy jego fotografię z młodych lat... Pamiętam tylko, że miał piękne, szare oczy, szczere miłe spojrzenie... I... i...

— Proszę, niech pani mówi dalej! — szepnął Jan błagalnie.

— Jerzy Raveneck zarządził w swoim testamencie, że mam poślubić jego bratanka, Jana, i zostać panią Lindenhofu. Zgodziłam się, uczyniłam to dla moich rodziców i braci... Później przyjechał tamten. I zaledwie go ujrzałam, doznałam uczucia okropnego zawodu. Był inny, zupełnie inny, niż sobie wyobrażałam, zgoła niepodobny do tej fotografii... Zrozumiałam, że nie zdołam go pokochać, nigdy, nigdy... Był to jakiś obcy człowiek i czułam, że zawsze pozostanie dla mnie taki. Okazywałam mu jawnie chłód i obojętność, nie pozwoliłam nawet, by nazywał mnie po imieniu. A przy tym na sam jego widok ogarniał mnie dziwny, niewytłumaczony lęk...

140

— Biedne maleństwo! — szepnął Jan.

— Tak, czułam do niego wstręt i odrazę, lecz mimo to byłam związana słowem. Zobowiązałam się na piśmie, iż poślubię Jana Ravenecka. Moi rodzice znajdowali się wówczas w okropnym położeniu. Byliśmy nie tylko ubodzy, lecz po prostu nie widziało się żadnych możliwości na przyszłość. Groziła nam nędza. Dla nich więc chciałam ponieść tę ofiarę. Aż tu pewnego dnia — właśnie tego dnia, gdy spotkaliśmy się na dworcu w Berlinie — człowiek ten chciał mnie pocałować. Mówił, że jest moim narzeczoną, że mu się

należy narzeczęński pocałunek... Usiłowałam tego uniknąć... Wów czas porwał mnie w objęcia i pochylił się nade mną... Nie wiedziałam co robię... Wiedziałałam tylko, że za nic w świecie nie pozwolę na to... I wtedy... z całej siły uderzyłam go w twarz i uciekłam. Pobiegłam wprost do cioci Maryni i wyznałam jej wszystko. Ciocia pomogła mi uciec. Dlatego też wyjechałam bez żadnych przygotowań, zupełnie sama...

Madzia zamilkła wyczerpana. Siedziała blada i drżąca, ze spuszczonej oczyma. Widać było, jak wiele kosztowało ją to wyznanie. Dygotała na samą myśl o tej niedawnej przeszłości, związanej z osobą fałszywego Jana Ravenecka. Była niezmiernie wzburzona.

Jan zbliżył się do dziewczyny i ruchem delikatnym, pełnym czułości, pogładził złocistą główkę.

- Niech pani się uspokoi, niech pani otrząśnie się z tych przykrych wspomnień... Przecież to minęło...
- Tak, to prawda! Chwała Bogu, najgorsze minęło! Oto list cioci Maryni, niech go pan przeczyta.

Drżącymi rękami wydobyła z torebki list cioci. Nosila go zawsze przy sobie, gdyż pismo to dawało jej poczucie, że naprawdę jest wolna.

Jan Raveneck z tłumionym wzruszeniem wysłuchał opowieści Madzi. Nie posiadał się ze wzburzenia. Gdyby już poprzednio nie był wiedział, że ją kocha, to obecnie, usłyszawszy jej dzieje, zyskałby tę pewność. Uświadomił sobie teraz w całej pełni, czym jest dla niego ta urocza istota, jak wielkie i potężne wzbudziła w nim uczucie.

Wziął z jej ręki list, a jednocześnie przytrzymał w uścisku tę drobną rączkę.

141

— Madziu! Więc stryj w swoim testamencie przeznaczył mi panią za żonę? Och, Madziu, Madziu!

Przytulił jej dłonie do ust, potem do oczu. Ucałował żarliwie smukłe palce. Później dopiero delikatnie wyjął list z jej rąk. Spojrzała na niego zawstydzona i szepnęła nieśmiało:

— Pana nikt nie może zmusić do małżeństwa ze mną. Panu ten testament pozostawia wyjście...

Uśmiechnął się czule do Madzi.

— Z którego ja na pewno nie skorzystam! Przecież wiesz o tym dobrze, Madziu! Odnoszę wrażenie, że Opatrzność czuwała nad nami. Za jej cudownym zrządzeniem spotkaliśmy się, nie wiedząc nic o testamencie. Przeznaczone nam było zbliżyć się i pokochać w peł

nej niezależności od cudzej woli i względów materialnych. Dlatego też nic nas nigdy nie rozdzieli!

- Tak, to prawda — odparła Madzia z promiennym uśmiechem.
- Teraz dopiero przeczytam list pani Hartau.

Zabrał się do czytania, a później rzekł z westchnieniem ulgi.

— Muszę sobie w spokoju obmyślić plan działania. Niech pani się nie martwi, znajdziemy jakiś sposób. Załatwimy to tak, by oszczędzić pani dalszych walk. Proszę mi ufać, jak dotychczas.

— Och, ja przecież ufam panu...

— To doskonale! A jak tam nóżka? Czy będzie pani mogła powrócić o własnych siłach? Jeżeli nie, to zaniosę panią.

Madzia podniosła się. Chodzenie nie sprawiało jej bólu. Jan pieczołowicie podpierał ją ramieniem. Gdy mieli do przejścia jakieś trudniejsze, bardziej uciążliwe miejsca, brał Madzię po prostu na ręce i przenosił ją.

Doznawała w jego ramionach rozkosznego uczucia spokoju i zupełnego bezpieczeństwa. Twarzyczka jej promieniała szczęściem bez granic. Raz po raz spoglądała na Jana, zatapiając rozjaśnione oczy w jego szarych źrenicach.

Stara Basia ujrzała młodą parę z daleka i wybiegła spiesznie na drogę.

— Oj, mój Boże kochany! Co się stało panno Madziu? Przecież panienka kuleje! — zawołała z przestrawieniem w głosie.

— Panna Madzia uległa wypadkowi, ale to nic wielkiego. Mimo

142

to musiałem pannę Madzię odprowadzić do domu. Trzeba przykładać zimne kompresy, a jutro wszystko się zagoi.

Basia przyrzekła pielęgnować Madzię i chciała ją sama zaprowadzić na wzgórze. Lecz Jan wziął Madzię na ręce i zaniósł ją aż na próg domku.

Zanim wypuścił z objęć swój słodki ciężar, szepnął:

- Do widzenia, Madziu! Najdroższa Madziu! Spojrzała na niego z lękiem.
- Ale pan nie wyjedzie, nie zobaczywszy się ze mną?
- Na pewno nie!

Teraz zbliżyła się do nich Basia.

- Przyjdę tutaj jutro dowiedzieć się o zdrowie panny Madzi. Do widzenia!
- Bóg zapłać, wielmożny panie! Czy to aby nic poważnego? A może pójść do doktora? Czy panienkę bardzo boli?
- Nie, nie Basiu! Nie trzeba mi doktora! Do jutra wszystko przejdzie — odparła Madzia i rozmarzonym wzrokiem powiodła za oddalającym się Janem.

Odwrócił się na chwilę i uklonił się z oddali. Oczy jego jaśniały uśmiechem szczęścia.

\* \*

\*

Stara Basia troskliwie zakrzętała się koło Madzi. Potem wyszła, a dziewczyna pozostała sama ze swymi myślami. Siedziała w wygodnym fotelu przy oknie w bawialni i przeżywała raz jeszcze to wszystko, co przydarzyło się jej w ciągu ostatnich godzin.

Czuła lekki zamęt w głowie, była trochę oszołomiona. Nie przestawała myśleć o Janie. Widziała przed sobą jego smagłą twarz, jasne oczy i energiczne usta, rozchylone miłym uśmiechem. I doznawała wrażenia, że burzliwe, niespokojne życie, pełne wirów i zasadzek nie będzie dla niej nigdy niebezpieczne, że losem jej pokieruje mocna, szlachetna ręka, która ustrzeże ją od zła.

Uspokoila się trochę.

Od czasu, gdy spotkała na drodze życia Jana, spłynęło na nią

143

ukojenie. Dobry, drogi Janek! Czy też potrafi obronić swoje prawa? Czy ów Norbert Greinsberg, ten zły, brutalny człowiek nie zdoła go pokonać? Czy Janek będzie mógł bez zastrzeżeń dowieść swej tożsamości? Bo może tamten zacznie prowadzić walkę, posługując się jakimiś niedozwolonymi środkami... Była pewna, że Greinsberg bez walki nie odda bogatego dziedzictwa. Gotów jeszcze udowodnić, że Jan nie ma praw do spadku, że to on jest oszustem!

Dziewczyna powiodła oczyma w dal... Ogarnęła ją nagle tęsknota za ciotką Marynią. Ciocia Marynia tak dobrze, tak mądrze umiała ją pokrzepić na duchu, dodać odwagi. Dzięki niej życie Madzi mogło teraz płynąć spokojnie, gładko...

Tak, ciocia Marynia i radca Bern! Tych dwoje trzeba zwerbować jako pomoc dla Jana Raveńska! Tylko jak to zrobić, jak nakłonić ich do tego? Nie ma innej rady, trzeba zwierzyć się cioci Maryni.

Madzia poprosiła Basię o przybory do pisania i rozpoczęła list do ciotki:

*Ukochana ciociu Maryniu! Znowu zwracam się do Ciebie, aby powierzyć Ci to wszystko, co przepelnia moje serce. Przecież nikomu nie ufam jak Tobie. Proszę Cię jednak, abyś nikomu nie wspominała o tym, co Ci mam do zakomunikowania. Musi to na razie zostać tajemnicą, zwłaszcza że nie jest to moja osobista sprawa. Wiem, że Ty nie zdradzisz mej tajemnicy. Posłuchaj więc, co przeżyłam od chwili, gdy znalazłam się na dworcu Anhaltkim w Berlinie.*



Tu nastąpił szczegółowy opis podróży, spotkania z Janem i ostatniej rozmowy między nimi. Madzia nie opuściła ani słowa z tej rozmowy, o ile nie dotyczyło ono ich miłości. Potem napisała:

*Możesz sobie wyobrazić, jakie to na mnie wywarło wrażenie! Czułam że Jan Raveneck mówi prawdę! Ty także uwierzyłabyś mu bez zastrzeżeń. Zrozumiesz chyba, że zależy mi na tym, by ktoś pomógł mu w odzyskaniu słusznych praw. Ja sama, niestety, nie mogę nic uczynić dla niego. To też proszę Cię, pomów*

144

*z radcą Bernem! Wobec niego zwalnim Cię z obowiązku milczenia, on powinien wiedzieć wszystko!*

*Pomów tedy z radcą Bernem! Wiem, że i on nie bardzo lubi tego fałszywego dziedzica Lindenhofu, jestem pewna, że udzieli chętnie rady i pomocy Janowi Raveneckowi.*

*Droga cioteczko, ja chyba długo nie wytrzymam w Obergries-bah. Jan Raveneck przyjedzie wkrótce do G... bronić swoich praw. A gdy on tam będzie, aby zdemaskować tego Norberta Greinsber-ga, wtedy i ja muszę tam być! Tutaj umarłabym z niepokoju. Jan zapewne wyjedzie stąd w ciągu najbliższych dni. Gdyby przyjechał przede mną, to przyjmij go dobrze. Z całą pewnością zgłosi się w Krumpendorfie. Ponieważ Ty również widziałaś jego fotografię z młodych lat, więc poznasz go od razu po podobieństwie. Właściwie niewiele się zmienił, wygląda teraz tylko znacznie poważniej.*

*Kończę mój list i proszę Cię o szybką odpowiedź. Całusy i pozdrowienia*

*Kochająca Madzia*

Skończywszy pisanie, dziewczyna odetchnęła z ulgą. Już chciała włożyć list do koperty, gdy nagle ogarnęły ją pewne wątpliwości. Może źle uczyniła, pisząc ten list — może niepotrzebnie mieszała się do spraw Jana? A jeżeli taki list będzie mu nie na rękę?

Po chwili namysłu wzięła świeży arkusik papieru i skreśliła następujące słowa:

*Drogi Panie Janku! Napisałam do mojej ciotki Ust, który załączam; nie chcę go wysłać, nie dawszy go Panu uprzednio do przejrzania. Mam wątpliwości czy nie krzyżuję w ten sposób Pańskich planów. Może Pan śmiało polegać na dyskrecji cioci Maryni i radcy Berna. Oni na pewno pomogą Panu, a taka pomoc ludzi mądrych i doświadczonych może się Panu przydać. Niech pan zawiadomi mnie przez Basię, czy Pan wyśle ten list. Szczerze oddana*

*Magdalena von Schlettau*

Włożyła obydwie listy do koperty i przywołała Basię. Poprosiła ją, aby poszła do „Bawarskiej Korony”, oddała list panu Ravenec-kowi i poczekała na odpowiedź.

145

Basia wzięła list i spytała z wahaniem:

— A czy moja pani nie gniewałaby się o to? Ja bardzo panienkę przepraszam, że się tak pytam... Ale nie chciałabym nic zrobić przeciw woli mojej pani...

Madzia z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Ciocia na pewno nie gniewałaby się o to. Gdyby Basia знаła mnie lepiej, to wiedziałaby, że nie zrobię nic złego. Basia może być zupełnie spokojna. Nie posyłam panu Raveńckowi miłosnego listu. Ciocia Marynia przeczyta każde słowo tego listu.
- Skoro tak, to dobrze! Niech panienka nie gniewa się na mnie. Ale to bardzo trudno czuć nad młodą panienką z miasta. A moja pani kazała mi opiekować się troskliwie panną Madzią.
- Nie gniewam się, Basia miała słuszość. Nikt nie będzie Basi robił wyrzutów.

Basia powędrowała tedy do gospody „Pod Bawarską Koroną” i zastała tam Jana.

Ujrwszy Basię, przestraszył się.

— Czy panience się co stało, Basiu?

— Uchowaj Boże! Panienka prosiła, by oddać ten list. Mam poczekać na odpowiedź. Zgodziłam się, bo panna Madzia powiedziała, że nie ma w tym nic zdrożnego...

Twarz Jana zajaśniała taką radością, że Basię znowu ogarnął niepokój. A może to był jednak list miłosny?

— Basia może być zupełnie spokojna — powiedział z powagą — jeżeli panna Madzia coś robi, to nigdy nie ma w tym nic zdrożnego!

Basia uspokoiła się znowu.

— Ano, kiedy tak, to dobrze!

— Niech Basia sobie usiądzie i chwileczkę poczeka. Zaraz skończę czytać list i dam odpowiedź.

Stara Basia musiała jednak czekać dość długo. Wreszcie jednak Jan wręczył jej list dla Madzi. Treść tego pisma brzmiała:

*Droga Panno Madziu!*

*List, napisany do pani Hartau jest bardzo dobry, dziękuję Pani bardzo. Wyślę go natychmiast. Tymczasem w głowie mej powstał pewien plan i postanowiłem na kilka dni wyjechać.*

146

*Pamiętam, iż Norbert Greinsberg opowiadał, że pochodzi z Freiburga. Pojadę tedy do jego rodzinnego miasta i zbiorę trochę informacji o jego przeszłości. Jest to bardzo ważne, gdyż w ten sposób zdołam ustalić jego tożsamość. Doprowadzi mnie to prędzej do celu, niż gdybym napisał do Hongkongu i starał się tą drogą stwierdzić moją tożsamość. Będę miał dowody przeciw niemu na wypadek, gdyby się chciał zapierać lub przeczyć.*

*Z Freiburga przyjadę na pewno wprost do Obergriesbach. Może to jednak potrwać kilka dni. Właściwie jestem nawet rad, że wyjeżdżam i że będę miał jakieś zajęcie. Przecież chwilowo nie mógłbym widywać Pani i rozmawiać z Nią bez świadków. A przebywać w Obergriesbach, nie widując Pani — to dla mnie zbyt ciężka próba. Proszę się na mnie nie gniewać za to wyznanie. Do widzenia!*

*Serdecznie oddany*

*Jan Raveneck*

Madzia nie miała do Jana żalu za jego wyznanie. Przeciwnie, ucieszyła się bardzo. Uczucie niezmiernie błogie przepełniało jej młode serce. Wszakże słowa Jana świadczyły tylko, że nie jest mu obojętna.

\* \*

\*

Madzia po kilku dniach mogła już wstać. Noga przestała boleć. Mimo to dziewczyna nie oddalała się od domu. Przeważnie pomagała Basi przy pracy w ogródku, albo też przesiadywała na ławce przed domem.

Czekała... Czekała na wiadomość od cioci Maryni i na powrót Jana.

W trzy dni po wysłaniu listu do cioci Maryni nadeszła wczesnym rankiem depesza.

*List otrzymałam. Przybywam jutro tym samym pociągiem. Maria*

147

Madzia wyskoczyła z łóżka.

— Basiu! — zawołała. — Ciocia Marynia dziś przyjeżdża. Pewno w tej chwili dojeżdża już do Monachium. Przyjedzie tym samym pociągiem, co ja...

Ta radosna wieść zelektryzowała starą Barbarę. Wybiegła do kuchni i zaczęła się krzątać po mieszkaniu, aby wszystko przygotować godnie na przyjęcie swojej ukochanej pani.

Madzia ubrała się prędko i zaczęła pomagać Basi. Cieszyła się, że może coś robić, gdyż w ten sposób łatwiej dawało się pokonać ten dziwny niepokój wewnętrzny, jaki nią owładnął.

Mimo to godziny wlokły się, każda wydawała się wiekiem. Wreszcie czas jakoś zbiegł. Madzia podażyła na stację po ciocię Marynię.

Przybyła za wcześnie i musiała jeszcze kilkanaście minut przeczekać. Na koniec pociąg nadjechał. Śmiejąc się i płacząc zarazem rzuciła się dziewczyna w objęcia cioci Maryni.

— Oto jestem, dziecinko! Mam wrażenie, że mnie w tej chwili bardzo potrzebujesz. Nie pozwolę, abyś jeszcze raz odbywała sama tak daleką podróż. Skoro jednak chcesz koniecznie powrócić do domu, tedy spakowałam manatki i przyjechałam po ciebie. Jana Rave-necka zabiorę także, o ile pozwoli na to.

- Ciociu, jego tu chwilowo nie ma!
- Nie? A dokąd wyjechał?
- Do Freiburga!

I Madzia opowiedziała ciotce o planach i zamiarach Jana Rave-necka.

Pani Maria uśmiechnęła się filuternie.

— Widzę, że się niepotrzebnie tak pośpieszyłam. Otóż natychmiast po otrzymaniu tego listu, udałam się do radcy Berna. Dałam mu twój list do przeczytania...

— A co powiedział pan radca?  
Maria Hartau roześmiała się.

— Hm! Przede wszystkim cichuteńko zagwizdał! Później spojrzął na mnie przez szkła binokli, podrapał się za uchem i szepnął: „Tam, do licha!”

— A potem...?

148

— Bardzo długo patrzyliśmy na siebie w milczeniu, wreszcie radca oznajmił: „Proszę kochanej pani, w tym coś jest! Trzeba dojść do sedna rzeczy. Chciałbym po pierwsze zobaczyć tę fotografię,

o której wspomina panna Madzia. Twierdzi, że ta fotografia znajduje się w skrzynce, zawierającej spuściznę po matce Jana Raveneka. Wiem, że skrzynia stoi na strychu w Lindenhofie. Mój stary przyjaciel Jerzy Ravenek mówił mi, że kazał ją tam przenieść, by zachować ją dla Janka. Wyszło mi to z pamięci! Może w skrzyni tej znajdę oprócz fotografii jeszcze jakieś inne dowody, które mogą nam pomóc przy stwierdzeniu autentyczności prawdziwego spadkobiercy. Ten, który obecnie mieszka w Lindenhofie, jest zdolny do popełnienia każdego przestępstwa — czy pani zgadza się ze mną?" Po twierdzeniu przypuszczenia radcy i zapytałam: „Ale jak pan zabierze tę skrzynię tak, aby tamten tego nie spostrzegł?" Radca zrobił spryt na minę, uśmiechnął się chytrze i powiada: „O, w tym wypadku gotów jestem popełnić jakiś czyn niezgodny z prawem! Nie uchylę się nawet przed kradzieżą czy też porwaniem. Przypomina mi się stary Jan. Miałem wrażenie, że staruszek zdziecinniał, okazuje się jednak, że miał lepsze oczy i uszy od nas wszystkich."

— Doprawdy! — zapytam.

— A tak! Stary Jan, już w kilka dni po przybyciu nowego pana, powiada do mnie: „Panie radco, nowy młody pan — to nie jest ten dawny młody pan! Musieli go nam na obczyźnie zamienić!" Śmiałem się z tego i nie zwróciłem uwagi na te słowa. Dziś widzę tę sprawę w innym świetle. Jan jest jedynym człowiekiem, który znał osobiście młodego Raveneka przed wyjazdem z kraju. Muszę go trochę wybadać. On przyniesie mi tę skrzynkę ze strychu. Przewiozę ją do mego mieszkania. O ile nie znajdę tam dowodów stwierdzających nasze podejrzenia, to każę ją znowu wstawić na strych. Niech pani jedzie w imię Boże do Obergriesbach. Trzeba czuwać nad panną Madzią! A może wpadła w ręce jakiegoś oszusta? Zaleca się jak największą ostrożność! Ja tymczasem zacznę tutaj po cichutku prowadzić dochodzenia na własną rękę. — Tak powiedział radca. No, i wobec tego widzisz mnie tutaj. Madziu!

Madzia uścisnęła jej rękę.

— Chwała Bogu, że jesteś przy mnie! Byłaś i pozostaniesz moim

149

dobrym aniołem stróżem! Mylisz się jednak sądząc, że Jan Ravenek jest oszustem!

- Masz zapewne na myśli tego Jana Raveneka, który odbył z tobą podróż z Berlina do Monachium? — zapytała z uśmiechem pani Maria.

- Tak, cioteczko, wierzaj mi, ja mam rację! Gdy spojrzysz na niego, przekonasz się o tym!
- Będę bardzo rada, moje dziecko! Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, by wnieść światło do tej sprawy. Winnam to już choćby mojej starej przyjaciółce Lenie. Kiedyż ten „twój” Jan Rave-neck wyjechał do Freiburga?

- Dziś minęło trzy dni od jego wyjazdu.
- A kiedy powróci?
- Nie wiem!
- Czy zgłosi się do ciebie?

— Sądzę, że tak. Dam ci do przeczytania list, który mi przysłał przez Basię.

Panie przybyły do domu. Basia ze szczerą radością powitała swoją panią nadleśniczynę. Później Madzia dała ciotce do przeczytania list Jana.

— Oto odpowiedź na mój list, cioteczko. Proszę cię, powiedz Basi, że to nie żaden list miłosny. Nie bardzo mi ufała...

Basia zaczęła się bronić, a pani Maria rzekła z uśmiechem:

— Dobrze zrobiłaś, Basiu! U dwojga młodych ludzi trzeba za wsze być przygotowanym na jakąś miłosną historię. Możesz jednak być spokojna, w tym wypadku wszystko jest w porządku.

— Przecież pani sama przykazała mi dobrze pilnować panienki!

— Ależ tak, Basiu, masz rację! A teraz idź i przynieś nam śniadanie. Nigdzie nie smakuje mi tak, jak u ciebie.

Basia odeszła, promieniejąc radością. Pani Hartau przeczytała list Jana, po czym rzekła z uśmiechem:

- Podejrzenia Basi nie były takie zupełnie bezpodstawne. To pismo mimo wszystko pachnie trochę listem miłosnym.
- Ach, droga ciociu! Gdy pomyślę, że mogłam poślubić tego oszusta i że później dopiero spotkałabym na mej drodze Janka... Nie, nie chcę o tym myśleć...

150

- A więc to tak, moja Madziu? A on? Daj Boże, aby twe serce wskazało ci właściwą drogę.
- Nie może być inaczej, ciociu. Spójrz na niego tylko raz, a przekonasz się, jaki to dobry, szlachetny człowiek.

Zacząła teraz opowiadać ciotce różne rzeczy, których nie napisała w swoim liście. Później zapytała o rodziców i o braci.

\* \*

\*

Jan Raveneck powrócił nazajutrz przed południem i zastał w swoim pokoju bilecik od Marii Hartau.

*Szanowny Panie! Po powrocie z podróży zechce Pan łaskawie zgłosić się do mnie, gdyż mam z panem do omówienia ważne sprawy.*

*Z poważaniem*

*Maria Hartau*

Czym prędzej pojawił się więc w domku na wzgórzu. Basia wprowadziła go od razu do bawialni, gdzie siedziały obie panie. Gdy Jan wchodził, słońce padło na jego twarz. Maria Hartau mogła mu się dokładnie przyjrzeć. Spostrzegła, że rozkochanym spojrzeniem powitał Madzię, która odpowiedziała promiennym uśmiechem. Spostrzegła również, że Madzia zarumieniła się mocno.

Zauważyła jednak jeszcze coś więcej. Znała dobrze pułkownika Ravenecka, gdy był jeszcze w wieku Jana i stwierdziła natychmiast uderzające podobieństwo między ojcem i synem. Tylko oczy — te szare oczy o tkliwym wyrazie — odziedziczył po matce. Tak, musiał być szlachetnym człowiekiem i z tego ucieszyła się pani Maria. Przecież Jan Raveneck miał zostać mężem jej ulubienicy. Wstała prędko i serdecznie podała mu rękę.

— Tak, prawdziwy Jan Raveneck — to tylko pan! Mnie nie potrzeba innych dowodów. Wygląda pan jak żywy portret swego ojca i patrzy pan na mnie oczyma swojej matki. Witam pana serdecznie!

Ucałował jej rękę.

151

— Cieszę się, że pani wierzy mi bez innych dowodów. Rad jestem bardzo, że pani przyjechała.

Powitał teraz Madzię i zwrócił się do niej.

— Głównie ze względu na panią cieszę się, że ciocia przyjechała. A także trochę ze względu na siebie. Mogę panią teraz przynajmniej odwiedzać, nie sprawiając jej kłopotu. A mam pani wiele do opowiedzenia o rezultatach mej podróży.

Maria Hartau poprosiła go, aby spoczął.

- Moja siostrzenica opowiedziała mi, jaki był cel pańskiej podróży. Czy wyniki jej wypadły pomyślnie?
- O, tak, proszę pani! Dowiedziałem się różnych rzeczy o Norbercie Greinsbergu. Czy mogę paniom opowiedzieć szczegóły?

— Prosimy bardzo!

— Dowiedziałem się bez wielkiego trudu, że Norbert, urodzony w tym samym roku, co ja — już w młodzięcym wieku stał się przestępcą...

— O Boże! — zawołała Madzia, blednąc.

— Zorganizował szajkę młodocianych przestępców i został umieszczony w zakładzie poprawczym, gdzie sprawował się nienagannie. Zwolniono go z dobrym świadectwem i wystarano się dla niego o posadę. Przez jakiś czas prowadził się bez zarzutu. Później jednak nadarzyła się sposobność do kradzieży. Norbert przywłaszczył sobie dużą sumę i uciekł z kraju. Stało się to na dwa lata przed wybuchem wojny. Wysłano za nim list gończy, lecz nie zdołano go zatrzymać... Rozmawiałem z pewnym urzędnikiem, który dokładnie znał tę sprawę. Pokazał mi fotografię Norberta umieszczoną w albumie przestępców. Poznałem go zaraz, chociaż zmienił się od tego czasu. Wspomniałem o tym urzędnikowi, a ten odpowiedział spokojnie: „Rysy twarzy mogą się zmienić, my jednak posiadamy niezawodny znak rozpoznawczy. Niech pan spojrzy, oto jest jego rysopis, a oto odcisk jego palców. Tego zmienić nie można!”

Wyznałem otwarcie urzędnikowi, dlaczego interesuję się osobą Norberta Greinsberga. Wysłuchał mnie uważnie, a potem powiedział: „Jeżeli ten osobnik, o którym pan wspomina, to naprawdę nasz Norbert Greinsberg, w takim razie będzie mu trudno udowodnić, że nim nie jest.” Poza tym w rysopisie znalazłem uwagę: „Na wierzchu prawej ręki

152

szeroka blizna, która biegnie od palca środkowego do nasady kciuka”.  
Madzia drgnęła.

- Ależ to on! — zawołała.
- Tak, panno Madziu, nie ulega wątpliwości!

— Można panu powinszować tych rezultatów — rzekła pani Maria. — Nietrudno będzie panu udowodnić, że kto inny zajął



bezprawnie pańskie miejsce. Radca Bern, wykonawca testamentu pańskiego stryja stara się także zebrać dowody pańskiej tożsamości.

Opowiedziała mu o zamiarach radcy, który postanowił wy badać starego Jana i przejrzeć zawartość skrzynki, stojącej na strychu. Jan Raveneck uśmiechnął się.

— Stary Jaś? No, gdyby ten mnie nie poznał, to opowiem mu różne szczegóły z czasów mego dzieciństwa, których nikt nie zna prócz nas dwóch. Będzie to jednak zbyteczne. Po moim zeznaniu urzędnik dał już odpowiednie instrukcje do urzędu policyjnego w G.... Norbert Greinsberg, nie wiedząc o tym, znajduje się pod dozorem. W chwili, gdy nastąpi nasze spotkanie, będzie na miejscu kilku agentów...

Maria Hartau objęła czule Madzię.

— Boże wielki! Ależ to wcale nie do pomyślenia! Jakie to szczęście, Madziu, że zdołałaś się ustrzec przed tak okropnym niebezpieczeństwem!

Madzia zbladła. Z dreszczem przytuliła się do ciotki.

— Nie mówmy już o tym, ciociu Maryniu! Teraz przynajmniej wiem, dlaczego już w pierwszej chwili zdjęło mnie takie przerażenie na widok tego człowieka!

Jan z nieopisaną tkliwością spojrzał na Madzię. Ach, jakże pragnął porwać ją w ramiona, przytulić i pocieszyć!

— A co zamierza pan uczynić teraz? — spytała pani Maria.  
Jan wyprostował się energicznie.

— Jutro rano pojedę do Monachium. Muszę tam załatwić kilka spraw handlowych. Muszę również zawiadomić moją firmę, że zapełnić nie będę mógł obłą stanowiska kierownika filii. Napiszę też dziś jeszcze do pana Stanhove'a i zawiadomię go o zmianie, jaka zaszła w moim życiu. Nie chcę się okazać niewdzięczny. Zrozumie

153

on, że jako właściciel Lindenhofu mam inne obowiązki i powinienem sam zarządzać tym majątkiem.

Pani Hartau uśmiechnęła się filuternie.

— A czy pan wie, że jako dziedzic Lindenhofu musi pan spełnić kilka warunków, które, być może, zatrują panu radość posiadania tego majątku?

Jan obrzucił rozkochanym wzrokiem spłonioną twarzyczkę Madzi.

- Znam główny warunek i wiem, że spełnienie tego warunku da mi więcej szczęścia, niż ten cały spadek!
  - Miejmy nadzieję, że tak będzie! A kiedy zamierza pan wyjechać do G..., aby ukazać się swemu przeciwnikowi?
  - Pojutrze wieczorem wyjadę do Berlina, a następnego ranka wyruszę w dalszą podróż do G... A kiedy panie zamierzają powrócić do domu? Czy mógłbym towarzyszyć paniom w charakterze opiekuna?
- 
- Co sądzisz, Madziu? Czy mamy skorzystać z tej okazji?
  - Chyba tak, ciociu Maryniu!

— Mam nadzieję, że tym razem pan Ravebeck nie zmieni swego pierwotnego celu podróży!

— Na pewno nie, proszę pani.

— Może zechce pan zarezerwować dwa miejsca sypialne dla mojej siostrzenicy i dla mnie.

— Ależ bardzo chętnie!

- Niech pan zostanie dziś u nas na obiedzie, proszę o to bardzo. Po obiedzie pogawędzimy jeszcze trochę.
- Jaka pani dobra, dziękuję serdecznie! Czy pani opowie mi później o mojej biednej matce?
- Chętnie! Usiądzie pan przy stole na tym miejscu, gdzie ona siadywała. Jej świetlany duch będzie wśród nas.

Na twarzy Jana odmalowało się głębokie wzruszenie. Nie mógł się dość nasłuchać o matce, pytał wciąż o różne szczegóły. Z wdzięcznością całował ręce pani Marii.

— Tylko pani i panna Madzia wniosły trochę słońca w samotne życie mojej nieszczęśliwej matki. Stałem się na wieki dłużnikiem pań. Ojciec był surowym i nieugiętym człowiekiem, który wobec niej wiele, wiele zawinił. Najgorsze, że nie doręczał biedaczce moich listów i zerwał między nami wszelkie nici porozumienia.

154

- Matka pańska także uważała to za najgorsze. Gdy dowiedziała się o tym, poczuła po raz pierwszy coś na kształt nienawiści. Biedna cierpliwa męczennica! Ta nienawiść stała się zarodkiem jej choroby serca. Była ponad jej siły!

- Była zbyt łagodna, zbyt cierpliwa! Nigdy nie sprzeciwiała się ojcu. Dlatego też stał się takim despotą. Później miał się przekonać, że syn odziedziczył po nim tę żelazną wolę, no i to mu nie odpowiadało. Doszło do poważnych starć!
- Więc i pan potrafi być twardy i nieugięty? — spytała pani Hartau.
- O tak! Przydało mi się to bardzo na szerokim świecie, gdzie nieraz musiałem się bronić. Twardy jestem jednak tylko dla wrogów — odparł Jan, spoglądając z tkliwym uśmiechem na Madzię.

\* \*

\*

Nazajutrz po wyjeździe pani Hartau radca Bern udał się do Lindenhofu. Nie zastał tam Norberta Greinsberga.

Radca Bern ucieszył się z tego. Rad był także, iż przyjął go stary Jan, który udzielił mu informacji.

Zauważył, że staruszek skrzywił się z pogardą, gdy była mowa o jego panu. To posłużyło mu do nawiązania rozmowy.

— No, Janie, widzę, że Jan nie może się jakoś zaprzyjaźnić z nowym panem?

Stary sługa spojrział na radcę z dziwnym wyrazem twarzy.

— Ach, panie radco, to nie może być prawdziwy Raveneck! Czegoś podobnego nie mieliśmy jeszcze nigdy w Lindenhofie! Służyłem już u ojca pana Jerzego, służyłem i jemu, i panu Alfredowi. Znałem także dobrze pana pułkownika. Był to surowy pan, żołnierska natura! Nie robił ceregieli, rozkazywał krótko i zwięźle! A znowu syn pana pułkownika, jaki to był miły chłopiec! Miał dobre serce, nie mógł patrzeć na męczarnie żadnego zwierzęcia, a cóż dopiero człowieka... A teraz powrócił jakby zaczarowany! Czasem to myślę sobie, że to jednak nie on! Może mam już na starość słaby wzrok i dlatego... Ale on i wewnątrz się odmienił, panie radco! I to

755

jest najgorsze! Dręczy zwierzęta, dręczy ludzi! Upija się wśród białego dnia, żadnej dziewczyny nie pozostawi w spokoju — nie, niech tam gadają co chcą — to nie jest prawdziwy Raveneck! Tamto byli wszyscy dumni i porządni panowie! Nigdy nie działały się tu takie zberezeństwa jak teraz! Żałuję, że tego dożył! Nie można jednak powiedzieć słowa, bo jeszcze człowieka na stare lata wypędziłby ze służby! Nie wolno mi już nawet podejść do niego, bo mnie nie znosi. Niech pan mi wierzy, panie radco, albo go nam zamienili, albo ktoś rzucił na niego czary! Radca w zamyśleniu wysłuchał starego Jana. Tak, bez wątpienia, staruszek trochę zdziecinniał, a jednak słowa jego były godne zastanowienia.

- Janie — spytał przechodząc na inny temat — zdaje się, że na strychu powinna jeszcze stać drewniana skrzynia ze spuścizną po pani pułkownikowej?
- Tak, tak, dopiero wczoraj widziałem ją, bo ścierałem kurze na strychu. Myślałem sobie właśnie, czy nie zanieść jej naszemu panu.
- Na razie nie potrzeba. Muszę jeszcze uporządkować te papiery. Może Jan przyniesie mi tę skrzynię.

— Za chwilę, panie radco.

Jan odszedł i po chwili powrócił, niosąc skrzynię. Radca niecierpliwiał się trochę. Zdjęła go obawa, że dziedzic Lindenhofu gotów zjawić się nie w porę. Na szczęście obawy te okazały się płonne.

Jan przeniósł skrzynię do samochodu.

— A niech Jan nie wspomina o tej skrzyni panu dziedzicowi. Chcę mu zrobić niespodziankę.

— Dobrze, panie radco.

Radca z zadowoleniem odjechał do domu. Nie czuł najłżejszych wyrzutów sumienia. Znalazszy się w swoim gabinecie odśrubował skrzynkę i podniósł wieko. Na samym wierzchu leżała fotografia Jana Ravenecka. Radca zaczął się badawczo przyglądać podpisowi na fotografii:

*„Ukochanej Mateczce — Jan”*

Potrząsnął głową i pilnie przyglądał się fotografii. Nie, w tej twarzy nie było ani jednego rysu, który przypominałby obecnego

156

pana Lindenhofu. Choćby nawet życie bardzo zmieniło jego twarz, jakiś cień podobieństwa powinien być przecież pozostać!

Znowu spojrzął na podpis. Bez wątpienia, mocny, energiczny charakter pisma — lecz... łatwy do naśladowania!

Radca podszedł do swego biurka. Zaczął przerzucać rozmaite papiery, leżące pod przyciskiem. Wśród nich leżał też list od właściciela Lindenhofu. Napisany był na maszynie, jak wszystkie jego listy. Radca porównał podpisy na liście i na fotografii. Przyjrzał im się uważniej przez szkła.

— Podrobiony podpis! — szepnął wreszcie. — Tak, na ten lep złapiemy ptaszka, o ile to rzeczywiście obcy ptaszek!

Fotografię Jana Ravenecka i jego pożegnalny list do matki włożył do portfela. Zamknął skrzynię.

Zaczął się niespokojnie przechadzać po pokoju. O ile obecny właściciel Lindenhofu jest rzeczywiście oszustem, to trzeba przyznać, że mu bardzo sprzyjały okoliczności. Rolę swoją grał świetnie — tak dobrze, iż udało mu się nawet oszukać doświadczonego, starego prawnika. Nie mógł się przecież domyślić, że to oszust pokazuje mu autentyczne dokumenty.

— Ale od pierwszej chwili nie cierpiałem tego bubka! — zawołał wreszcie do siebie, jakby na usprawiedliwienie.

W dwa dni później otrzymał depeszę od pani Marii:

*W środę wieczorem przyjeżdżam z Madzią i prawdziwym J. R. Oczekuję w czwartek przed południem Krumpendorfie. Maria Hartau*

— Do licha! — krzyknął radca. A więc pani Hartau jest przekonana, że obecny pan Lindenhofu to zwykły oszust.

\* \*

\*

Pani Hartau przybyła z Madzią do Krumpendorfu. Umyślnie nie zawiadomiła o swoim przyjeździe rodziców Madzi. Pragnęła, aby najpierw została załatwiona najważniejsza sprawa.

157

Nazajutrz przyjechał radca. Odbyla się długa konferencja między obiema paniami, radcą i Janem. Radca wyjął z portfela młodzieńczą fotografię Jana Ravenecka.

— Nie bardzo się pan zmienił. Rzuca się od razu w oczy, że pański sobowtór nigdy tak nie wyglądał. Teraz jeszcze muszę sprawdzić pański podpis.

Jan wyjął wieczne pióro i napisał na kartce z notatnika:

— *Panie radco, proszę mi wierzyć, że to naprawdę ja! Jan Raveneck.*

Radca porównał podpisy.

— Ma się rozumieć, podrobił podpis. Wiedział dobrze, dlaczego wszystkie swoje listy pisywał na maszynie. No, ale złapiemy ptaszka.

- Czyba wystarczy, jeżeli się udowodni, że to Norbert Greinsberg?
- Tak, ale jak to zrobić?

Jan opowiedział o swojej podróży i zarządzeniach urzędu policyjnego.

- Norbert Greinsberg znajduje się już od kilku dni pod dozorem policji — rzekł na koniec.

- Porozumiem się zatem zaraz z szefem wydziału i poproszę, aby nam przysłał kilku ludzi do pomocy — powiedział radca, podchodząc do telefonu.

Po śniadaniu radca i Jan Raveneck udali się do Lindenhofu. Jan na pożegnanie uściskał mocno rączkę Madzi. Dziewczyna szepnęła:

— Szczęść Boże!

Norbert Greinsberg przehulał całą noc, toteż spał aż do południa. Obudził się w złym humorze. Zagniewany, zasiadł do śniadania. Służący zameldował mu radcę Berna.

— Prosić!

Radca wszedł do pokoju.

— Dzień dobry, panie radco. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? Znowu te nudne interesy? Czy nie można tego odłożyć na inny dzień? Jestem bardzo zmęczony, nie mogę sobie łamać głowy. Za dużo piłem tej nocy — odezwał się niedbałym tonem.

158

- Bardzo żałuję, ale to ważne sprawy i nie mogą ulec zwłoce — odparł zimno radca.
- Wobec tego trudno. Ale może pan najpierw zje ze mną śniadanie. Dawno już pana nie widziałem. Zdaje się, że od tej historii z tą małą Madzią von Schlettau? Przykre to dla mnie wspomnienie! Okropność! Za dobre chęci biją człowieka po twarzy! Ta smarkula pożałuje swego postępku. Wątpię, czy trafi się jej jeszcze kiedy taka dobra partia jak ja!

Radca pragnął zyskać na czasie. Chodziło o to, by policja obsadziła wszystkie wyjścia i by Jan Raveneck mógł niepostrzeżenie dostać się do domu.

— Mam wrażenie, że się pan myli. Panna von Schlettau wkrótce wyjdzie bardzo dobrze za mąż — oznajmił z lekką ironią.

Norbert zerwał się z miejsca. W oczach jego zapłonęła zazdrość, bowiem do Madzi pałał naprawdę szaloną namiętnością.

— Co? Czy ta laleczka dała mi już następcę?

— Proszę bardzo, aby pan używał innego tonu, mówiąc o tej młodej osobie.

Norbert zaśmiał się brutalnie.

- Mogę o niej mówić, jak mi się podoba. Pan nie będzie mnie uczył, jak się mam wyrażać o tej smarkatej...
- Ale ja cię nauczę! — zabrzmiał w tej chwili energiczny głos na progu pokoju. Był to Jan Raveneck, który wszedł i usłyszał ostatnie słowa rozmowy.

Norbert na dźwięk tego głosu odwrócił się. Szeroko otwartymi oczyma spojrzał na przybyłego, po czym bezsilnie osunął się na krzesło.

— Umarli zmartwychwstają! — wyjąkał.

- Norbercie! — zawołał Jan, zbliżając się. — Jesteś bezczelnym oszustem! Twoja gra została odkryta! Nie rób głupstw, nie wypieraj się. List gończy, wysłany już przed laty, odniesie dziś pożądany skutek!
- Zobaczmy! — krzyknął Norbert i rzucił się do drzwi. Tam czekało jednak już dwóch silnych funkcjonariuszy policji, którzy nałożyli mu kajdanki na ręce.
- Widzisz, że ci to nic nie pomoże. Przyznaj się, że przywłaszczyłeś sobie moje dokumenty i że podszywałeś się pod moje nazwisko.

— No tak... Sądziłem, że nie żyjesz. Twoje papiery są w moim

159

portfelu, twój pamiętnik w biurku twego stryja. Przyznaję, że nazywam się Norbert Greinsberg. Szkoda, że powróciłeś tak wcześnie. Byłbym chętnie jeszcze trochę zabawił się w pana. Przecież właściwie nikogo nie skrzywdziłem...

- Jak może pan twierdzić coś podobnego! — zawołał radca. — Przecież działał pan świadomie na szkodę panny von Schlettau. W razie śmierci Jana Ravenecka, ona miała zostać spadkobierczynią. A tymczasem nie chciał pan jej nawet oddać najmniejszej części tego, co stanowiło jej własność. Świadczy to o niskim charakterze...
- Przecież mogła zostać moją żoną, a miałyby wszystko. Czemu uderzyła mnie w twarz?
- Bo wyczuwała w tobie nieczysty żywioł! — odparł Jan Rave-neck.
- Aha! Ciebie na pewno nie uderzy, gdy ją poprosisz o na-rzeczęński pocałunek! No, będziesz musiał zrezygnować z moich życzeń! Tam, do diabła! Powinshawanie nie płynęłoby ze szczerzego serca!
- Norbercie — rzekł Jan z powagą — przez jakiś czas byliśmy towarzyszami niedoli. Znosiliśmy razem głód i zimno, dzieląc się każdym kęsem chleba. Postaraj się zostać porządnym człowiekiem. Twoja kara nie będzie pewno długo trwała. Gdy zostaniesz zwolniony, chętnie dopomogę ci do otrzymania jakiejś posady. Wspominam o tym, abyś w więzieniu nie tracił nadziei...

Norbert Greinsberg spuścił oczy. Twarz jego drgnęła. Był mimo wszystko zawstydzony wielkodusznością Jana.

- Teraz tak gadasz, później będziesz żałował... Zapomnisz o tej obietnicy i nie pomożesz mi...
- Na pewno nie zapomnę! Musisz jednak pracować nad sobą, musisz się poprawić, inaczej moja pomoc nie zda się na nic.

Głuchy jęk zerwał się z ust Norberta.

— I tak mi nic nie pomoże. Człowiek nie zmieni swej natury, choćby chciał. Ja także wolałbym być inny. W każdym razie dzięki ję ci za dobre chęci. A teraz chodźmy...

Funkcjonariusze policji wyprowadzili Norberta. W hallu zebrała się cała służba i ciekawie przyglądała się pochodowi. Stary Jan spostrzegł, że jego pan ma ręce w kajdankach.

160

— Cóż on takiego zrobił? — zapytał oszołomiony. Nikt jednak nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Po chwili ktoś otworzył drzwi. Na progu stanęli radca Bern i Jan Raveneck. Jan spostrzegł starego służącego. Zbliżył się doń i położył mu rękę na ramieniu.

— Dzień dobry, Jasiu! Jakże się Jaś miewa? Czy Jaś pamięta, jak ukrywał mnie w swoim pokoju przed gniewem mego surowego ojca? Dużo lat upłynęło od tamten pory... Prawda?

Staruszek odwrócił się na dźwięk tego znajomego głosu. Wielkimi oczyma spojrzął na Jana. Widać było, że jest bardzo wzburzony. Nagle zawołał głośno:

— To jest prawdziwy Raveneck! To panicz Janek! Tamten to oszust! Paniczu, niech panicz każe zatrzymać tego łajdaka, co przez tyle czasu zamiast panicza mieszkał tutaj i żył jak bydłę!

I chciał pobiec za Norbertem Greinsbergiem. Jan jednak przytrzymał go.

— Uspokój się, pocziwy Jasiu! On mi już nic nie zrobi, nie minie go kara!

Staruszek odetchnął głęboko i złożył ręce.

— Chwała Bogu! Dziedzicem Lindenhofu jest znowu prawdziwy Raveneck! Będę mógł teraz spokojnie umrzeć...

Radca zwrócił się teraz do zdumionej służby.

— Oto prawdziwy Jan Raveneck, dziedzic i właściciel Lindenhofu! Dotychczas oszust zajmował jego miejsce. Widzieliście, że oszust został zdemaskowany i odstawiony do więzienia. Proszę tu poprosić pana administratora, który wciąż jeszcze stoi na straży przy wrotach w parku. W przyszłości macie wszyscy słuchać rozkazów tego pana! Jan Raveneck skinął dobrotliwie głową.



— Proszę bardzo, aby każdy spełniał jak dotąd swoje obowiązki, dopóki cała ta sprawa nie zostanie ostatecznie załatwiona. Ja wkrótce już zamieszkać w Lindenhofie.

Służba była bardzo zdumiona, potem rozeszła się do swych zajęć.

Po chwili nadszedł administrator, z którym panowie już poprzednio rozmówili się. Jan Raveneck i radca Bern zamienili z nim jeszcze kilka słów. Potem pożegnali się i odjechali do Krumpendorf.

161

11 — Skradzione życie

\* \*

\*

Podczas ich nieobecności Maria Hartau posłała samochód do miasta. Poprosiła rodziców i braci Madzi, aby zechcieli przyjechać do Krumpendorf. Wyruszyli natychmiast, toteż gdy obydwaj panowie przybyli do pani Hartau, zastali ich już na miejscu.

Najbliżsi Madzi przywitali się z nią bardzo serdecznie. Pani Hartau opowiedziała im o ostatnich przeżyciach Madzi i jej odkryciu.

Nie posiadano się ze zdumienia. Za ledwie ochłonięto z pierwszych wrażeń, gdy przybył radca w towarzystwie Jana.

Radca oznajmił o aresztowaniu Norberta Greinsberga i o jego zeznaniu.

— A zatem może pan spokojnie objąć spadek. Winszuję panu całym sercem! — rzekła pani Hartau z uśmiechem do Jana.

Radca Bern podniósł jednak rękę.

— Hola! Hola! — rzekł. — Pani zapomina o jednym! Przecież pan Raveneck musi najpierw powiedzieć, czy zgadza się na wypełnienie wszystkich warunków zawartych w testamencie.

Jan Raveneck obrzucił rozmiłowanym wzrokiem spłonioną twarzyczkę Madzi. Bez słowa zbliżył się do dziewczyny. W milczeniu otworzył szeroko ramiona i spojrzał oczyma pełnymi tkliwości i bezgranicznego oddania na ukochaną.

Po chwili już Madzia spoczywała w jego objęciu. Tuląc się do jego serca, patrzyła mu z miłością w oczy.

Dopiero wtedy Jan Raveneck zwrócił się do zebranych, którzy głęboko wzruszeni przypatrywali się tej niemej scenie.

— Chwała Bogu! Nas nie złączyły zarządzenia zawarte w te stamencie, ale potężny głos serca. Wielkie to dla nas szczęście, że wiemy o tym. Prawda, moja maleńka Madziu?

Dziewczyna ukryła spłonioną twarz na piersi ukochanego. Doznawała znowu rozkosznego uczucia bezpieczeństwa.

Jan Raveneck zbliżył się do majora i oficjalnie poprosił go o rękę córki. Major był tak wzruszony, że nie mógł powiedzieć ani słowa. Uściskał tylko mocno rękę przyszłego zięcia. Majorowa rozplakała

162

się głośno z radości i rozczulenia, a bracia, rozpromienieni wieszowali młodej parze.

Dobra i mądra ciocia Marynia skinęła tylko głową, po czym rzekła z uśmiechem:

— Musimy was na chwilę zostawić sam na sam, bo mamy jeszcze wiele ważnych spraw do omówienia.

Pozostali zrozumieli jej intencję. Narzeczeni zostali sami.

Ledwie za wychodzącymi zamknęły się drzwi, gdy Jan Raveneck pochwycił w objęcia swoją uroczą narzeczoną. Miłością i tęsknotą płonęły jego oczy, gdy pochylił się nad nią w odruchu- tkliwości.

Tym razem Madzia nie wzdragała się przed narzeczeńskim pocałunkiem. Jakże wdzięczna była przeznaczeniu, że to naprawdę był jej pierwszy pocałunek, że oszust nie dotknął jej warg.

Co by się też stało, gdyby nie zdobyła się na odwagę i nie zerwała zaręczyn z Norbertem Greinsbergiem? Janek mógł przecież przybyć za późno do G... Ona byłaby już wtedy żoną tego oszusta... Ach, lepiej nie myśleć o tym!

Dreszcz wstrząsnął jej postacią. Narzeczony ujął jej twarz w obie dłonie i spojrzał jej w oczy z bezgraniczną tkliwością.

— Przecież wszystko skończyło się dobrze, moja ukochana Madziu! Nie myśl o tym, co mogło się stać — powiedział, jakby odgadując jej myśli.

Spojrzała na niego z głęboką wdzięcznością — jakże drogi był jej ten człowiek, w którego obecności czuła się szczęśliwa i bezpieczna.

\* \*

\*

Minęło kilka tygodni zanim Jan Raveneck załatwił wszystkie potrzebne formalności i mógł objąć spadek po stryju. Norbert Grein-sberg złożył szczegółowe zeznanie, toteż nie

było już żadnych przeszkód i spadkobierca Jerzego Ravenecka mógł wejść w posiadanie odziedziczonego majątku.

Ślub młodej pary miał się odbyć w początkach lipca. Jeszcze przed ślubem Jan Raveneck otrzymał na swój list odpowiedź od pana Stenhove'a. Winszował mu pomyślnego zwrotu w jego życiu

163

i przesyłał życzenia szczęścia z okazji zaręczyn. Żałował szczerze, że jego koncern będzie pozbawiony tak doskonałej siły, rozumiał jednak, iż Jan Raveneck musi sam zarządzać swym majątkiem.

*Gdy jednak w przyszłym roku lub za dwa lata przyjadę do Niemiec na inspekcję wszystkich placówek naszego towarzystwa, wówczas na pewno odwiedzę Pana w Lindenhofie. Muszę się przekonać, jak się Panu powodzi i czy Pan jest szczęśliwy. Należy pan do tych ludzi, którzy zawsze i wszędzie wzbudzają podziw i szacunek. Przesyłam serdeczne ukłony dla Pana i Jego narzeczonej.*

*Oddany Stenhove*

Tak brzmiało zakończenie tego listu.

W kilka dni później odbył się ślub młodej pary.

Naturalnie że na tę uroczystość zaproszono „całą miłą rodzinę”. Henio Stagemann również był obecny na ślubie. Dzięki niemu podczas uczyty weselnej panował wesoły nastrój. Henio wygłosił bowiem rymowany toast, pełen dowcipnych aluzji do przeszłości.

Pod koniec obiadu radca Bern wznosił toast na cześć Marii Hartau, dziedziczki Krumpendorfu i anioła stróża całej rodziny. Entuzjastyczne wiwaty wszystkich zebranych krewnych świadczyły najwyraźniej, iż cała rodzina uznała Marię Hartau za opiekuńczego anioła.

Gdy wreszcie przy stole zapanowało milczenie, podniosła się Maria Hartau. Z wilgotnymi oczyma wzniosła kielich i rzekła ze wzruszeniem:

— Pamięci Karola von Schlettau, tego szlachetnego człowieka o najwierniejszym sercu!

Wszyscy w milczeniu wychyliili kielichy. Henio postarał się jednak, aby przy stole zapanowała znowu wesołość.

Po uczcie weselnej Madzia przeszła do swego pokoju i zmieniła ślubny strój na skromną białą sukienkę. Wychodząc z ubieralni, wpadła wprost w ramiona swego młodego męża. Gorącym pocałunkiem przypieczętowali związek, który zawarli dziś na całe życie.

Później wyszli oboje na przechadzkę. Wędrowali obok siebie przez ciemny las, jaśniejący urodą lata. Trzymali się za ręce patrząc sobie w oczy. Rozkosz bez granic zalewała gorącą falą dwa młode serca.

Wyszli z lasu i ujrzeli z daleka piękny stary dwór, opromieniony blaskiem zachodzącego słońca.

Jan Raveneck przystanął, objął namiętym ruchem swoją uroczą żonę i szepnął tkliwie:

— Chwała Bogu! Mam znowu dom i znalazłem serce, które podzieli ze mną wszystkie smutki i radości. Moja słodka, ukochana żono! Zachowamy zawsze wdzięczność dla Jerzego Ravenecka, który połączył nasze losy!  
Madzia przytuliła się do niego.

— Janku, mój najdroższy Janku!

Ucałował ją gorąco. Potem oboje, spleceni w uścisku, podążyli w kierunku cichego domu, który miał odtąd chronić ich szczęście.

KONIEC